

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 04 (197) Kwiecień 2021



Kraków
nieodkryty

PORTRETY 2020 – wybór jury i laureat czytelników

Obłok Lema: Łukasz Orbitowski

Olga Boznańska – malarka, która nie dała się stłamsić

Magia brydża



9 771733 045101 04

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

NAGRODA CZYTELNIKÓW „KRAKOWA” ORAZ JURY!
WIELKI FINAŁ!

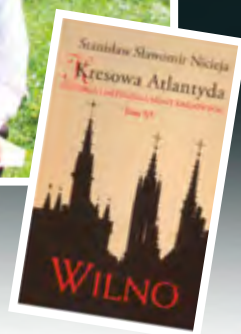
KONKURS „PORTRETY 2020” ROZSTRZYGNIĘTY

NAGRODA
JURY



(fot. Mariusz Forecki
/ za wiedzą i zgodą wydawcy)

NAGRODA
CZYTELNIKÓW



*Zaczytaj się
w Krakowie*

KRAKÓW
MIESIĘCZNIK
miesiecznik.krakow.pl



Gela Seksztajn, *Autoportret z getta*/Gela Seksztajn – zdjęcie z około 1937 roku/Gela Seksztajn, *Portret mężczyzny w kapeluszu*, prawdopodobnie 1936 rok (źródła: Wikimedia Commons)

Akwarele z popiołów

Tekst: Monika Libicka Ilustracje: Wikimedia Commons

**„Nie ma grobów, nie ma kamiennych tablic. I nie ma człowieka z jego imieniem i nazwiskiem, z opowieścią najkrótszą, kim był i jak żył”.
Marek Edelman w *Odczytaniu listy Anki Grupińskiej*.**

Nikt nie wie, jak zginęła. Od ognia, wody czy kuli. Scenariusz ostatnich godzin jej życia możemy sobie tylko wyobrazić. Pod koniec kwietnia 1943 roku oddziały Jürgena Stroopa przesuwwały się po terenie getta, z metodyczną dokładnością niszcząc dom po domu, zatapiając lub zadymiając piwnice i ukryte wewnątrz bunkry.

W rozmowie z Kazimierzem Moczarskim, przeprowadzonej po wojnie w więziennej celi, Stroop w psychopatycznym uniesieniu wspomina tamte dni. Opisuje, jak esesmani zajmują kolejne ulice, jak narasta zmasowany atak przy użyciu artylerii, miotaczy płomieni, min i coraz większej ilości materiałów wybuchowych: „Saperzy doszli do wielkiej

wprawy w wysadzaniu budynków w powietrze. W pół godziny po wydanym rozkazie już się chałupa paliła! (...) Rozgardiasz niebываły. Pożary, dymy, płomienie, iskry pędzone wiatrem, kurz, fruujące pierze, zapachy przypalonych materaców i ciał, huk armat, granatów i łuny” (Kazimierz Moczarski, *Rozmowy z katem*).

Jaki los mógł spotkać matkę z dwuletnim dzieckiem, która znalazła się w tym piekle?

Gdyby nie Archiwum Ringelbluma nie wiedzielibyśmy, że dopóki było to możliwe, w getcie warszawskim działała aktywna sieć pomocy społecznej, funkcjonowały szkoły i instytucje kulturalne, otwierano placówki opieki dla najsłabszych, stołówki dla biednych i punkty pomocy medycznej.

Jeśli nie wywieziono jej ostatnimi transportami do Treblinki, co jest mało prawdopodobne, to zginęła w kwadracie ulic Okopowej, Nowolipek, Smoczej i Gęsiej.

Po wojnie ten fragment miasta, dawniej należący do Muranowa, oficjalnie włączono w obręb dzielnicy Wola. Dawna Gęsia zmieniła nazwę na Anielewicza, a cała okolica została zabudowana blokami z wielkiej płyty albo czteropiętrowymi kamienicami. Pomiędzy nimi wiosną i latem zielenią się skwery. Posiano na nich trawę, posadzono żółto kwitnące forsycje i pachnące jaśminy. Tam, gdzie kiedyś stała żydowska świecka szkoła podstawowa imienia Bera Borochowa, dziś jest zadbane podwórze. Wychodzą na nie tylne

Gdyby nie Archiwum Ringelbluma, te dwa słowa – Gela Seksztajn – nie miałyby żadnego odpowiednika w naszej pamięci.

okna kamienicy, której fasadę wytyczono wedle dawnego biegu ulicy Nowoliпки.

Gdzieś w tej okolicy jest jej grób. Nie ma tu żadnej tabliczki, nie ma kamienia, który by ją upamiętniał. Do niedawna nic nie wskazywało na to, że tu – na dziedzińcu domu oznaczonego dziś numerem 28 – odnaleziono skarb warszawskiego getta, czyli Archiwum Ringelbluma. Dziesięć skrzynek ukrytych przez członków tajnej organizacji żydowskiej Oneg Szabat: Izraela Lichtensztejna, Nachu-

ma Grzywacza i Dawida Grabera. Skrzynki zakopano w piwnicy szkoły Borochowa, w dole pod podłogą. Potajemnie, szybko, w nerwowej atmosferze zbliżającego się końca.

Kobieta, której śladów szukam, nazywała się Gela Seksztajn, a jej córeczka miała na imię Margolit, co w języku hebrajskim znaczy „perła”. Pamięć o nich przetrwała w jednej ze skrzynek zakopanych w ostatnich dniach powstania w getcie. W skrzynce przechowały się też zapisane na kartce słowa Izraela Lichtensztejna: „Nie chcę podziękowań, żadnych pomników, żadnych pieśni pochwalnych, chcę jedynie, by wspomniano o mnie (...). Chcę, by wspomniano o mojej żonie, Geli Seksztajn, zdolnej artystce malarce, której dziesiątki prac nie zostały wystawione, nie ujrzały światła dziennego”.

*

Samuel Kassow pisze, że Archiwum było jedną z najskuteczniejszych form kulturowego oporu w czasie wojny. Naziści pragnęli bowiem nie tylko fizycznej eliminacji narodu żydowskiego, ale również wytarcia z pamięci materialnych i duchowych śladów ich kultury oraz usunięcia prawdy o tym, co się wydarzyło podczas Zagłady. Dlatego z takim zacięciem niszczyli synagogi, biblioteki, cmentarze, a także wileński instytut JIWO wraz z jego zbiorami i naukowym dorobkiem. Chodziło o to, by dokonać cywilizacyjnej eksterminacji Żydów, a potem napisać własną wersję historii.

Ringelblum miał tego świadomość, gdy w listopadzie 1943 roku zwracał się do Adolfa Bermana: „Nie znamy takiego wypadku w historii, by nieprzyjaciel tak gruntownie wypalił wszelki ślad po pokonanych wrogach. Rzymianie pozostawili po zburzeniu Jerozolimy istniejącą po dziś dzień Ścianę Płaczu, a po napadach barbarzyńskich Germanów na imperium rzymskie na każdym kroku pozostały ślady kultury rzymskiej”. Tym razem zamiar był jasny – wszelkie ślady życia i kultury europejskich Żydów miały zostać ostatecznie zniszczone i zatarte.

Na początku lata 1942 roku, niedługo przed nazistowską akcją „wysiedlenia na Wschód”, Ringelblum pisał o współpracownikach: „Nie wiem, kto z tej grupy przeżyje, kto dostąpi szczęścia opracowania zebranych materiałów. Jedno jest jednak jasne dla nas wszystkich: nasz trud i wysiłek, nasze poświęcenie i życie w ustawicznym strachu nie było daremne”.

Gdyby nie dokumenty zebrane przez ludzi Ringelbluma nasza wiedza o życiu w getcie byłaby uboga. Nie mielibyśmy tylu informacji o tym, że dopóki było to możliwe, działała tam aktywna sieć pomocy społecz-

nej, funkcjonowały szkoły i instytucje kulturalne, otwierano placówki opieki dla najsłabszych, stołówki dla biednych i punkty pomocy medycznej. Historycy i socjologowie nie mieliby dziś ogromnego materiału dowodowego, mówiącego o dramatycznie pogarszającej się sytuacji, w jakiej znalazła się społeczność warszawskiego getta (i ludność żydowska zamieszkująca okupowane tereny). Gdyby nie zachowane raporty, protokoły i reportaże, nie dałoby się dziś właściwie ocenić, jak wiele kosztuje walka o przetrwanie w takich okolicznościach. I jakie skutki ma narażanie człowieka na długotrwały głód, stres, strach czy choroby.

Dzięki Archiwum masy ludzi, które przeszły przez bramę na Umschlagplatz, przestały być anonimowym tłumem. Zachowały tożsamość. Tak jak Gela i jej rodzina.

*

W walizce Ruth znalazłam pożółkły wycinek z gazety z artykułem *Obrazy ze zgliszcz*. Była to informacja na temat powojennej wystawy w Galerii Plastyków, do której włączono prace ponad czterdziestu artystów, „w tym kilku zamordowanych w getcie oraz tych, którzy silnie przeżywszy tragedię zza murów, odtwarzali ją w swojej twórczości”. Zgłoszeń było tak wiele, że trzeba było ograniczyć liczbę wystawianych prac. „Jednej tylko Geli Seksztajn oddano całą ścianę. Wypełniły ją malowane w getcie, w tęsknocie za otwartą przestrzenią leśne i łąkowe pejzaże. Jest też tu dużo portrecików dzieci. Te ostatnie miały być wystawione w Warszawie tuż przed wojną. Wydobyto je z ziemi, gdzie, zakopane, przeżyły tragicznie zmarłą artystkę”. Ruth nie potrafi powiedzieć, z jakiej gazety jest ten wycinek i kto jest autorem tych słów. Gdy tłumaczę je na angielski, otwiera notes i zapisuje.

Tego samego dnia razem z Danem odwołuję mnie na lotnisko. Mimo moich protestów upierają się, by zaparkować i towarzyszyć mi w kolejce do odprawy. Chcą się upewnić, że przedstawiciel izraelskiej służby bezpieczeństwa spowiadający każdego, kto wyjeżdża z zagrożonej terroryzmem ojczyzny Żydów, nie będzie mnie zbyt dręczył. Gdy nadchodzi moja kolej, Dan staje obok i pokazuje swój dowód osobisty. Na twarzy poważnego i skupionego urzędnika pojawia się uśmiech – rozpoznał znanego architekta. Zamieniam kilka zdań po hebrajsku i za moment zostaję zaproszona do hali odlotów. Przed przejściem żegnam się z moimi gospodarzami. Ruth obejmuje mnie mocno i mówi:

– Pamiętaj, co powiedziała o niej moja mama: „*She was beautiful inside and outside*”.

*

Gdyby nie Archiwum, nie byłoby dowodów potwierdzających słowa Neomi. Nie przetrwałby subtelny portret Barucha Gelmana, namalowany farbami wodnymi, ani Berla Pomeranca, wykonany węglem na papierze, ani portrety anonimowych chłopców i dziewczynek uchwyconych w czasie pracy lub zabawy. Nie moglibyśmy dziś zobaczyć nasyconych kolorami martwych natur zanurzonych w fio-

Gdyby nie Archiwum Ringelbluma nie przetrwałby subtelny portret Barucha Gelmana, namalowany farbami wodnymi, ani Berla Pomeranca, wykonany węglem na papierze, ani portrety anonimowych chłopców i dziewczynek uchwyconych w czasie pracy lub zabawy.

letowo-różowej mgie, malowanych w czasie letnich dni w Kazimierzu Dolnym. Nie pozostałyby z nami, dołączony do pożegnalnych listów, bukiet złotych chryzantem w niebieskim wazonie, ustawiony na drewnianym krześle, przykryty białym muslinem. Nie zostałyby żaden ślad po życiu, w którym tyle było ważnych planów, wyobrażeń o przyszłych wystawach, wizytach w galeriach i robionych na zamówienie portretach.

Nie dałoby się wypełnić hologramu żadanymi odcieniami.

Gdyby nie Archiwum, te dwa słowa – Gela Seksztajn – nie miałyby żadnego odpowiednika w naszej pamięci.

Fragmety książki *Gela* przygotowywanej w wydawnictwie Wielka Litera.



Monika Libicka – wrocławianka mieszkająca od lat w Warszawie i w Brazylii, a wcześniej w Nowym Jorku. Dziennikarka i felietonistka. Wielbicielka reportażu Kapuścińskiego, toskańskich pejzaży i oceanicznych medytacji. Brała udział w obronie Puszczy Białowieskiej. Właścicielka „charta żoliborskiego” Molly i autorka bloga www.monika-libicka.blox.pl.

TEMAT MIESIĄCA:

PORTRETY 2020 Artur „Baron” Więcek	s. 13	Laur jury, laur czytelników	s. 12
„Czułość – proszę Państwa – czułość!” – tak zaczęła się moja zeszłoroczna laudacja, opisująca wrażenie, jakie towarzyszyło mi podczas lektury Pustego lasu Moniki Sznajderman, zwycięskiej książki pierwszej edycji konkursu PORTRETY . W tym roku laur jury zdobyła także książka. To Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt Izolda Kiec.		Od tego się zaczęło: Zuzanna Ginczanka	s. 14
		Izolda Kiec	s. 14
		Od tego się zaczęło: Lwów	s. 15
		Stanisław Nicieja	s. 15
		Od tego się zaczęło: polski lud	s. 16
		Adam Leszczyński	s. 16
		Od tego się zaczęło: Dom Literatów	s. 17
		Marek Gajczak	s. 17
		Ocalona Atlantyda Janusz Paluch	s. 33
		Moda na filmowe biografie	s. 56
		Łukasz Maciejewski	s. 56

KRAKÓW MÓWI

Lubię pisać o miejscach, których nie znam	s. 27
Łukasz Orbitowski/Paweł Stachnik	

ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Hotel Polonia Krzysztof Jakubowski	s. 10
Malarka, która nie dała się stłamsić (Olga Boznańska) Magda Huzarska-Szumiec	s. 19
Asy Krakowa	s. 50
Małgorzata Maruszkin	
Ostatni człowiek na Ziemi Witold Bereś	s. 70
Kronika kulturalna	s. 87, 89
Krakowski łącznik	s. 90
Kraków (Główny)	s. 91
Linia A-B	s. 92

REKOMENDACJE

Książka, którą się sęczy, a nie pije	s. 25
Magda Huzarska-Szumiec	
Księżycowi mężczyźni Łukasz Maciejewski	s. 26
Ukąszenie Pilchowskie Krzysztof Zajas	s. 49

PORTRETY 2021 (KWIECIEŃ)

Ocalone z popiołów Witold Bereś	s. 18
--	--------------

POLSKA MA GŁOS

Wydawca pięknej książki	s. 40
Bogdan Szymanik/Sylvia Pyzik	

ESEJ

Akwarele z popiołów Monika Libicka	s. 1
---	-------------

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: Kwiecień 1921	s. 62
Krzysztof Jakubowski	
Hojność krakowskiego adwokata	s. 60
Ewa Danowska	

TEATR

Inne radosne dni Paweł Głowacki	s. 66
--	--------------

FILM

Dokumentalne taśmy o Auschwitz	
Maria Malatyńska	s. 74
Safe inside Łukasz Maciejewski	s. 78

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka	s. 84
Moja krakowska książka miesiąca	s. 88
Janusz M. Paluch	

GALERIA „KRAKOWA”

Michał Cygan Magda Huzarska-Szumiec	s. 46
--	--------------

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska	s. 5
OKIEM BERESIA Witold Bereś	s. 8
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko	s. 9
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma	s. 81
POZA KRAKOWEM	
Magdalena Miśka-Jackowska	s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz	s. 83
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska	s. 96

OKŁADKA

Fot. Paweł Herzog

Prymus aprilis

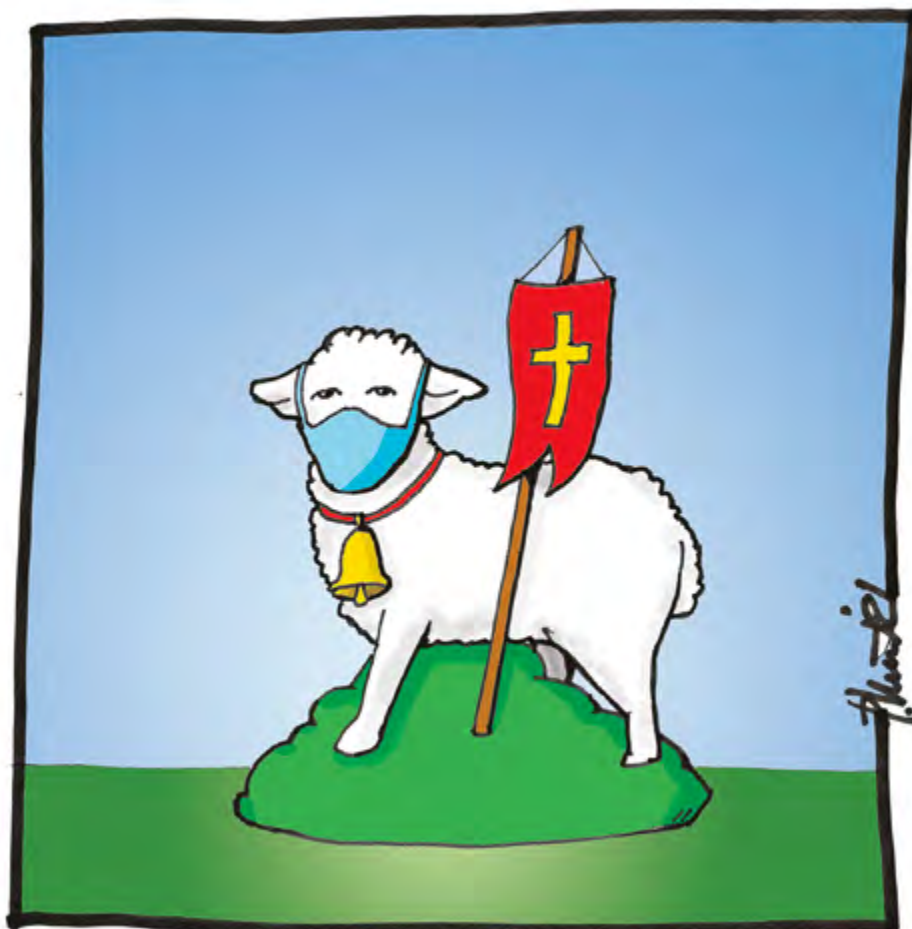
Tekst Ewa Lipska

Zbliża się nasz wspaniały, olśniewający, boski Prymus Aprilis, który wygłosi do nas płomienne, strzeliste, euforyczne przemówienie. O tym, jacy jesteśmy wiel-

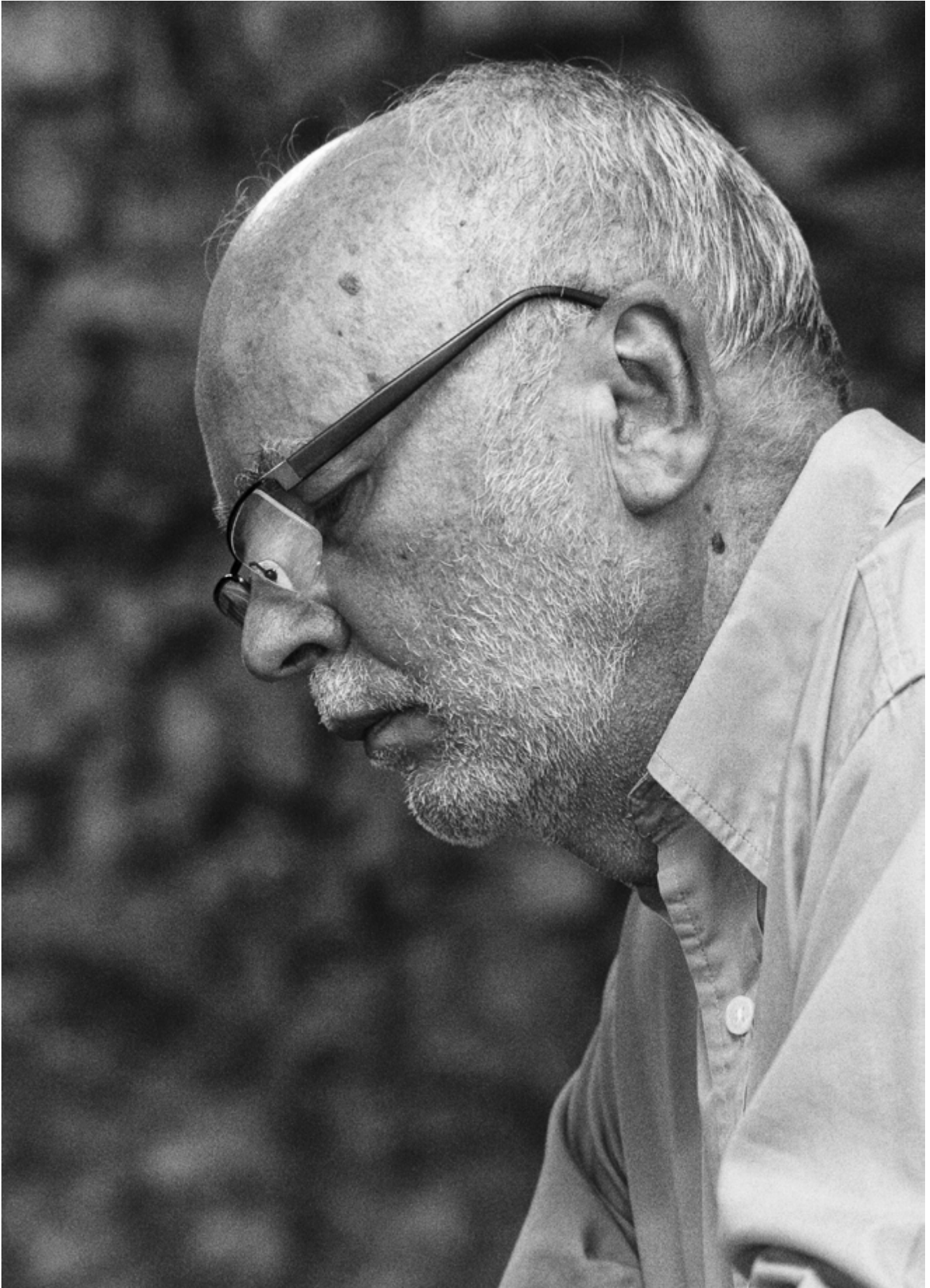
cy, genialni i nadzwyczajni! Ucz się, Europo, i podziwiaj! Ale „Maciek zmarł, leży na desce / A piłby jesce...”.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Brachut



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

ADAM ZAGAJEWSKI

21 czerwca 1945 – 21 marca 2021

POETA

ŚWIATA. POLSKI. KRAKOWA

I w śmierci będziemy żyli,
tylko inaczej, delikatnie i miękko,
rozpuszczeni w muzyce;
pojedynczo wywołani na korytarz,
samotni, a mimo to w gromadzie,
jak koledzy z jednej klasy,
która ciągnie się aż za Ural
i sięga czwartorzędu. Uwolnieni
od niekończących się rozmów o polityce,
otwarceni i szczerzy, swobodni, chociaż
właśnie będą trzaskały zamykane
okiennice a grad zagra na parapecie
marsza tureckiego, buńczucznie
jak zawsze. Świat pozorów nie zniknie
od razu, długo jeszcze będzie
kaprysił i zwijał się jak mokra
kartka rzucona do ogniska.
Pragnienie doskonałości spełni się
jak od niechcienia, ominie wszystkie
przeszkody tak jak Germanie nauczyli się
obchodzić linię Maginota. Rzeczy
drobne i zapomniane, latawce
zrobione z najcieńszej bibułki, kruche liście
minionych jesieni, odzyskają swą
nieśmiertelną godność a wielkie
zwycięskie systemy będą się kurczyły
jak płeć olbrzyma. Tęsknoty już nie
będzie, bo doścignie siebie, zdumiona
że tak długo polowała na swój
arktyczny cień. I nas nie będzie
ponieważ nie potrafimy
jeszcze żyć tak wysoko.

(Adam Zagajewski, *Bez końca*, z tomu
Oda do wielości, Półka Poetów, Kraków 1982)

***W smutku
redakcja miesięcznika „Kraków”***

W zawieszeniu

Tekst: Witold Beres

Genialne, balansujące rzeźby Jerzego Kędziory wiszące nad kładką o. Bernatka – jedną z nich przypomina okładka tego numeru – stały się niespodzianie nie tylko nowym symbolem Krakowa, ale i doskonałą metaforą nowego czasu.

Bo co się stanie w tym roku? Co za pytanie – nie wiemy, co się stanie jutro! Utrzymamy się? Polecimy na łeb, na szyję? A może wyskoczmy w niebo? Jasne, wiadomo, życie jest nieprzewidywalne, ale dawno nie było tak intensywnego zapachu zagadki jutra. Zapachu niepewności. Ba – zapachu strachu przed nadchodzącym.

Zauważyliście, że coraz częściej się mówi o możliwości wielkiej katastrofy? Końca? Wielkiej wojny? Definitywnego zderzenia cywilizacji? Sami zresztą nie wiemy czego – przeczuwamy tylko, że możemy kolejnemu egzaminowi nie sprostać.

Za to niewiele się mówi o groźbie odebrania nam wolności – i to globalnie. Walcząc z pandemią, godzimy się na dziesiątki, setki ograniczeń, które wchodzą na chwilę, by za chwilę zostać na zawsze.

Ot, choćby zachwyt ideą paszportu szczepionkowego. Fajnie – pojedziemy na wakacje do Hurghady. Czy gdzieś pojawia się jednak poważna refleksja, że oto powstaje ponadgraniczne obywatelstwo, które nie wiadomo kto i jak wyznacza? A, co gorsza, to prosta droga do oddania się kontroli służb wszelakich. I nie jest to tylko przejaw myślenia spiskowego,

Cała nadzieja na zachowanie życia w jego najpełniejszym wymiarze leży w kulturze.

ale odprysk informacji oficjalnie podanej w Izraelu, gdzie taki paszport to „specjalna aplikacja opracowywana we współpracy z wywiadem”.

Tomasz Sawczuk w „Kulturze Liberalnej” zauważa, że „... wraz z powstaniem odpowiedniej infrastruktury system wyprodukowany w pozorze słusznej intencji można z czasem wykorzystać do nowych celów, w sposób niezgodny z jego pierwotnym przeznaczeniem. (...) Nawet jeśli pierwotnym celem paszportów byłoby wprowadzenie tymczasowych udogodnień w życiu obywateli, to dalszy użytek z pojęć, technologii oraz urządzeń politycznych wypracowanych w tym kontekście może wyglądać zupełnie inaczej, zbliżając europejski model polityczny do modelu chińskiego, a nawet antyhumanistycznej dystopii, przypominającej polityczny i filozoficzny koszmar”.

Jeśli dodać do tego nasz rodzimy, polski chaos i krzywdę, jaką ostentacyjnie połowie (co najmniej) obywateli wyrządza władza – trudno wykrzesać w sobie siłę do przetrwania, nie mówiąc o walce. Nie mówiąc o nadziei.

A jednak przecież każdy z nas „uparcie i skrycie, och, życie kocha cię, kocha cię nad życie” – jak napisał nam Młynarski, a śpiewała kiedyś Geppert. Że

chodzi o to, iż chcemy żyć? Jasne. Ale nie tylko – kochamy życie w jego całej palecie, z barwami jasnymi i ciemnymi. Zatem, uparcie i skrycie, będę powtarzał – cała nadzieja na zachowanie życia w jego najpełniejszym wymiarze leży w kulturze.

Mój przyjaciel Jurek Pilch pisywał czasami o „krze nad głową, która topnieje/nie topnieje...”. Że niby żyjąc, umieramy, że życie nas dusi, pozbawia powietrza... Albo że coś nam w przeżyciu tej męczarni pomaga... Pięknie – tak i pewnie często jest. Ale użyć tej metafory do czytania książek? Że niby książki pomagają przeżyć?

A właściwie czemu nie?

Z kolei profesor Krzysztof Zajac, nowy naczelny kwartalnika „Czas Literatury” (gratulujemy!) i nasz przyjaciel (choćby z grona jury konkursu PORTRETY), pisał w eseju otwierającym poprzedni numer „Krakowa”: „... dzisiaj, w zakłamej i zdegenerowanej rzeczywistości dobra literatura daje nie tylko wytchnienie, ale i ocala nas. W sensie ścisłym, ponieważ jeśli przetrwamy, to dzięki niej. Przywraca wymiar, którego tak nam brakuje. Ożywia wielkie słowa, które wyparowały z naszego potocznego języka obśmiane na dziesiątą stronę w cywilizacji szydery i wypaczone w jazgocie mediów. Ta różnica aż kłuje w oczy. Proponuję test: godzinę surfowania w internecie, a później lekturę dobrej książki”.

Namawiamy więc wszystkich do tworzenia Koalicji Słowa Wolnego i Kulturalnego.

*

Pociechą są miasta, takie jak Kraków.

Warto bowiem przypomnieć, że rzeźby Kędziory miały zdobić kładkę o. Bernatka tylko przez kilka miesięcy 2016 roku. Kiedy artysta chciał je w końcu odebrać, okazało się, że tak wrosły w krajobraz Podgórze, że Miasto Kraków, wspólnie z dzielnicą Podgórze, szczęśliwie je odkupiło.

Wygramy.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Epidemia czasu

Tekst: Krzysztof Burnetko

Mądrzy ludzie zawsze ostrzegali bliźnich przed rozmaitego rodzaju plagami grożącymi światu. Najczęściej przenikliwość ta była lekceważona, ba wykpiwana. Nawet, gdy stała się rzeczywistością.

Potwierdzeniem tej nieodkrywczej przecież tezy są monumentalne, bo obejmujące niemal pół wieku zapiski Sándora Máraia (ich wybór w polskiej edycji zajął aż pięć tomów, z których ostatni ukazał się właśnie nakładem Czytelnika). Ten znakomity, urodzony na Węgrzech, duchem zaś i korzeniami intelektualnymi – klasyczny Europejczyk starej daty, prozaik przez niemal całe długie życie prowadził nie tyle nawet zwykły dziennik, ile refleksyjny, czy wręcz filozoficzny diariusz. A był świadkiem całej epoki: i czasów międzywojnia, i okropności II wojny światowej (stracił wówczas – i to dosłownie – zburzony bombardowaniem dom w Budapeszcie), i sowieckiej okupacji Węgier, wreszcie zaś doświadczył życia na Zachodzie – bo w końcu wybrał trudny, szczególnie dla pisarza, los emigranta i pomieszkiwał a to we Włoszech, a to w Stanach Zjednoczonych.

Márai zapisuje refleksje z lektur, spotkań, spacerów, wiadomości telewizyjnych. Są więc uwagi literackie (ze wskazaniem na wagę klasyki, zwłaszcza antycznej, klasyki – oraz pisarski kunszt, rzeczywiście wielki, swojego rodaka Gyuli Krúdyego) i polityczne (pojawiają się i wątki polskie, a nawet galicyjskie i krakowskie, zdarzają się też wtręty kontrowersyjne, bo kwestionujące czystość motywacji niektórych działaczy opozycji demokratycznej w krajach bloku wschodniego, a czasem niekiedy nawet zabarwione antysemityzmem i rasizmem – co uderza zwłaszcza w zderzeniu z erudycją i kulturalną subtelnością autora). Są również obserwacje dotyczące stanu cywilizacji oraz kondycji współczesnego człowieka, a wreszcie sentencje filozoficzno-egzystencjalne. I to właśnie te okazują się dziś najciekawsze.

Na dowód kilka cytatów – z braku miejsca ograniczonych do ostatniego tomu, a więc sprzed pół wieku, bo z lat 70. minionego stulecia:

„Starzy ludzie byli zawsze. Ale nigdy nie było ich tak wielu. Dawniej starych ludzi respektowano – jeśli sobie na to zasłużyli. Tłumu starców nie respektuje nikt, ludzie patrzą na nich z niechęcią, dla społeczeństwa stanowią kłopot i obciążenie”.

„W społeczeństwie masowym kształtują się nowe snobizmy. Już nie arystokrata, nawet nie bankier jest snobem, tylko prostak: auto i podróże przestały dziś być przywilejem niewielu, przeciwnie, stanowią przykład awansu mas. (...) Zmiana stylu sygnalizuje nie początek, lecz raczej koniec jakiejś epoki”.

„Na Morzu Północnym na platformie pomp zepsuł się zawór i ropa naftowa z dna morskiego rozlewa się od kilku dni po powierzchni morza. Zawieszeni tam helikopterem fachowcy nie są w stanie naprawić zaworu. Tak to człowiek gmera w siłach i sekretach Natury; przerażeni uczniowie czarnoksiężnika

Najpierw człowiek gmera w siłach i sekretach Natury, a potem przerażeni uczniowie czarnoksiężnika z trwogą patrzą na duchy, których nie potrafią z powrotem zagonić do butelki.

z trwogą patrzą na duchy, których nie potrafią z powrotem zagonić do butelki”.

„Żyjemy w czasach, w których to, co nienormalne, jest na porządku dziennym”.

„Black out w Nowym Jorku. Cywilizacja w jednej chwili zostaje sparaliżowana, następuje stan pierwotny. Przeżyłem coś takiego w Nowym Jorku w 1965 roku. Zaklinali się, że nic podobnego się nie może się powtórzyć. Teraz się powtórzyło”.

„Człowiek głupi jest jednak bardziej niebezpieczny niż człowiek zły. Nie można z nim pertraktować, nie rozumie argumentów, bo jest głupi”.

„Wielkie media ogólnonarodowego odurzania – religia, patriotyzm, telewizja, socjalizm, piłka nożna – triumfują; rozum nie jest już w stanie przekrzyknąć masowego ogłupienia, które żąda narkotyku”.

„Nocą Wergiliusz. Pochwała rolnictwa, po epoce dzikich podbojów zdobywanie pszenicy, wina, oleju. Pokojowy układ zawarty z Naturą. Po dwóch tysiącach lat koło się odwróciło: Naturę trzeba ratować przed człowiekiem”.

Pisane bez złudzeń. Co wybrzmiewa zwłaszcza w tym tomie, kiedy autor dobiega kresu życia – i przemyśliwa o jego zakończeniu samobójstwem (co też się stało). Odróżnia przy tym uparcie śmierć od umierania – zwłaszcza w kontekście długiej choroby żony, ale i własnej starości („Spokój, kiedy myślę o śmierci. Niepokój, kiedy myślę o umieraniu” i „Nie śmierć jest wielkim egzaminem życiowym, lecz umieranie”). Zauważa też: „Zmarli. Jest ich tak wielu, że już nie mieszczą się w pamięci”. I dodaje o sobie: „Maruder na końcu pochodu, już tylko ja pozostałem z rodziny, nikt z krewnych nie żyje. To wszystko nastąpiło jak epidemia. I jest nią, czas jest epidemią...”.

Wreszcie taka fraza: „Śmierci nie sposób poznać rozumem. Nie ma w niej sensu. Po prostu »istnieje« jak pozbawione uzasadnienia niezaprzeczone fakty”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Hotel Polonia

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: NAC

W 1909 roku, u zbiegu ulic Basztowej i Pawiej, otwarty został hotel o wdzięcznej nazwie Belvedere. Ten okazały gmach, projektu Sławomira Odrywolskiego z 1887 roku, wieńczyła narożna widowka wieżyczka, tak zwany belwederek, i być może stąd wzięta się nazwa hotelu. Ponieważ do tej pory była to normalna czynszowa kamienica (do 1905 roku mieszkał tam między innymi architekt Jan Zawiejski), urządzenie hotelu wymagało niemałych nakładów. Animatorami tego odważnego przedsięwzięcia byli Sabina i Bernard Rosenstockowie, prowadzący dotąd popularną kawiarnię i restaurację dokładnie naprzeciw, u zbiegu ulic Lubicz i Kolejowej (dziś Westerplatte).

Wkrótce, w 1917 roku, hotel odkupił Aleksander Rittermann, znany już w Krakowie przedsiębiorca. To on zainwestował kilka lat wcześniej okazały kapitał w budowę hotelu Francuskiego. Wraz z nowym właścicielem zmieniła się nazwa i odtąd był to hotel Polonia. W okresie międzywojennym Polonia była trzecia w hierarchii ważności, jednak renomą nigdy nie dorównywała Grandowi czy Francuskiemu. W czasie II wojny światowej hotel przeznaczono dla oficerów okupacyjnej armii, a w latach 1946–1948 pełnił ważną rolę jako punkt zborny i tymczasowe schronienie dla repatriantów ze Wschodu.

Z końcem 1950 roku upaństwowioną Polonię przejęło z rąk ostatnich właścicieli – rodziny Krzysztoforskich – nowo powstałe przedsiębiorstwo, Dyrek-

cja Hoteli Miejskich. Nadeszły trudne, nie tylko dla przemysłu hotelowego, czasy. Dość powiedzieć, że z około 2 tys. miejsc hotelowych, jakimi dysponował międzywojenny Kraków, w 1950 roku pozostało tylko 730. Po likwidacji Dyrekcji Hoteli Miejskich (1973 rok) „Polonia” przeszła pod zarządek Przedsiębiorstwa Turystycznego „Wawel-Tourist”. W 1990 roku w wyniku procesu reprivatyzacyjnego powróciła do dawnych właścicieli, spadkobierców rodziny Krzysztoforskich.

Na fotografii z 1926 roku obok pięknego ujęcia hotelu udało się uchwycić ruch uliczny, z tramwajem jadącym przejeżdżną wówczas, najkrótszą drogą na pl. Kolejowy. Konfigurację tego skrzyżowania zmieniła definitywnie dopiero – przeprowadzona w latach 1972–1973 – budowa przejścia podziemnego. Po prawej zerknąć można w głąb ul. Pawiej, gdzie zabudowa (począwszy od nr 10) nie przekraczała wtedy jednego piętra. Wcześniej stał tam tylko tak zwany dworek Pernusowski (ul. Pawia 12–16). Jego nazwa wywodziła się od pierwszego właściciela Waleriana Pernusa, XVI-wiecznego pisarza i rajcy krakowskiego. Otoczony ogrodem, wielokrotnie przebudowywany, skromny dworek dotrwał do połowy lat 30. ubiegłego wieku, kiedy to rozparcelowano posiadłość pod kilka modernistycznych kamienic i przysłał ul. Worcella.

Zwraca uwagę jeszcze jeden szczegół. W kadrze znalazło się aż ośmiu panów w mundurach. Pięciu wojskowych, dwóch kolejarzy i jeden policjant...



Stanisław Wyspiański, *Widok z okna pracowni na kopiec Kościuszki*, 1904, Muzeum Narodowe w Krakowie (Wikimedia Commons)

... dobrych Święt Wielkiej Nocy
 Wzrostkiem, nieważne – wierzącym czy
 niewierzącym – lecz cierpiącym, samotnym,
 ubogim, zmęczonym, chorującym,
 repressjonowanym, opłakującym
 – Wiem kto, że prędzej czy później
 stonice się przebiję
 redakcje miesięcznika KRAKÓW

Laur jury, laur czytelników „Krakowa”

Pora na ogłoszenie laureatów drugiej już edycji organizowanego przez miesięcznik „Kraków” konkursu PORTRETY – „na najlepsze dzieło biograficzne roku”. Rywalizują w nim książki, filmy, spektakle, audycje radiowe i programy telewizyjne prezentujące ciekawe i ważne dla tożsamości nas wszystkich osoby oraz środowiska czy też zjawiska, trendy i miejsca.

Spśród ponad 100 propozycji, które znalazły się w finale PORTRETÓW 2020, jury po długiej i burzliwej (choć prowadzonej online) dyskusji do swojej Wielkiej Trójki wyróżnionych nominowało: film dokumentalny *Dom Literatów*, czyli *kartoteka zebrana* w reż. Marka Gajczaka, monografię Adama Leszczyńskiego *Ludowa hi-*

storia Polski (W.A.B.) oraz książkę Izoldy Kiec *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* (Marginesy).

Ostatecznie laureatem Nagrody Głównej PORTRETÓW została biografia *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* autorstwa Izoldy Kiec.

Swoją nagrodę przyznali też czytelnicy miesięcznika „Kraków”. Dość powiedzieć, że napłynęły aż 3622 głosy i... Nagrodę Czytelników „Krakowa” zdobyła praca prof. Stanisława Nicieji *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych. Tom XV. Wilno* (Wydawnictwo MS).

Warto dodać, że kolejne miejsca w plebiscycie czytelników zajęły także książki, a mianowicie *Panny z Wesela. Siostry Mikołajczyków* i *ich świat* Moniki Śliwińskiej (Wydawnictwo Literackie), *Miron, Ilija, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu* Justyny Sobolewskiej (Iskry), *Ludowa historia Polski* Adama Leszczyńskiego oraz *Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia. Rozmawiają Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński* (Wydawnictwo Literackie).

Wielka Trójka jury oraz laureat Nagrody Czytelników uhonorowani zostaną statuetkami PORTRETÓW (zaprojektowanymi przez Marka Stankiewicza). Ponadto główni laureaci otrzymają po 15 000 złotych, a pozostali wyróżnieni przez jury – po 3500 złotych. Warto podkreślić, że Nagrodę Główną ufundowała firma Consultronix, zaś Nagrodę Czytelników miasto Kraków – za co serdecznie dziękujemy!

Przypomnijmy też, że konkurs PORTRETÓW współtworzą Biblioteka Kraków, Fundacja Świat ma Sens, KBF – operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO oraz Consultronix.

W związku z pandemią uroczystość wręczenia statuetek zostaje przesunięta na czerwiec 2021 roku.





Zwycięzcy – czułość

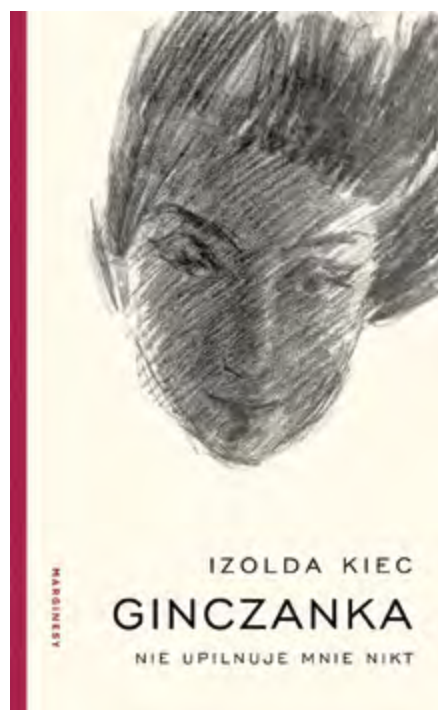
Tekst: Artur „Baron” Więcek (przewodniczący jury konkursu PORTRETY) **Zdjęcie:** Piotr Uss Wąsowicz

„Czułość – proszę Państwa – czułość!” – tak zaczynała się moja zeszłoroczna laudacja, opisująca wrażenie, jakie towarzyszyło mi podczas lektury *Pustego lasu* Moniki Sznajderman, zwycięskiej książki pierwszej edycji konkursu PORTRETY. W tym roku laur jury zdobyła także książka. To *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* Izoldy Kiec.

Krzysztof Zajas w recenzji dla „Krakowa” pisał: „To biografia na różne sposoby intymna, nadwrażliwa, miłosna. Czuła biografia”.

Czyżby więc czułe, osobiste i pełne empatii historie trafiały do jury najlepiej? Może jest coś na rzeczy, ale wiemy oczywiście, że to nie wszystko. W obu przypadkach mamy bowiem do czynienia z bardzo dobrą, świetnie udokumentowaną, operującą wspólnym językiem literaturą.

Losy Zuzanny Ginczanki, młodej, pięknej i nad wyraz utalentowanej żydowskiej poetki, która, wydana przez polską sąsiadkę, ginie w wieku ledwie 27 lat, najprawdopodobniej w hitlerowskim obozie, to coś zdecydowanie więcej niż zwykła biografia. To także zbliżanie się do czegoś, co piekielne i mroczne w naturze człowieka. Obcowanie z dramatyczną i pełną tajemnic historią tej niezwyklej kobiety napełnia jakimś przejmującym i obezwładniającym poczuciem trwogi, lękiem, bolesnym wrażeniem „końca świata”. Niecodzienne jest również to, że autorka książki zajmuje się tym tematem od ponad trzydziestu lat, co niezaprzeczalnie przekłada się na wspaniałą, pełen autentyzmu końcowy efekt, z jakim kreśli portret swojej bohaterki.



Artur „Baron” Więcek – reżyser i scenarzysta, autor filmów fabularnych, dokumentalnych oraz spektakli teatralnych i programów telewizyjnych. Za *Anioła w Krakowie* został wyróżniony nagrodą za debiut reżyserski na Festiwalu Filmów Fabu-

larnych w Gdyni w 2002 roku. Ostatnio na platformie Play Kraków udostępniony został wyreżyserowany przez niego program *Jerzy Pilch – XV Wypominki Tischnerowskie*. Współtwórca Fundacji Świat Ma Sens.



Od tego się zaczęło: Zuzanna Ginczanka

Tekst: Izolda Kiec Zdjęcie: Mariusz Forecki

Pierwsze spotkanie z Zuzanną Ginczanką to także spotkanie ze sobą, nastoletnią. Przy półce z książkami należącymi do Mamy. Z broszurką: Zuzanna Ginczanka, *Wiersze*. To samodzielne odkrywanie słów, osobowości Innej i bliskiej zarazem, odkrywanie siebie w cudzych słowach.

To przede wszystkim wiersz *Fizjologia* z powtarzanym potem na różne sposoby, w różnych odcieniach i z udziałem rozmaitych emocji zdaniem: „mam w sobie śmierć nieuchronną jak igła krążąca w żyłach”; z rodzącym poczuciem identyfikacji stwierdzeniem: „że niby: jestem szczęśliwa”. Być może po raz pierwszy tak jasno zdałam sobie sprawę z tego, że istnieje rozdźwięk pomiędzy wyobrażeniem o szczęściu a poczuciem szczęścia, między szczęściem manifestowanym albo narzucanym przez otoczenie młodości i urodzie chociażby a jego dotkliwym brakiem, deficytem spontaniczności i entuzjazmu skrywanymi wstydliwie, kontestowanymi w samotności, tu – w wierszu Ginczanki – nazwanymi wprost i objawionymi z całą siłą.

Wówczas zawłaszczając tę poezję dla siebie, izolując od kontekstu, pytając o własne doświadczenie, wpisując słowa poetki w moją, strzeżoną samotnie wewnętrzną historię. Historię niby-szczęścia, uszczelniania kokonu, pielęgnowania lęku. Jeśli dobrze pamiętam, nie chodziło mi wtedy o drogowskazy umożliwiające wychodzenie ze skorupki, a jedynie o potwierdzenie własnego, nastoletniego stanu świadomości. Nie chodziło o Zuzannę, ale o mnie.

Pierwsze spotkanie z biografią Zuzanny Ginczanki to spotkanie z legendą utrwaloną we wspomnieniach przedwojennej warszawskiej cyganerii: młodej, wybitnie zdolnej poetki, pięknej Kresowianki, rosyjskiej Żydówki zafascynowanej polską literatu-

rą, królującej na stołecznych salonach, ulubienicy zarówno Juliana Tuwima, jak i Witolda Gombrowicza. Dziewczyny o różnobarwnych oczach. Dziewczyny, która żyła zbyt krótko, żyła z piętnem pochodzenia i zginęła za „rzeczy żydowskie”.

Drugie spotkanie to myśl o pracy poszukiwawczej, myśl o przebyciu raz jeszcze, wspólnie, jej drogi. Myśl o powrocie do jej czasów, do ludzi, których ona знаła, i miejsc, które przemierzała, oswajała, z których czasem uciekała. Oraz myśl opowiedzenia o tym wszystkim wrażliwym ludziom, którzy o Zuzannie Ginczance nigdy nie słyszeli, którzy nie znają żadnego z jej wierszy.

Myślałam wtedy, czy uda się ocalić jakiegokolwiek okruchy, ilu jeszcze pamięta, jak wyraźny będzie mój portret Zuzanny Ginczanki... Napisałam „mój”, ponieważ po raz drugi zabierając się do pisania biografii Ginczanki – dokładnie trzydzieści lat od rozpoczęcia prac nad pierwszą moją książką o niej – myślałam o czymś, z czego nie zdawałam sobie sprawy w młodzieńczym entuzjazmie: o odpowiedzialności za opowieść o losie innego człowieka, o godnym jego reprezentowaniu. To było wyzwanie najważniejsze.



Od tego się zaczęło: Lwów

Tekst: Stanisław Nicieja Zdjęcie: Jerzy Stemplewski

Przed wszystkim czuję się biografistą. Wszystkie książki, które napisałem, poczynając od magisterium po habilitację, to biografie.

Ta dziedzina twórczości, zawieszona między sztuką a nauką, jest mi najbliższa. Gdy w 1978 roku trafiłem przypadkowo na lwowski Łyczaków i uległem fascynacji tą niezwykłą nekropolią, pomyślałem: jakaż tu musiała być wspiana mozaika biograficzna obywateli miasta, które osiągnęło taką pozycję w kulturze w tej części Europy. Później, przebijając się przez archiwalia oraz roczniki prasy lwowskiej w poszukiwaniu nekrologów i życiorysów, udało mi się odtworzyć różnorodność tej społeczności. I właśnie setki biografii tych ludzi stały się rdzeniem mej książki o cmentarzu Łyczakowskim wydanej w 1988 roku, będącej w istocie zbiorową biografią. Książka ta przełamała milczenie o Lwowie w oficjalnym obiegu i osiągnęła – jak na tego typu literaturę – nieprawdopodobny nakład: 300 tysięcy egzemplarzy. Uświadomiłem sobie wówczas, że jest to jakiś klucz.

Gdy po usunięciu w Polsce kleszczy cenzury Lwów stał się tematycznie bardzo modny i zaczęły lawinowo powstawać setki różnych publikacji na jego temat, uznałem wówczas, że w penetracji historii tego miasta nie muszę już uczestniczyć, bo robią to inni i często z bardzo dobrym skutkiem. Równocześnie zauważyłem, że zaniedbana jest tak zwana prowincja kresowa – te miasteczka, które funkcjonowały w cieniu Lwowa czy Wilna, jak na przykład Sambor, Kołomyja, Drohobycz, Grodno, Baranowicze, a tam częstokroć była wylęgarnia

talentów, które po ukończeniu miejscowych gimnazjów szły do Lwowa lub Wilna, aby zdobywać dalsze szlify i „sięgać gwiazd” – jak się wówczas popularnie mówiło.

Tak pojawił się pomysł, który realizuję od kilkunastu lat, doznając często olśnienia, że w jakiejś małej, zapomnianej przez Boga i ludzi miejscowości objawiały się talenty, rodziły się niezwykle zjawiska i że tam korzenie swoje mieli późniejsi luminarze naszej kultury, gospodarki, polityki. Ponieważ dopracowałem się warsztatu biografisty pozwalającego mi dotrzeć do ludzi i zjawisk przez nikogo przede mną niezauważonych, mam z jednej strony satysfakcję odkrycia, wzbogacania naszej wiedzy o przeszłości, a z drugiej strony trafiłem na wielką wdzięczność ludzi, którzy cieszą się, że odkryłem ich korzenie rodzinne i pokazałem zjawiska fascynujące, osnute do tej pory mgłą zapomnienia. Bo jest przecież tak zwana dziejowa niesprawiedliwość. Historycy i różni opisywacze dziejów często ulegają koniunkturze politycznej czy artystycznej, która wpływa na lansowanie, a nawet stawianie pomników częstokroć błahym postaciom, niesłusznie zmitologizowanym. A patrząc z drugiej strony – potrafią pominąć lub przemilczeć prawdziwych bohaterów czy wybitnych twórców, rugując ich tym samym z pamięci kolejnych pokoleń.

Postawiłem sobie zadanie, że w moich książkach przywołam postacie również tych wyrugowanych.



Od tego się zaczęło: polski lud

Tekst: Adam Leszczyński Zdjęcie: Patatof

Wielokrotnie słyszałem pytanie: „Dlaczego napisałeś tę książkę?”

Chciałbym opowiedzieć o najważniejszym powodzie: o potrzebie sprawiedliwości.

Otóż polska literatura historyczna w ostatnich dekadach w nieproporcjonalnie, jak sądzę, dużym stopniu koncentrowała swoją uwagę na elitach.

Nie mam tu na myśli programów szkolnych. Wszyscy wiemy, co o nich myśleć. Mam na myśli literaturę naukową (mówię o literaturze, gdyż uważam piśmiennictwo historyczne za rodzaj literatury).

Historyk Jacek Wijaczka w podsumowaniu naszego dorobku naukowego dotyczącego dziejów nowożytnych napisał wprost: „Dzieje chłopów i wsi nie budziły ostatnio prawie żadnego zainteresowania badaczy”. Przez „ostatnio” miał na myśli trzy dekady – od początków wolnej Polski w 1989 roku. O szlachcie zaś napisano całą bibliotekę.

Kiedy przygotowywałem się do napisania *Ludowej historii Polski*, przeczytałem bardzo dużo naszej literatury historycznej – sięgając aż do XIX wieku. Nie robiłem statystyk, ale jestem gotów bronić tezy, że to sytuacja wyjątkowa. Nigdy wcześniej – czy to pod zaborami, czy w dwudziestoleciu, o czasach komunistycznych nie wspominając – historycy nie interesowali się ludem w tak niewielkim stopniu.

Dlaczego?

Być może był to efekt reakcji wobec komunizmu (nawiasem mówiąc, historia ludowa znalazła się na uboczu już w latach 70. minionego stulecia). Tak jak stawialiśmy w Polsce masowo pseudodwórki z kolumnkami, tak samo wypieraliśmy pamięć o chłopskim pochodzeniu większości z nas.

Ten brak zainteresowania miał szerokie konsekwencje, jak sądzę, w sferze władzy symbolicznej. Większość narodu zniknęła z pola widzenia. Praw-

dziwa historia to historia elity – dworku, ułana, później postszlacheckiego inteligenta, koniecznie antykomunistycznego. O tym, jak konserwatywna i zafałszowana jest to wizja, nie muszę chyba wspominać.

Nie o fałszowaniu pamięci historycznej chciałem jednak mówić, ale o sprawiedliwości.

Wydawało mi się zawsze, że próba opowiedzenia o historii Polski z perspektywy dolnych 90. procent to akt sprawiedliwości i że ktoś to powinien zrobić.

To naturalnie bardzo drobny akt sprawiedliwości – taki, na jaki stać autora piszącego książki. Zwłaszcza w obliczu tego, co zbiorowemu bohaterowi mojej książki się należy.

Jestem zresztą bardzo zaskoczony, że nikt nie zrobił tego wcześniej. Mamy już wiele znakomitych książek o historii społecznej, zwłaszcza dotyczących dziejów kobiet i zwłaszcza dotyczących Polski Ludowej. Bardzo wiele im zawdzięczam. Ale nie mieliśmy dotąd całościowej opowieści.

Wiele czytelniczek i czytelników tak właśnie odebrało moją książkę: jako akt sprawiedliwości, próbę zwrócenia godności i przywrócenia autentycznej wartości ich pochodzeniu. Dostałem kilkadziesiąt listów – w przytłaczającej większości od osób, których nigdy nie znałem. Pisały o swoich korzeniach bardzo długie, przejmujące rzeczy.

I te głosy są dla mnie, jako dla autora – świadomego różnych wad i słabości mojej książki – źródłem największej satysfakcji.



Od tego się zaczęło: Dom Literatów

Tekst: Marek Gajczak Zdjęcie: Klaster Film

Temat Domu Literatów sam do mnie przyszedł. Wcale go nie szukałem, przeciwnie, przez długi czas dzielnie się opierałem, a on atakował mnie z różnych stron. Pewnego dnia wpadł mi w ręce scenariusz Jana Polewki i już wtedy czułem, że jest w nim potencjał.

Pamiętam pierwsze spotkanie z Jankiem w ogrodzie Mehoffera na zapleczu Domu Literatów. Siadaliśmy i patrzyłem na ten dom, na tę ruderę, i słuchałem opowieści Janka, który na ten temat może mówić bez końca. Im dłużej mówił, tym bardziej byłem przerażony. Myślałem: „O, Boże! Tyle wątków, tylu bohaterów! Jak ja to ogarnę?”

Wyszedłem z tego spotkania z poczuciem, że nie jest to temat dla mnie. Nie czułem się wystarczająco kompetentny, aby tę historię opowiedzieć. Ani nie miałem takiej wiedzy o literaturze, ani o samym Domu.

Ale wtedy przypomniałem sobie jeden z moich ulubionych cytatów: słowa kierowcy rajdowego Mario Andrettiego: „Jeżeli wszystko jest pod kontrolą, to znaczy, że jedziesz zbyt wolno”.

Tak się zaczęła ta trwająca prawie trzy lata przygoda z Krupniczą 22. Zagłębiłem się w ten temat i przeczytałem wszystko, co byłem w stanie na temat Krupniczej zdobyć. Ten temat zaczął mnie coraz bardziej wsysać, wciągać.

Jest ewidentnie jakaś energia tego domu, która wciąż wibruje, bo w momencie, kiedy rozpoczęliśmy pracę nad filmem, ukazała się książka Anny Grochowskiej *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą*. Muszę przyznać, że nieraz ta książka była dla mnie wsparciem, ale też cennym kompendium wiedzy na temat wszystkiego, co działo się w tym domu. Drugim takim kompendium był Jan Polewka, który czuwał nad nami merytorycznie.

Film opowiada tylko to, co najważniejsze, ale tam pod spodem kłębią się tematy, które jeszcze nieraz będą chciały ujrzeć światło dzienne. Jestem przekonany, że jeszcze niejeden film inspirowany Krupniczą powstanie. Teraz widzę, że jest to kopalnia tematów, kopalnia anegdot i szerokie spektrum przeróżnych, dziwnych, często ekscentrycznych postaci.

Wcześniej mijałem ten dom obojętnie, a teraz jest dla mnie jednym z kluczowych miejsc w Krakowie. Jeśli ktoś tu przyjeżdża, to go zabieram na Krupniczą i mówię: „Zobacz, tu jest słynny dom literatów. Tu mieszkało 100 literatów, w tym Szyborska, Mrozek, Różewicz”. Oni wtedy mówią: „Ale czad! Takie miejsce! Wspaniałe”. I zaraz potem dodają: „No to jak oni ze sobą wytrzymywali? Nie pozabijali się nawzajem?”. Na co odpowiadam: „Nie wiem. Po prostu potrafili. Pili razem wódkę, kłócili się, ale jak trzeba było, to się wspierali nawzajem i potrafili przekuć tę energię w tyle wartościowych i pięknych dzieł”. Ta wspólnotowość Krupniczej wydaje mi się z perspektywy czasu niebywałą wartością.



Ocalone z popiołów

Tekst: Witold Bereś Ilustracja: Raport Stroopa/domena publiczna

To jedna z najbardziej przejmujących scen, jakie czytałem. Oto z Izraela do Polski przyjeżdża Dori – mężczyzna w wieku średnim, odlegle spokrewniony z Gelą Seksztajn. Gela była obiecującą malarką, która zginęła podczas powstania w getcie warszawskim w roku 1943 i jedyne, co po niej pozostało, to kilka akwarel zachowanych w bańkach Archiwum Ringelbluma, ukrytych przed zniszczeniem getta. Dori przyjechał do Polski z rodziną i poprosił w Żydowskim Instytucie Historycznym o możliwość obejrzenia prac swej dalekiej krewnej. Zgody udzielono.

Weszli więc na piętro do małego pokoju i zobaczyli akwarele oraz szkice ostrożnie rozłożone na stołach. Itamar, syn Doriego, wtedy ośmioletni chłopiec, oglądał prace w milczeniu, a potem wyszedł na korytarz i się rozpłakał. Płakał tak bardzo, że ani Dori, ani jego żona Ruti, która studiowała *child clinical psychology* i jest uznanym specjalistą leczenia depresji, nie byli w stanie go uspokoić.

Skąd taki malec, który o Holocauście wie mało lub nic, ma taki poziom wrażliwości? A jednak wydaje się, że właśnie ta scena oddaje najgłębsze człowiecze prerażenie ze spotkania z Zagładą: pojawia się ono wtedy, gdy stykamy się z artefaktami niegdyś tworzonymi czy nawet pieszczonymi przez ludzi, którzy później po prostu rozwiłi się w dymie pożarów i oparach gazów.

Monika Libicka, autorka książki, też to zauważa: „Mały płakał, bo właśnie wtedy dotarło do niego, że wszyscy, których namalowała Gela, zostali zamordowani w getcie”.

Dziennikarka idzie przez całą książkę tropem Geli – kobiety zbuntowanej przeciwko żydowskim obyczajom i polskim realiom. Jej prochy (i jej córki) najprawdopodobniej leżą gdzieś na Muranowie, w lic-

nych tu wzgórzach usypanych na ruinach spalonego getta, na których zaraz po wojnie postawiono nowe budynki.

I właściwie poza mglistymi opowieściami Gela byłaby nie do odzyskania.

Ale poszukiwanie jej tropów to również opowieść o Archiwum Ringelbluma, czyli o tym, jak polsko-żydowski historyk widząc kroczącą Zagładę, postanowił ocalić dowody żydowskiego męczeństwa. Archiwum to wydobyto w 1946 roku, a cztery lata później, przypadkiem, trafiono na drugą część skarbu – dwie kanki po mleku wypełnione papierami. Wśród nich są dowody na istnienie Geli Seksztajn.

Dziennikarka – choć właściwsze byłoby określenie pisarka, zważywszy na niezwykle talent Libickiej i miarę słowa okazywaną na każdej stronie jej książki – skleja z okruszków i pyłu nie tylko hologramową sylwetkę malarki. To jest wzruszająca, dławiąca łzami dech opowieść o kobiecie, która była przeciw, i o kraju, który, który nie opłakał jej ani jej córeczki Margolit, dla której z dumą żyła – jak zapisała na karteluszkach ocalałym w bańce po mleku...

Monika Libicka, *Gela*, Wielka Literatura, Warszawa 2021.

Malarka, która nie dała się stłamsić

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcia:** dzięki uprzejmości Muzeum Narodowego w Krakowie

Olę Boznańską odstręczało od Krakowa ludzkie gadanie. Szczególnie mężczyzn, którzy nie wyobrażali sobie, że kobieta może dorównać im talentem. Jednak teraz nastał czas kobiet i to kobiety sprawią, że malarka wróci pod Wawel. Miesięcznik „Kraków” przyłącza się do akcji.

Kamienica przy ulicy Piłsudskiego 21 w Krakowie. Dziś świetny adres. Jednak w 1867 roku, kiedy Adam Boznański kupuje tu kawałek łąki z myślą o budowie domu, który zabezpieczy przyszłość jego rodziny, tereny te nie są zbyt popularne. Lokatorzy, którzy zamieszkają w oficynie, nie będą należeć do zamożnych, kłopoty z wyciągnięciem od nich czynszu nieraz spędzą sen z powiek Oldze i Izie, dzieciom Adama.

Dziś znaczna część gmachu należy do Akademii Sztuk Pięknych. Na ostatnim piętrze, gdzie znajdowała się pracownia Olgi Boznańskiej, mieści się Akademickie Biuro Karier i Realizacji Projektów. By do niego dojść, wspinam się po trzeszczących schodach i myślę sobie, że sama nazwa cennej skądinąd inicjatywy ASP pewnie by malarkę rozbawiła. Przecież jej podejście do pieniędzy, które jakoś mimo wszystko łączą się z karierą, było, delikatnie mówiąc, dyskusyjne. Kiedy udało się jej coś zarobić, upychała banknoty po różnych zakamarkach pracowni, wsadzała je między poplamione gazety, po czym o nich zapominała. A jeżeli nie, trafiały do rąk pierwszego z brzegu cwaniaka, który właśnie postanowił naciągnąć artystkę na pożyczkę.

Jednak Urszula Kozakowska-Zauchna, kierowniczka działu sztuki nowoczesnej Muzeum Narodowego w Krakowie, współautorka wystawy poświęconej Oldze Boznańskiej, twierdzi, że stosunek artystki do kariery wcale nie był taki lekceważący. Zabiegała o wystawy, chciała być doceniana przez krytyków i publiczność, choć oczywiście nie do końca była w stanie zapanować nad praktyczną stroną związanych z tym poczynań.

Z jej opinią zgadza się Iwona Demko, artystka sztuk wizualnych, wykładowczyni ASP, feministka zafascynowana osobą Olgi Boznańskiej, w której dostrzega kobietę idącą pod prąd schematów, nie dającą się wbić w sztywny gorset mieszczańskich konwenansów.

W trójkę rozsiadamy się w miejscu, gdzie znajdowała się pracownia Olgi, i nie możemy przestać

o niej rozmawiać. Może tak wpływa na nas dobra energia miejsca, gdzie unosi się duch malarki, a może to, że wszystkie jesteśmy pod wrażeniem jej sztuki. A także rzadkiej u kobiet z przełomu XIX i XX wieku odwagi, pozwalającej malarce żyć tak, jak chciała. Opowiemy o tym, odwiedzając pracownię artystki. Przypomnienie tych miejsc jest ważne, bo mamy plan, któremu patronuje Krystyna Zachwatowicz-Wajda. Ale zanim go zdradzimy, spotkajmy się z Olgą.

Pracownia przy ulicy Wolskiej 21, dziś Piłsudskiego 21

Najważniejsze jest okno. Zajmuje całą ścianę, widać przez nie oficynę i podwórko, po którym biegają zadowolone tu koty. Ono jest najważniejsze. Olga, kiedy w 1908 roku przerabiano dla niej część mieszkania na pracownię, nie pozwalała wstawić podwójnych szyb, bo zmieniałyby naturalne światło. Padające promienie oświetlają modeli, którzy cierpliwie pozują na specjalnie wybudowanym podeście. Malarka stoi przed sztalugami i patrzy na nich przenikliwym wzrokiem. Może teraz trochę zła spogląda na Henryka Sienkiewicza, z którym w trakcie pracy się pokłóciła? A może z uwagą wpatruje się w rysy rzeźbiarza Ludwika Pugeta?

Na zdjęciu zrobionym w 1913 roku wszystko jest sterylnie czyste. Jakbyśmy nie byli w pracowni artysty. Pewnie Olga kazała ją wysprzątać przed przyjęciem fotografa. W końcu w Krakowie ład i porządek być musi. Po co znowu mają o niej gadać? I tak już powiedzieli wystarczająco dużo, kiedy zobaczyli jej prace. Malczewski nazywa je „zakopconym sadzą malarstwem”, jakimiś kolorowymi łatkami, bez kośca. Matejko z Siemiradzkiem nie byli lepszego zdania. Ale co innego może powiedzieć twórca *Bitwy pod Grunwaldem*, jeśli jako rektor Szkoły Sztuk Pięknych zabrania kobietom przekraczać jej progi. Utalentowane panny mogą ewentualnie kształcić się na Wyższych Kursach dla Kobiet Baranieckiego. Jednak Olga się na nich nudzi. Tak zresztą, jak nu-



Olga Boznańska w pracowni przy Boulevard Montparnasse 49 w Paryżu

dzi się już od pewnego czasu w Krakowie. Skarży się na brak rozrywek, czuje, że dusi ją atmosfera miasta. No i jest pod ciągłą kuratelą ojca, którego musi pytać o wszystko.

Ciekawe, czy to właśnie o ojcu myśli, kiedy na fotografii patrzy przez okno krakowskiej pracowni. Dziś mówi się, że malarzkę mógł łączyć z ojcem niezdrowy związek. Znawcy tematu przypuszczają, że we wczesnej młodości molestował on Olę i Iżę. Podobno widać to w oczach dzieci, które artystka malowała. Są puste, smutne, ich zaciśnięte piąstki wyglądają tak, jakby chciały się bronić przed całym światem. A może po prostu są zwyczajnie zmęczone pozowaniem, bo dla Boznańskiej, kiedy malowała, czas płynął swoim rytmem. Tego się już nie dowiemy i szczerze mówiąc, wiedza ta nam nie jest do niczego potrzebna.

Bez wątpienia, gdyby nie ojciec, który pozwolił córkom wyjechać do Monachium, a potem do Paryża, i który je utrzymywał, Olga nie osiągnęłaby tego, co osiągnęła. Nie uczyłaby się malować w szkołach Karla Kricheldorfa i Wilhelma Dürra, nie poznałaby nowych nurtów w sztuce, nie znalazłaby swojego stylu. No i nie zostałaby w końcu doceniona w Krakowie. Miejscowe elity zmieniają o niej zdanie, kiedy *Portret malarza Nauena* zostaje nagrodzony na wystawie w Wiedniu, a ona odbiera złoty medal od arcyksięcia Karola Ludwika. Obraz sprzedaje Muzeum Narodowemu w Krakowie, a Henryk Rodakowski, prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, napisze do niej, by zgodziła się na wystawę w rodzinnym mieście. Ciekawe, co Olga czuje, czytając te słowa, zważywszy, że jeszcze całkiem niedawno pisarz i malarz Edward Raczyński wypowiadając się na temat wystawy światowej w Paryżu, oświadczył: „Obrazów zupełnie złych tam nie będzie (chyba żeby Boznańskiej *Matkę z dzieckiem* wystawili)”.

Pracownię w kamienicy przy Wolskiej Olga kazała urządzić dla siebie już po śmierci Adama Boznańskiego, by spędzać tu letnie miesiące, zostawiając za sobą na chwilę duszny Paryż.

Pracownia przy Georgenstrasse

Ta pracownia zdecydowanie bardziej przypomina miejsce pracy twórczej. Widać, że służąca nie wpuściła wszystkiego na błysk przed pojawieniem się fotografa. Wnętrze nosi jeszcze ślady mieszczańskiego wychowania jego właścicielki. Na ścianach wiszą obrazy, a podwyższenie z rzeźbionym fotelem, na którym siadają modele, jest udrapowane kwiecistą materią. Jakoś tu radośnie, w powietrzu unosi się atmosfera artystycznej weny i nieskrępowanej zabawy. Na kolejnych zdjęciach z monachijskiej pracowni artystka pojawia się z koleżankami. Plotka głosi, że odwiedzają ją tam też mężczyźni i to nie tylko w celach zawodowych.

Choć jakoś do mężczyzn nie ma za bardzo szczęścia. Jeszcze w Krakowie planowała wyjść za mąż za majątnego Rosjanina, ale coś stanęło na przeszkodzie. Później nie unikała flirtów, na tyle, na ile było to możliwe w konserwatywnym mieście. Tu, w Monachium czuje się wolna, ojczowska kontrola tak daleko nie sięga. Ale właśnie wtedy w jej życiu pojawia się Józef Czajkowski. Młodszy o siedem lat, także studiuje malarstwo. Olga chyba pierwszy i ostatni

raz w życiu naprawdę się zakochuje. Józefa nazywa *little pig*, czyli prosiaczkiem, i jest w stanie poświęcić dla niego wiele. Choć nie wszystko, a na pewno nie swoją sztukę. Dlatego kiedy on dostaje posadę w Krakowie, w biurze architektonicznym Tadeusza Stryjeńskiego i Zygmunta Hendla, nie decyduje się wrócić z nim pod Wawel.

Cóż mogłaby zresztą tu robić? Zostać żoną przy mężu i matką gromadki dzieci? To raczej nie pasowało do jej życiowych planów. Małżeństwo uważa za „okrucieństwo fizyczne zadawane kobietom”, a sama myśl o ciąży budzi w niej wstręt. „Z bliska to wszystko przedstawia się przerażająco. Poświęcenie jednej egzystencji dla wyprodukowania drugiej. To kobieta, nie mężczyzna, czuwa przy dziecku po nocach, które ją powoli miażdży. Jak pracować twórczo, gdy ma się głowę obolałą od bezsenności” – zastanawia się i nie decyduje na małżeństwo. Cieszy to jej ojca, który Józefa nie lubi.

Gdy dochodzi do zerwania, zostaje jej jego portret, który będzie miała do końca życia. Zabierze go ze sobą do Paryża, tak jak i siostrę Iżę, utalentowaną pianistkę, z którą kłopoty zaczynają się już w Monachium. Skąd wzięła się ta jej skłonność do alkoholu i narkotyków, trudno powiedzieć. Może raczej mają ci, którzy szukają korzeni jej nałogu w dzieciństwie, w relacjach z kierującym życiem córek ojcem? Nie wiadomo. Wiadomo, że zdarza się jej pić w samotności, do dna, kiedy to butelka wypadła jej z rąk, turlając się gdzieś pod łóżko. Wiadomo, że dostęp do narkotyków był w tym czasie łatwy. Kto chciał, ten nie miał problemu ze znalezieniem palarni opium czy miejsca, gdzie lekarze podają klientkom morfinę, kuszając ampułką o zapachu róży czy fiołka. Izy nie stać na taką ekstrawagancję, zastrzyki robi sobie pewnie sama.

Pracownia przy Boulevard Montparnasse 49

Oj, tam już nie jest dobrze, ulotniła się mieszczańska solidność, każąca choć trochę uładzić wnętrze, zanim zjawi się w nim fotograf. W poprzednich paryskich pracowniach jeszcze to jakoś wszystko wyglądało, jeszcze całkiem schludnie ubrana Olga pozowała na tle oprawionych w ramy obrazów. Jeszcze miała na sobie wyprany fartuch, jeszcze w lustrze odbijały się jej starannie uczesane włosy. Teraz prezentuje się dosyć przygnębiająco.

Na zdjęciu widać plamy na jej ubraniu, potargane części starego dywanu, porozrzucane bezładnie przedmioty i opartą byle jak o ścianę drabinę. Olga dziwnie patrzy w obiektyw, nie wyciąga z ust papierosa. A pali jak komin, bez żadnej lufki czy innej, choćby pozornej ochrony przed nikotyną. Wszystko przenika duszący dym, który zostawi ślady na obrazach. Konserwatorom, którzy po latach będą przywracać im świetność, nieraz przez to będą cisnąć się na usta niecenzuralne słowa.

No i mają problem, kiedy w ich ręce trafiają płótna nadgryzione przez myszy. A tych w pracowni Boznańskiej nie brakuje. Już w 1903 roku kupiła białe myszki, które jak na ich rasę przystało, rozmnożyły się błyskawicznie. Zaanektowały wszystkie kąty pracowni, choć ulubione miejsce znalazły za parawanem, w pianinie marki Steinway, na którym grywał Artur Rubinstein. Teraz nikt już in-



Olga Boznańska w pracowni w Monachium, ok. 1896

strumentu nie nastroi i nie zagra Chopina, bo myszy przegryzły struny i zjadły sukno, którym obite były młoteczki. Malarka kilka razy dziennie woła swoje podopieczne, żeby najadły się czymś zdrowszym. Kupuje im makaron, który rozrzuca po całej podłodze. Odwiedzający ją w pracowni goście muszą przywyknąć do tego, że w każdej chwili któraś z „córeczek mamusi”, jak je nazywa, zechce wspiąć się po sukniach kobiet czy spodniach panów. Paniąka w oczach przybyszów uważana jest przez Olę za coś niestosownego.

Podobnie jak jakiegokolwiek uwagi na temat papugi Jacquot, która jeśli ma dobry humor, wita grzecznie gości po francusku, ale gdy go nie ma, potrafi nazwać ich „cochon”, co oznacza świnie. A nie ma humoru wtedy, gdy kanarek Maciuś postanawia pokazać jej, kto tu rządzi i tłucze papugę z zaciętością godną lepszej sprawy. Przez ich krzyki odwiedzający Olę ludzie mogą przeoczyć to, co dzieje się w cukiernicy, którą gospodyni postawiła przed nimi razem z parzącą się w imbryku herbatą. Gdy im się to zdarzy, malarka nieznośnym sprzeciwem głosem prosi ich, żeby uważali. Przecież żyjące w cukrze mrówki to

stworzenia boże, których nie można topić we wrzątku. Tak samo jak nie można pochować zmarłego psa. Lepiej go wypchać i posadzić na kanapie, by w każdej chwili móc go pogłaskać.

Ale i tak do pracowni artystki pielgrzymują wielbiciele jej sztuki, którzy liczą, że za małe pieniądze kupią jakiś obraz. Albo jeszcze lepiej: sami zostaną sportretowani. Zjawiają się też naciągacze, wiedzący doskonale, że artystka ma raczej mało praktyczny stosunek do pieniędzy. Wystarczy, że powiedzą, iż nic dziś nie jedli i mogą być pewni, że będą się bawić za jej pieniądze w jednej z knajp, jakich na Montparnasse nie brakuje.

Przez to ona sama popada w coraz większą biedę. Iza nie wie, co ma w tej sytuacji robić, tym bardziej że zdaje sobie sprawę z tego, iż siostra nie pozwoli sobie pomóc. W chwilach jasności myśli, kiedy nałóg nie bierze nad nią góry, podstawia przypadkowych ludzi, dając im pieniądze, by kupowali od Olgi obrazy. Nie trwa to jednak długo. Boznańska ostatni raz widzi siostrę w kostnicy. Wygląda strasznie, ma wypalony nos, oczy, uszy. Trucizna, którą połknęła, dosłownie zwęgliła jej ciało.



Olga Boznańska w pracowni w Monachium

Olga zostaje sama. Owszem, przelatuje jej przez myśl możliwość powrotu do Krakowa. Ale jest ona chwilowa, refleksją przychodzi od razu: „Boże, co ja bym miała tam robić (...) tam gdzie dziś tak straszna wieje pustka, w tym Krakowie, gdzie na każdym kroku ludziska dopytywać mnie będą o Izię, a tym samym przeciągle ranić będą tylko me serce”. Kraków i nieodłącznie kojarzące się z rodzinnym miastem ludzkie gadanie znowu ją odpycha. Nigdy tu już nie wróci. Umrze 25 października 1940 roku. Zostanie pochowana na cmentarzu Les Champeaux w Montmorency pod Paryżem.

*

W testamencie przekazuje swoją pracownię i należąca do niej część krakowskiego domu Akademii Sztuk Pięknych. Przez lata pracownia była w dyspozycji rektorów ASP. Inaczej sprawa ma się z rzeczami, w tym z obrazami pozostawionymi przez Olę w jej paryskiej pracowni. Opiekuje się tam nimi zaprzyjaźniona z malarką Aniela Lewandowska. Zgodnie z wolą Boznańskiej przekazuje je Muzeum Narodowemu w Krakowie. Ale zanim do niego trafią, przeleżą 10 lat w paryskich magazynach. Nadgryzie je

tam zęb czasu i wilgoć. Konserwatorzy będą mieli pełne ręce roboty.

– Obecnie w kolekcji muzeum znajduje się 105 dzieł Boznańskiej. Pięć prac, w tym *Dziewczynka z kwiatami*, eksponowanych jest na stałe. Reszta trafiła do magazynów, tak jak przedmioty osobiste artystki. Tak osobiste jak sztuczna szczęka, suknia balowa, rękawiczki... Pokazaliśmy je, no, może oprócz tej całkiem zresztą ładnej szczęki, na wystawie monograficznej w 2015 roku. Cieszyła się wielkim powodzeniem – mówi Urszula Kozakowska-Zauchka

I tu dochodzimy do sedna. A opowie nam o niej Iwona Demko: – Wszystko zaczęło się od wmurowania w 2000 roku tablicy na fasadzie domu Olgi Boznańskiej przy ulicy Piłsudskiego 21. Pięć lat później, w 140. rocznicę jej urodzin i 65. śmierci, Akademia Sztuk Pięknych zorganizowała sesję, na której pojawił się pomysł stworzenia muzeum artystki. Jednak jakoś tak się stało, że umarł on śmiercią naturalną. Rok 2019 był Rokiem Kobiet z ASP. Z tej okazji zorganizowałyśmy cykl spotkań z artystkami, który wieńczył wieczór z Krystyną Zachwatowicz-Wajdą. Przyszło mnóstwo ludzi,



Wnętrze pracowni w Krakowie

a pani Krystyna przypomniała o niegdysiejszej idei. Napisałam do niej maila z podziękowaniami, a ona odpisała, że trzeba powołać zespół, który zajmie się stworzeniem tego miejsca. I tak mamy już wstępny projekt. Chciałybyśmy, żeby nie było to tylko tradycyjne odwzorowanie pracowni Boznańskiej, ale współczesne, interaktywne centrum sztuki, odwiedzone przez publiczność spoza akademii. W galerii, w której zawisną obrazy malarki, znajdzie się miejsce na pamiątki po niej, ale także na promocję młodych artystek i artystów.

Iwona Demko ma rację, że to dobry moment, by zaważczyć o prawdziwy powrót Olgi Boznańskiej do Krakowa. Przecież właśnie nastał czas kobiet.

Przygotowując tekst, korzystałam z książki Angeliki Kuźniak *Boznańska. Non finito*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Książka, którą się sęczy, a nie pije

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Dwóch pisarzy i jedna wyspa, na którą każdy patrzy na swój sposób, przepuszczając to, co widzi, przez własną wrażliwość.

Czerwony śnieg na Etnie Jarosława Mikołajewskiego i Pawła Smoleńskiego czytam przy wwiercających się w ucho dźwiękach karetek. Mamy szczyt pandemii, media donoszą, że zaraz zabraknie łóżek w szpitalach, a ja staram się o tym nie myśleć, wciskając głowę między karty książki opowiadającej o Sycylii – nie wiem, czy najpiękniejszej, bo może i są ładniejsze, ale bez wątplenia najciekawszej wyspie świata. Razem z autorami spaceruję po Cefalu, wgapiając się w wiszącą nad miastem skałę, docieram do źródła Aretuzy w Syrakuzach, która kiedyś zrobiła takie wrażenie na Karolu Szymanowskim, przemierzam targ rybny w Palermo, nie mogąc oderwać oczu od wiszącego na sterganiu miecznika, siadam na placu w Taorminie, popijając migdałowe wino, a z depresyjnością Katanii walczę za pomocą piersi św. Agaty o smaku ricotty, biszkopta i masy migdałowej.

Ale ów tom nie jest tylko słodki jak kandyzowana wiśnia stercząca wymownie na owym ciastku albo otoczone błękitem morza sycylijskie krajobrazy. Mikołajewski i Smoleński nie byliby sobą, gdyby pokazywali tylko polukrowaną rzeczywistość. Obydwaj doskonale wiedzą, co kładzie się cieniem na rozgrzanej słońcem wyspie, jak mocno opleciona jest ona mackami mafii, którą znakomity pisarz Andrea Camilleri nie bez powodu nazywa wielką firmą ochroniarską, a dziennikarz Matteo Collura szuka jej korzeni w mentalności Sycylijczyków, mówiąc: „Jeśli na Sycylii ktoś chce uzyskać zaświadczenie z urzędu stanu cywilnego, nie pomyśli, żeby ustawić się w kolejce, tylko od razu się zastanawia: »Czy mam przyjaciela, który może mi to załatwić?«”.

Mafii oplacają się sklepy, restauracje, targowiska, a nawet czarnoskórzy sprzedawcy bransoletek, których dochód może wydawać się przy zyskach, jakie osiąga organizacja, dość zabawny. Ale coś nostrą nie gardzi niczym, bez skrupułów wykorzystując imigrantów. Od lat przybywają tu w dziurawych łódkach, o czym Mikołajewski pisał w poruszającej książce *Wielki przyptyw*. W *Czerwonym śniegu na Etnie* też nie jest w stanie odwrócić wzroku od ich tragedii, wracają do niego jak ziarenka pustynnego pyłu, przywiewanego z Afryki przez ciepłe sirocco i powodującego, że biały puch przybiera tam zadziwiający kolor, stając się metaforą różnorodności wyspy.

Pisarze filtrują jej obraz przez siebie, przez swoją raz poetycką, to znowu reporterską wrażliwość,

opisując to, co ich dotyka, w różnych formach i gatunkach literackich. Widać gołym okiem, że przyjaciółom dobrze razem na Sycylii, gdzie tematów do rozmów nie brakuje, czemu sprzyja passito, słodkie wino, którym kiedyś pogardzano, ale dzisiaj „nazywa się winem medytacji, gdyż wchodzi w gardło wolno, najlepiej wówczas, gdy nic innego nie ma do roboty, tylko ślepić na morze, na średnio-wieczną bryłę kościółka, na stragany z warzywami lub na antyczny teatr albo przewracać strony książki: passito sęczy się, nie pije”.



Jarosław Mikołajewski
Paweł Smoleński
Czerwony śnieg na Etnie

Jarosław Mikołajewski, Paweł Smoleński, *Czerwony śnieg na Etnie*, Czarne, Wołowiec 2021.

Księżycowi mężczyźni

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: Norbert Burkowski/za wiedzą i zgodą Teatru KTO

Premiera *Słonecznych chłopców* Neila Simona pojawiła się w najlepszym momencie. Zmęczeni, znękanii rzeczywistością, czekamy na trochę światła, odrobinę optymizmu.

Słoneczni chłopcy w reżyserii Pawła Szumca, koprodukcja Teatru KTO i Teatru Miejskiego w Lesznie, dają optymizm. Są przy tym mądrym, błyskotliwie opowiedzianym teatrem.

Komediowa sztuka Simona z 1972 roku doczekała się niezliczonych wystawień teatralnych i aż dwóch wersji hollywoodzkich, z których przynajmniej jedna, film Herberta Rossa z 1975 roku z Georgem Burnsem i Walterem Mathau, wypadła znakomicie. Sukces nie był niespodzianką. Opowieść o dwóch starszych panach, niegdyś popularnych komikach, tworzących uwielbiany przez publiczność duet, dzisiaj wegetujących w zapomnieniu i we wzajemnych animozjach, którzy sta-

ją przed ostatnią szansą na *come back*, to idealnie skrojony materiał dla dwóch doświadczonych i lubianych aktorów. W Polsce „słonecznych chłopców” grali między innymi Franciszek Pieczka, Zbigniew Zapasiewicz, Krzysztof Kowalewski, Piotr Fronczewski, Edward Dziewoński i Witold Pyrkosz. Nie inaczej jest w spektaklu Pawła Szumca. Willy’ego Clarka zagrał Leszek Piskorz, Ala Lewisa – Jacek Strama. A chociaż na scenie można podziwiać również Pawła Kumięgę, Magdalenę Hertrich-Woleńską czy Rafała Sadowskiego, scena należy tylko do tej dwójki: Piskorza i Stramy, Willy’ego i Ala.

Jak w najlepszych sztukach komediowych – jest śmiesznie, inteligentnie i błyskotliwie, ale także gorzko, nostalgicznie i refleksyjnie. Wielka w tym zasługa reżysera, nienachalnej scenografii Marka Brauna i integralnych kostiumów Jolanty Łagowskiej. A przede wszystkim aktorów.

Obaj panowie byli kolegami z roku w krakowskiej PWST, ale na scenie spotkali się dopiero teraz. Jacek Strama, jako aktor, ma zdecydowanie mniejsze aktorskie doświadczenie od Piskorza. W latach 2004–2016 był przede wszystkim dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Ludowego, ale – zwłaszcza w latach 70. i 80. ubiegłego wieku – grał z powodzeniem i w „Ludowym”, i w Teatrze Bagatela. Leszek Piskorz to natomiast legenda krakowskiego aktorstwa. Całe zawodowe życie związany z jednym miejscem – Starym Teatrem, dziesiątki tytułów, ról, najwybitniejsze nazwiska, lata świetności i lata posuchy „Starego”. W utkanej z delikatnością, zabawną, ale i poruszającą w swoim tragizmie kreacją Willy’ego, Piskorz pięknie poprowadzony przez Szumca, w tragikomicznej formie pokazuje doświadczenie aktora w ogóle i własne doświadczenie w szczególności. Oto wieczny niedosyt wpisany w aktorską profesję, tęsknota za czymś więcej, czymś nigdy nieosiągalnym, bo przecież świadomy aktor, a Piskorz jest aktorem wybitnie świadomym, wie dobrze, że spełnienie w tym zawodzie nie jest możliwe. Patrzyłem na Willy’ego-Piskorza i widziałem jego Jo-Ja z *Chłopców*, Starca z *Wyzwolenia*, Bosego z *Mistrza i Małgorzaty*, Kessela z *Lunatyków*, Oronta z *Mizantropa*, Chochoła z *Wesela*, Clova z *Końcówki*, Dąbrowskiego z *Nocy Listopadowej*... Swinarski, Korzeniewski, Wajda, Jarocki, Lupa, Kutz, Zioło... Leszek Piskorz: całe życie w teatrze. *Słoneczny chłopiec*, księżycowy mężczyzna. Aktorstwo to blask.

Słoneczni chłopcy, reż. Paweł Szumiec, w Krakowie: Krakowska Opera Kameralna, od września – nowa siedziba Teatru KTO.



Jacek Strama (jako Al) i Leszek Piskorz (jako Willy)

Lubię pisać o miejscach, których nie znam

Rozmawiał Paweł Stachnik Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Łukasz Orbitowski: Pandemia to jest taki nasz stan wojenny: odcięcie, izolacja, bezsilność. Świat stanął na głowie. Straciliśmy prawo do wypoczynku i rozrywki, niektórzy stracili pracę, a niektórzy dorobek życia. Zmarło średniej wielkości miasto powiatowe. Wszystko to może stanowić pomysł na książkę i takie już powstały. Ja jednak takiej książki nie zamierzam pisać. Dopuszczam myśl, że dwadzieścia lat po pandemii coś takiego napiszę. Teraz jednak nie.

Paweł Stachnik: Mamy Rok Stanisława Lema, we wrześniu przypadnie setna rocznica urodzin Mistrza. Zapytam więc: czy Lem był dla Pana ważnym pisarzem?

Łukasz Orbitowski: Nieszczęście moje i nieszczęście Lema – choć bez wątplenia jego trochę mniejsze – polegało na tym, że w literaturę fantastyczną zacząłem wchodzić akurat wtedy, gdy w Polsce pojawiła się rasowa fantastyka zachodnia. Zaczęto wydawać Stephena Kinga, Andre Norton, Clive'a Barkera i wielu innych zacnych autorów. Dlatego do Lema sięgnąłem znacznie później. Pierwszą jego książką, jaką przeczytałem, było Śledztwo, a to z tego względu, że jest to tak naprawdę powieść grozy. Dopiero potem przerobiłem Lemowską klasykę: *Niezwykłego*, *Solaris*, *Bajki robotów*, *Powrót z gwiazd* itd. Tak się dziwnie składa, że odrabiam teraz trochę klasykę literatury fantastycznej – Heinleina, Clarke'a, Strugackich... – a Lem czeka na swoją kolej.

Może Rok Lema będzie dobrą okazją, by do niego wrócić...

Chyba tak, bo pewien portal literacki z tej właśnie okazji zwrócił się do mnie i zamówił opowiadanie inspirowane twórczością Stanisława Lema. Czekam więc powrót do tych lektur. *Nota bene:* przed pandemią byłem na pierwszym przedstawieniu *Solaris* w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie; wspaniała rzecz!

O Lema pytałem nie tylko z powodu jego rocznicy. Zaczynał Pan przecież swoją twórczość od fantastyki. Skąd taki właśnie wybór?

Wszystko wzięło się z tego, że zaczytywałem się w fantastyce i przez bardzo długi czas nie wyobrażałem sobie, że mógłbym pisać coś innego. Gdy zaczęły powstawać moje pierwsze teksty, oczywiste było dla mnie, że będzie to właśnie ten gatunek i żaden inny. Po prostu nie było innej możliwości. Pisanie literatury pozafantastycznej wykraczało poza moje możliwości pojmowania. Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że wybiorę się na Księżyc. Potem okazało się jednak, że nie

była to moja życiowa droga. Owszem, była to przygoda ważna, ale na pewno nie życiowa. **Uprawiał Pan też literaturę grozy, dość rzadką u nas, właściwą raczej literaturze anglosaskiej.**

Chciałem robić coś, czego nikt nie robił wcześniej. Nie podążać cudzą ścieżką, ale wydeptywać własną. Zaczęłem pisać horror, którego wtedy właściwie nikt nie uprawiał, bo nie było takiej mody. Przypomnę, że mówmy

Kiedy parę lat temu wracałem z Warszawy, myślałem sobie: „W Warszawie było tyle spotkań, miejsc, możliwości. Co ja będę w tym Krakowie robił?”. Tymczasem na miejscu okazało się, że możliwości jest równie wiele. Nasze miasto stało się po prostu dużym ośrodkiem biznesowo-rozrywkowym. I to dobrze.

o drugiej połowie lat 90. i początku lat 2000. Byli naprawdę nieliczni autorzy, którzy próbowali na świeżo zmagać się z tym gatunkiem. Interesowało mnie robienie rzeczy nowych, stąd właśnie fantastyka grozy.

Czy groza to gatunek wdzięczny dla twórcy? Wydaje się mocno skonwencjonalizowany. Pisało mi się to świetnie, momentami nawet aż za łatwo. Ten gatunek pozwala na powrót do dziecięcej krainy baśni i na fantazjowanie, a z dzieciństwa wszak trudno się wyrasta. Horror jest kostiumem, który pozwala autorowi pozostać dzieckiem, tworząc coś, co w założeniu jest ewidentnie dla dorosłych. Było to wspaniałe i stanowiło doskonałą lekcję prozy obyczajowej. Na czym bowiem polega konstrukcja powieści grozy? Otóż mamy nasz zwyczajny świat, na przykład amerykańskie miasteczko u Stephena Kinga w powieści *To*. Zwykłe, amerykańskie miasteczko, jakich wiele. I w tym miasteczku wydarza

się osobliwość, coś strasznego, niezwyklego, na przykład potwór przybierający postać klauna. Na tym właśnie polega mechanizm grozy. Aby czytelnik uwierzył w potwora, musi uwierzyć w ten zwykły świat. Warunkiem literackiego sukcesu tego, co nadnaturalne, jest wiarygodne odmalowanie tego, co naturalne. To stosował King, a ja ten chwyt od niego przejąłem. To, że moje obecne powieści obyczajowe wyglądają tak, jak wyglądają i spotykają się z przychylnością czytelników, wynika również z faktu, że przeszedłem szkołę pisania horrorów.

Ale potem porzucił Pan literaturę grozy.

Byłem przekonany, że moje pisarstwo spotka się z niesłychaną przychylnością czytel-

Nie znam pisarza, który by nie marzył o ekranizacji. Sprzedając prawa do powieści, dostajemy spore pieniądze, a jeżeli film się nie uda, mówimy po prostu, że to z winy reżysera...

ników, bo skoro zachwycają się Grahamem Mastertonem i Stephenem Kingiem, to czemu nie mieliby się zachwycić Łukaszem Orbitowskim. Ten mój eksperyment pod względem artystycznym miał ręce i nogi, ale komercyjnie okazał się kompletną katastrofą. Książki się po prostu nie sprzedawały. Niemniej, nadal Kocham horror, i to zarówno w wersji książkowej, jak i kinowej. Będąc młodym człowiekiem, wręcz się w tym zapoziłem. Do tego stopnia, że bliscy martwili się o mnie, bo nieustannie żyłem w jakimś świecie makabry, świecie wampirów i zombie. I to mi zostało. Nadal z moją dziewczyną czekamy na nowe horrory, wypatrujemy nowych tytułów, oglądamy nowe filmy, co zwykle kończy się rozczarowaniem i konstatacją: „Eee, to już było”.

Akcję niektórych książek (*Tracę ciepło, Horror Show*) osadził Pan w Krakowie. Czy Kraków to dobre miejsce dla pisarza? W sensie miejsca do życia i w sensie tematu książek.

Na początku nie podjąłem jakiegokolwiek świadomej decyzji, że teraz będę pisał o Krakowie. Akurat mieszkałem w tym mieście, więc zacząłem o nim pisać. To był świat, w którym funkcjonowałem i który mogłem przekuć na literaturę. Pojawiały się opinie, że moje książki jakoś demitologizują Kraków, bo jest on w nich brudny, zaniedbany, niebezpieczny i nie ma nic wspólnego z Wyspiańskim. Tymczasem ja niczego nie demitologizowałem. Nie miałem ambicji burzenia pomników swojego miasta. Pisałem o tym, co widziałem, i oddawałem rzeczywistość taką, jaka była. Tak było wtedy. Teraz Kraków jest dla mnie pewnego rodzaju wyzwaniem. Bardzo bym chciał napisać książkę o Krakowie, tylko

nie mam pojęcia, co by to miało być. Po prostu tego nie wiem. Rozważałem zwrot ku historii, na przykład książkę o słynnym strajku robotników w listopadzie 1923 roku. Nie jestem jednak historykiem i boję się, że mógłbym w starciu z tym tematem polec. Z drugiej strony współczesność miasta i skala jego zmian sprawiły, że przestałem je rozumieć. Dorastałem w Krakowie, który był miastem uniwersyteckim i turystycznym w wymiarze turysty krajowego. Potem stał się centrum turystyki międzynarodowej i liczącym się ośrodkiem w branży rozrywkowej, na przykład produkcji gier komputerowych. Pamiętam, jak parę lat temu wracałem z Warszawy i myślałem sobie: „W Warszawie było tyle spotkań, miejsc, możliwości. Co ja będę w tym Krakowie robił?”. Tymczasem na miejscu okazało się, że możliwości jest równie wiele. Nasze miasto stało się po prostu dużym ośrodkiem biznesowo-rozrywkowym. I moim zdaniem to dobrze.

Wypytyuję o Kraków, a przecież więcej Pańskich utworów rozgrywa się poza nim: w Warszawie, Bydgoszczy, Oławie, Gdyni, na Dolnym Śląsku... Skąd ta łatwość zmieniania terenu? Taki Jerzy Pilch całe życie opisywał jedną miejscowość.

Bierze się to po pierwsze stąd, że lubię takie zmiany. Lubię poznawać nową miejscowość, której nie znam w ogóle lub nie znam zbyt dobrze. Wgryzać się w jej charakter i atmosferę, poznawać ludzi i ich zwyczaje. Przede wszystkim jednak decydującą rolę odgrywa temat. Ze względu na to, że piszę książki mniej lub bardziej inspirowane prawdziwymi zdarzeniami, to właśnie te zdarzenia determinują miejsce akcji. Akcja mojej ostatniej powieści *Kult* dzieje się w Oławie. Tam właśnie działał pierwowzór mojego bohatera, Kazimierz Domański, tam taki fenomen, jaki on stworzył swoimi objawieniami, był możliwy. Tam, a nie w Warszawie czy Krakowie. Z kolei Dolny Śląsk wziął się z powodów osobistych. W dawnych czasach mój syn mieszkał ze swoją mamą właśnie na Dolnym Śląsku, a ja do niego jeździłem. Chłonałem atmosferę i zwyczaje, a potem stworzyłem w swoich książkach dolnośląską miejscowość, którą nazywałem głupio Rykusmyku. Chodzi oczywiście o tamtejszy Jawor koło Legnicy.

Czy to dobrze dla jakości prozy, gdy pisarz przedstawia w swoich książkach miejsce, które zna, w którym się urodził, mieszkał, spędził trochę czasu? Czy raczej twórca powinien mieć taki warsztat, który pozwoli mu swobodnie odnaleźć się w każdym miejscu i każde opisać równie wiarygodnie?

Zależy, jaki pisarz. Weźmy na przykład Witkacego albo Tolkiena, obaj nie opisywali miejsc, które odwiedzili... Przywołał Pan przykład Jerzego Pilcha. Był on twórcą, który nie bardzo potrafił kłamać. Opowiadał o miejscach, które znał, i o tym, co mu się przydarzyło. Ja mam dokładnie na odwrót: Kocham wcho-



Łukasz Orbitowski urodził się w 1977 roku w Krakowie. Jest pisarzem, felietonistą, scenarzystą. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Laureat Paszportu „Polityki” i Nagrody Zajdla, nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” oraz Nagrody

Literackiej Gdynia. Pisywał fantastykę, horror, obecnie literaturę obyczajową. Autor kilkunastu książek, m.in. *Horror Show*, *Tracę ciepło*, *Święty Wrocław*, *Exodus*, *Kult*. Na początku lat 2000. felietonista miesięcznika „Kraków”.

dzić w nowe sytuacje, w nowe przestrzenie. Moim wielkim marzeniem było napisanie książki o wsi. Niestety, pojawił się Radek Rak ze swoją powieścią i temat został zagospodarowany. Dobry pisarz orientuje się, w czym jest dobry i pisze właśnie o tym. Unika zaś tematów, w których nie czuje się komfortowo i które mu nie leżą. Ja lubię pisać o nowych miejscach i mam wrażenie, że mi to wychodzi. Innym niekoniecznie.

Napisał Pan wiele scenariuszy, fani czekają z niecierpliwością na ekranizację którejś z Pańskich książek. Jak Pan podchodzi do ekranizacji: to bardziej szansa czy bardziej ryzyko dla autora?

Nie znam pisarza, który by nie marzył o ekranizacji. Sprzedając prawa do powieści, dostajemy spore pieniądze, a jeżeli film się nie uda, mówimy po prostu, że to z winy reżysera... Ja kwestie ekranizacji swoich książek po prostu zaniedbałem i dlatego nie ma filmów na podstawie moich powieści. Były podchody od sfil-

zyciu i społeczeństwie ogromną rolę. Tego nie można ominąć. I jako twórca chcący opisywać rzeczywistość muszę się do tego w jakiś sposób odnieść. Nie ucieknę od tego.

A może te prywatne objawienia maryjne Kazimierza Domańskiego były po prostu ciekawe i przez to warte opisania? Ciekawy przypadek ludzki.

Same objawienia były potwornie nudne. Mam na myśli to, co Domański w imieniu Matki Bożej przekazywał. Poza jakimiś humorystycznymi stwierdzeniami typu „kto umiera pijany, nie pójdzie do nieba”, były tam bardzo standardowe przesłania, właściwe ludziom prostym i głęboko wierzącym: żeby nie pić alkoholu, nie kraść, nie robić aborcji. Natomiast ciekawy był sam fenomen objawień. Mówimy o prostym człowieku, który zdołał zgromadzić wokół siebie dziesiątku tysięcy wyznawców, zaczynając od zera, stworzył wspólnotę religijną, zdołał wznieść kompleks budynków sakralnych, a potem umarł w niesławie i zapomnieniu. To naprawdę była ciekawa historia.

No właśnie, ciekawe historie... Czy to, co przeżywamy od roku – pandemia, kwarcantanna, zachorowania, śmierci – jest dobrym tematem literackim?

Z jednej strony na pewno tak. To jest taki nasz stan wojenny: odcięcie, izolacja, bezsilność. Świat stanął na głowie. Straciliśmy prawo do wypoczynku i rozrywki, niektórzy stracili pracę, a niektórzy dorobek życia. Zmarło średniej wielkości miasto powiatowe. Wszystko to może stanowić pomysł na książkę i takie już powstały. Ja jednak takiej książki nie zamierzam pisać, tak samo jak nie zamierzam pisać dzienników pandemicznych. Dopuszczam myśl, że dwadzieścia lat po pandemii coś takiego napiszę. Teraz jednak nie. Bo gdy pandemia się skończy, nikt nie będzie chciał o niej czytać. Ludzie będą się cieszyć, że wreszcie mogą normalnie żyć. Pandemia to na razie temat dla socjologów, psychologów i lekarzy. Dla pisarzy nie.

Gdy pandemia się skończy, nikt nie będzie chciał o niej czytać. Ludzie będą się cieszyć, że wreszcie mogą normalnie żyć. Pandemia to na razie temat dla socjologów, psychologów i lekarzy. Dla pisarzy nie.

mowania *Horror Show* i *Kultu*, ale nic z tego nie wyszło. Pracuję akurat nad scenariuszem serialu dla Canal+, ale nie będzie to ekranizacja, lecz oryginalny pomysł.

Nie ma Pan obaw, że przeciw każda ekranizacja upraszcza i trywializuje książkę?

Dla mnie atrakcyjne będzie zobaczenie czyjejś wizji mojej twórczości pisarskiej, nawet za cenę rezygnacji z części przekazu. Rozmawiałem z wieloma reżyserami na temat ekranizacji moich książek i każdemu z nich mówiłem: „Nie przejmuj się tekstem, rób jak chcesz, nie bądź niewolnikiem mojej historii”. To chyba dobra zachęta.

Pańska ostatnia książka, *Kult*, poświęcona jest objawieniom maryjnym z lat 80. Czy wiara, religia, Kościół to tematy z literackim potencjałem?

Stosunek do Boga i wiary należy do tych tematów, które stale są poruszane w twórczości literackiej, takich jak miłość, zazdrość, wojna. Zainteresowało mnie to także z tego względu, że sam nie mam żadnych potrzeb metafizycznych. Jestem absolutnie, zupełnie niewierzący. Dlatego poznanie świata bardzo żywej, głębokiej i ekstatycznej wiary było dla mnie czymś niesłychanie kuszącym. Cieszyłem się, że mogłem to opisać. Żyjemy przecież w bardzo religijnym świecie i niezależnie od tego, czy jesteśmy życzliwie nastawieni do Kościoła czy nie, czy jesteśmy pobożni czy obojętni, chrześcijaństwo odgrywa w naszym



Paweł Stachnik – dziennikarz i redaktor, absolwent UJ, autor artykułów historycznych zamieszczanych w „Dzienniku Polskim”, „Gazecie Krakowskiej”, „Sowińcu” i innych tytułach, miłośnik Krakowa, fanastyki i dobrego piwa.

Napisana z wielką uwagą
i subtelnością wielopoziomowa historia
o przedwojennej malarce



WIELKA LITERA



Michał Cygan, *Obrońcy kościoła*, 150 x 100 cm, akryl i olej na płótnie, 2020

Ocalona Atlantyda

Tekst: Janusz Paluch Ilustracje: widokówki z kolekcji Karoliny Grodzieńskiej

Skąd Lwów i Kresy, które zdominowały jego życie? Przypadek. Choć Arthur Schopenhauer mawiał: „Nawet to, co najbardziej przypadkowe, jest w ostatecznym rachunku koniecznością”.



W sierpniu 1977 roku jechał na swój pierwszy zagraniczny urlop do Bułgarii. Współtowarzysz podróży zaproponował, by zatrzymać się u jego rodziny we Lwowie. Te dwa dni, w tym nieplanowana wizyta na cmentarzu Łyczakowskim, który zastał w stanie totalnej dewastacji, zapoczątkowały największą przygodę intelektualną w jego życiu.

*

Wielokrotnie starał się o stypendium do Lwowa. Bez skutku. Wszędzie mógł, ale nie tam! W końcu, po długich zabiegach, dostał stypendium na Uniwersytecie Moskiewskim i dopiero stamtąd udało mu się trafić oficjalnie na dłuższą do Lwowa na Uniwersytet Iwana Franki. Systematyczne, nieofi-

W plebiscycie „Gazety Wyborczej w Opolu” na Człowieka 20-lecia Odrodzonej Polski Stanisław Nicieja zajął pierwsze miejsce, wyprzedzając bardzo popularnych w regionie abp. Alfonsa Nossola oraz senator i folklorystkę prof. Dorotę Simonides.

cialne, prywatne podróże do Lwowa w latach 1977–1988 zaowocowały wykonaniem 12 tysięcy zdjęć zniszczonych nagrobków, kwerendą starej prasy lwowskiej, w której znajdował nekrologi i informacje o zmarłych osobach pochowanych na cmentarzu Łyczakowskim.

W efekcie, w 1988 roku ukazało się pierwsze wydanie książki *Cmentarz Łyczakowski*, której nakład osiągnął 250 tysięcy egzemplarzy! By ją kupić, trzeba było mieć znajomości w księgarniach, zwłaszcza po anonsującej książkę wypowiedzi Jerzego Waldorffa w głównym wydaniu „Dziennika Telewizyjnego” oraz po felietonie w Polskiej Kronice Filmowej, którą wyświetlano w kinach przed każdym filmem.

Książka przerwała tamę milczenia o Lwowie i została uhonorowana tytułem Książki Roku, doczekała się pół tysiąca recenzji!

– Ta książka dała mi nazwisko i mocną pozycję naukową w Polsce! – mówi. – Ale ważniejsze, że zyskałem zaufanie lwowian.

Uniwersytetu Opolskiego, senatora RP, historyka, który przywraca pamięć o Lwowie, o Kresach dawnej Rzeczypospolitej zabranych Polsce na mocy jałtańskiego układu podpisanego przez Roosevelta, Churchilla i Stalina. Prezentując sylwetkę naukowca, dziennikarz „Gazety Wyborczej” napisał: „Wieloletni rektor Uniwersytetu Opolskiego. Pasjonat zabytków, w tym cmentarnych, i budowniczy między innymi Collegium Maius »na opolskim Akropolu«. Jedni go ślepo wielbią, inni szczerze nie cierpią. W obu przypadkach niezasażenie”.

W 2009 roku w plebiscycie „Wyborczej” na Człowieka 20-lecia Odrodzonej Polski zajął pierwsze miejsce, wyprzedzając bardzo



Bohaterami kresowej opowieści Niciej są postaci z drugiego, a nawet trzeciego szeregu. Ludzie, którzy w swych miejscowościach byli fryzjerami, sklepikarzami czy grajkami ulicznymi, ale też lekarzami, sportowcami, lokalnymi artystami...

*

Gdy kilkanaście lat temu na łamach opolskiej prasy pisano o „lkonach Opola”, nie mogło zabraknąć tam nazwiska prof. Stanisława Sławomira Niciej, wielokrotnego rektora

popularnych na Śląsku Opolskim abp. Alfonsa Nossola oraz długoletnią senator RP, folklorystkę, prof. Dorotę Simonides.

Młody absolwent historii opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej z roku 1973, w połowie lat 70. XX wieku ani nie planował, ani nie mógł marzyć o tym, by zająć się dziejami polskiego Lwowa i Kresów Rzeczypospolitej. Żaden promotor pracy magisterskiej nie odważyłby się chyba wówczas, tym bardziej w Opolu uchodzącym za bastion polskiego komunizmu, zaproponować młodemu historykowi tematu poświęconego Kresom. Dlatego też Stanisław Nicieja tytuł magistra otrzymał za rozprawę o działalności repolonizacyjnej Uniwersytetów Ludowych na Śląsku Opolskim w latach 1947–1948.

*

Po spotkaniach promujących *Cmentarz Łyczakowski* był oblegany nie tylko przez lwowiaków, ale i innych Kresowian, którzy rozrzućeni po całej Polsce, mieszkają bodaj we wszystkich miastach i miasteczkach. Przekazywali rodzinne dokumenty, zdjęcia, listy, dzienniki rodziców czy dziadków. Do dzisiaj wysyłają na jego opolski adres swe wspomnienia.

Druga kresowa książka, *Cmentarz Obrońców Lwowa*, wydana też przez Ossolineum, tylko utrwaliła jego pozycję wśród pełnych wdzięczności Kresowian.

A gdy w Polsce cenzura została zlikwidowana, Nicieja pisze o Kresach również

kłych ludzi – rzemieślników, proboszczów, nauczycieli.

– Dał mi piękną naukę, nigdy o nikim nie mówił źle – wspomina Nicieja. – Mówił mi: „Nie nudź jako pisarz, nigdy nie nudź. Nudziarstwo, przyjmowanie pozy wielkiego uczonego, zadęcie, zachwaszczony, zagmatwany język to zbrodnia dla pisarza. Mów jasnym słowem nawet rzeczy skomplikowane”.

To przesłanie stosuje w swej twórczości. Gdy zagłębimy się w dziele jego życia, do tychczas piętnastu tomach *Kresowej Atlantydy*, obok najważniejszych miast kresowych jak Lwów, Wilno, Grodno, Stanisławów, Krzemieniec czy Drohobycz, spotkamy niewielkie miejscowości, jak choćby Beńkowa



w codziennej prasie, występuje w radio i telewizji. W końcu wraz z Jerzym Janickim, którego poznaje we Lwowie w słynnej Kawiarni Szkockiej, wędrują z kamerą po cmentarzach, miasteczkach i twierdzach kresowych – powstaje kilkadziesiąt odcinków filmowych *Kresowym szlakiem* (często powtarzanych głównie w TVP Polonia). W taki sposób, na Kresach, zrodziła się wielka przyjaźń twórców. Janicki wprowadził go „do lwowskiej rodziny”.

Jerzy Janicki był dla Niciei drugą – po matce – ważną osobą, która miała wpływ na ukształtowanie jego pisarskiej osobowości. Zbliżyło ich podobne pojmowanie historii. Uważali, że historia to nie tylko dzieje królów, książąt czy polityków, ale także zwy-

Wisznia, Rudki czy Delatyn. W planach jest ich ponad dwieście! Na kartach tych pięknie wydanych tomów przywołuje z niepamięci ważne wydarzenia historyczne – choćby bohaterów spod Zadwórze – polskich Termopili, postaci, bez których koła historii mogły potoczyć się w zupełnie innych kierunkach, a postęp techniki i nauki światowej bez ich obecności mógłby mieć inny wymiar. Wszak to we Lwowie zapłonęła pierwsza lampa naftowa, zapalona przez farmaceutę Ignacego Łukasiewicza, koło Gorlic wykopano pierwszy na świecie szyb naftowy, a w Borysławiu koło Drohobycza jak grzyby po deszczu rosły szyby naftowe, tworzące największy w połowie XIX wieku obszar wydobywczy ropy naftowej w świecie. W Truskawcu rodziła się

pod kierunkiem Kazimierza Pelczara polska onkologia, a w Kałuszu przemysł nawozów sztucznych...

Gdy wczytamy się w opowieść Niciei, szybko zauważymy, że jego bohaterami są jednak postaci z drugiego, a nawet trzeciego szeregu. Ludzie, którzy w swych miejscowościach byli fryzjerami, sklepikarzami czy grajkami ulicznymi, ale też lekarzami, sportowcami, lokalnymi artystami... Ich obraz został zabrany w pamięci ekspatriantów i jakże często trafił na karty *Kresowej Atlantydy* – do wieczystej skarbnicy wiedzy o Kresach.

*

Kresowa Atlantyda została przez autora zaplanowana na 25 tomów. Każda książka oży-

*

Pisząc na taką skalę o Kresach, trudno było nie trafić do Londynu, gdzie po II wojnie światowej mieszkała *crème de la crème* Lwowa i Kresów. Najpierw było spotkanie autorskie w Londynie, dokąd pojechał na zaproszenie Koła Lwówian w grudniu 1988 roku. Na wypełnionej po brzegi sali POSK siedzieli wówczas Włada Majewska, generałowa Andersowa, prezydent Kaczorowski, Edward Raczyński. Po spotkaniu Jan Badeni, prezes Fundacji Lancokorońskich, zaproponował Niciei stypendium naukowe, którego tematem byli Polacy pochowani na londyńskich cmentarzach – dość wymienić twórcę Lwowskiej Fali Wiktora Budzyńskiego, Zofię Terné czy Mariana Hemara



wia jednak pamięć społeczną Kresowian, pobudzając świadomość kresowego pochodzenia u młodego pokolenia, dla którego bezwartościowe do niedawna pojęcia Złoczów, Worochta, Żółkiew, Pińsk czy Kiwerce nabierają nie tylko znaczenia i barwy, ale stają się klejnotami rodowej historii, są zachętą do wyprawy w przeszłość i przyjrzenia się, kto i gdzie przed dziadkami, a bardziej już pradiadkami, mieszkał, czym się zajmował na Kresach. Spływają więc nowe materiały, fotografie i opowieści – w listach albo nagrywane podczas osobistych z profesorem spotkań. Jakże często chciałoby się powracać w kolejnych wydaniach do opisanych już miejscowości! *Kresowa Atlantyda* to niekończąca się opowieść!

– choć pochowany jest w Dorking, to bez niego nie byłoby przecież polskiego życia artystycznego w Anglii.

*

Od kiedy stanął po lewej stronie na polskiej szachownicy politycznej, nigdy nie chowa głowy w piasek. Był senatorem RP z Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

– Wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że byłem działaczem partyjnym czy członkiem PRON-u, co przypisano mi między innymi w Wikipedii – mówi, nie kryjąc rozgoryczenia.

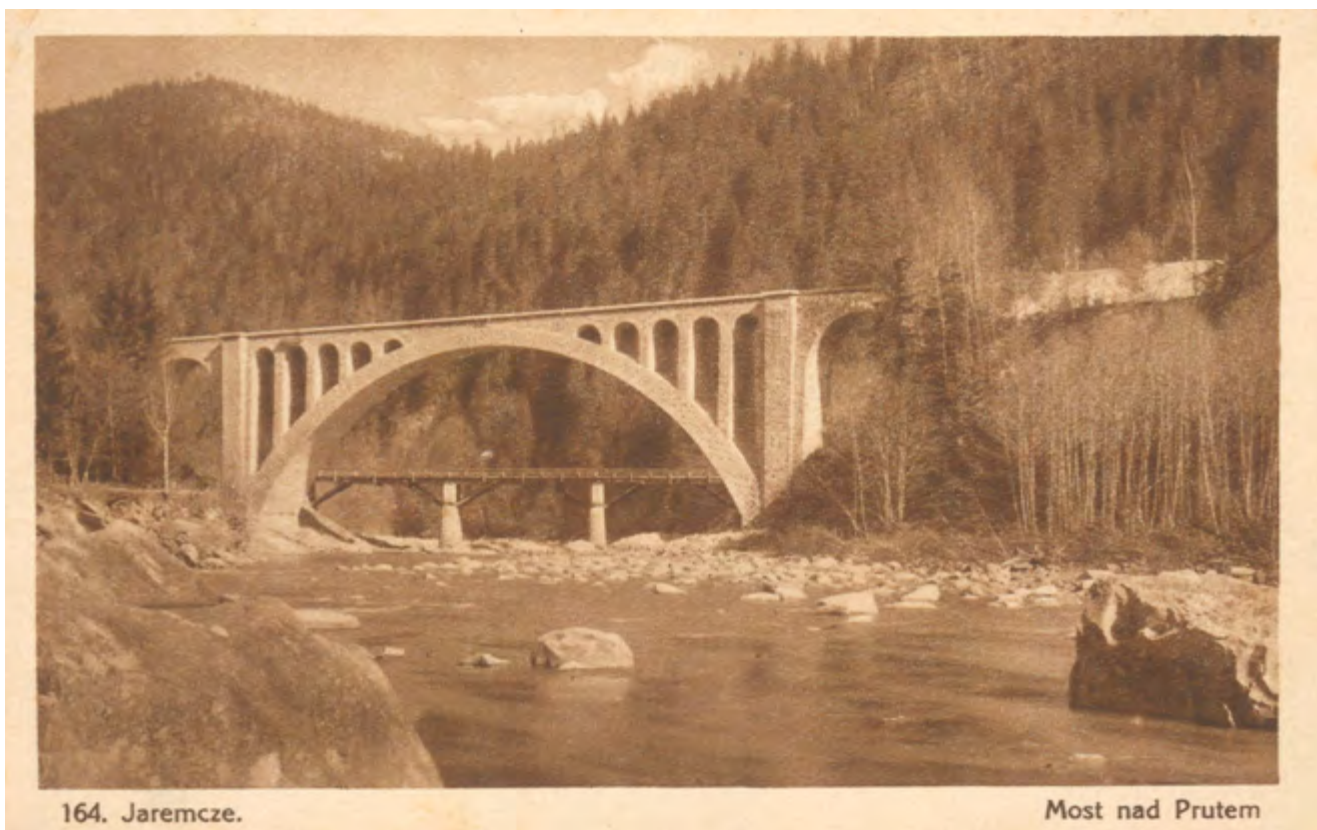
Zrobiono ogólnopolską aferę, gdy nie pozwałał niszczyć na Śląsku niemieckich cmentarzy i ratował kamienie nagrobne z inskrypcjami niemieckimi.

*

Z wędrówkami na Kresy jest tak samo jak z czytaniem *Kresowej Atlantydy*. Im głębiej w las – tym więcej drzew – jak mówi popularne przysłowie. Doświadczył tego i prof. Nicieja, po czym... przyjął to jako zasadę w swym pisarstwie. Kto sięgnął po pierwszy tom, czyta następne... Nawet jeśli był zainteresowany, na przykład, tylko Krzemieńcem (tom IX), po lekturze na nim nie poprzestanie. Bo tak działa „wirus kresowy”, dotykający nawet tych, którzy rodzinie ze Lwowem, Wilnem – z Kresami – nie mieli niewiele lub nic wspólnego. Prof. Nicieja *Kresową Atlantydą* chciał zamknąć swą przygodę z Kresami. Zamierzał oddać czytelnikom nagromadzony latami ma-

Opowieść w *Kresowej Atlantydzie* wije się dwiema ścieżkami. Pierwsza i najważniejsza warstwa to tekst. Druga, uzupełniająca i jakże ważna, to ocalone – cudem wywiezione z Kresów podczas ekspatriacji – fotografie z doskonałymi opisami

sów podczas ekspatriacji – fotografie z doskonałymi opisami. O popularności *Kresowej Atlantydy* świadczy to, że niektóre tomy doczekały się już kolejnych, poszerzonych wydań. Znikające z półek księgarskich otworzyły drugie dno kresowych kuferków... Nowe, czę-



teriał dokumentacyjny, by wywiązać się z zobowiązań wobec często już nieżyjących osób, przywrócić pamięć o nich, ich przodkach, często przedstawić ich potomków prężnie działających i odnoszących sukcesy we współczesnej Polsce. Książki ukazują się w wyjątkowo ekskluzywnej szacie edytorskiej: mają kolorowe twarde okładki, luksusowy kredowy papier wewnątrz, dobrze opracowane fotografie – tam gdzie trzeba w kolorze. Gawędziarski styl, piękna polszczyzna to w przypadku Nicieji norma.

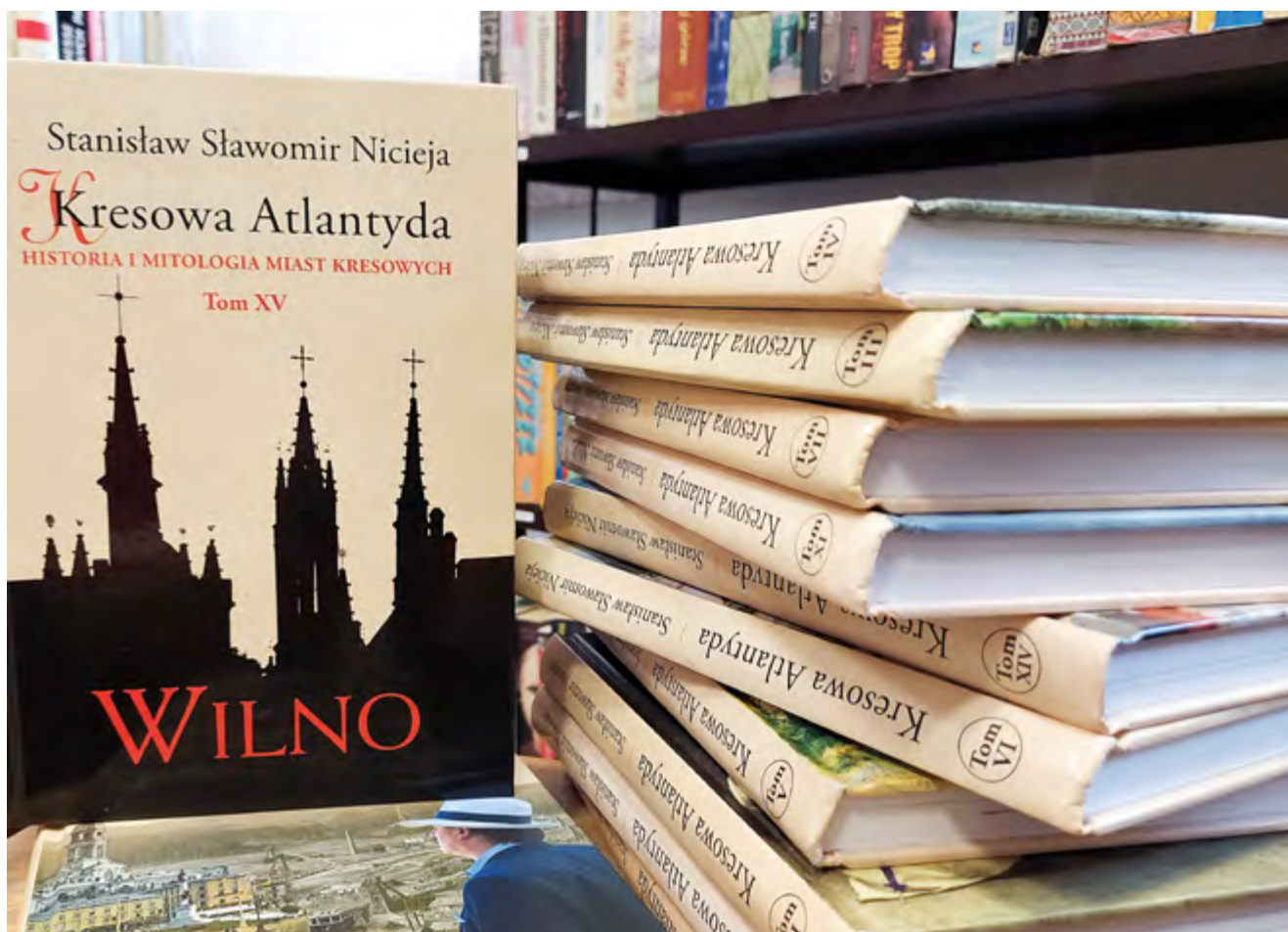
*

Opowieść w *Kresowej Atlantydzie* wije się dwoma ścieżkami. Pierwsza i najważniejsza warstwa to tekst. Druga, uzupełniająca i jakże ważna, to ocalone – cudem wywiezione z Kre-

sto zaskakujące, obfite w fotografie archiwalia Kresowian znowu zaczęły napływać do Opola... „Bo źródło wciąż bije...” – jak śpiewał w słynnej pieśni *Źródło* Jacek Kaczmarski.

*

To źródło biło w mieście trzech archidiecezji, granicy działów wodnych – Bałtyku i Morza Czarnego, niezdołanego Lwowa *Semper Fidelis*, legenda którego rodziła się w XVII wieku. Był to trudny czas naporu na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej Tatarów, Wołochów, Turków, zbuntowanych Kozaków, w końcu okres szwedzkiego Potopu, w czasie którego król Rzeczypospolitej Jan Kazimierz we lwowskiej katedrze złożył w 1652 roku słynne śluby oddające Polskę w opiekę Matce Boskiej. W początkach XX wieku, jak pisze prof. Nicieja, po-



wołując się na słowa Fryderyka Papeé, Lwów stał się „prawdziwym sercem i mózgiem Polski”. Tu powstał Ruch Sokoli, pierwsze drużyny harcerskie powołane przez Andrzeja Małkowskiego – jako pierwsze na będących pod zaborami ziemiach polskich. „Stąd wyszło nowe pokolenie, które miało wziąć czynny udział w budowie państwa polskiego” – dodaje Papeé. Mit Lwowa rozbudowany został w latach międzywojennych – pisze prof. Nicieja – „o czyn Orłąt Lwowskich oraz legendę Zadwórza – Polskich Termopil, miał niezwykłą, magnetyzującą moc i znakomicie służył wychowaniu patriotycznemu nie tylko w mieście, które uchodziło za główną na południowym wschodzie kresową strażnicę”. Lwów, Grodno i Wilno stały się symbolami Kresów, swoistym portretem Polaków, doskonale malowanym na kartach wciąż powstającej *Kresowej Atlantydy*, którzy stając w obliczu dramatycznych zagrożeń – wywózki na Syberię, ludobójstwa na Wołyniu, w końcu ekspatriacji po II wojnie światowej – potrafili z honorem zdać ten trudny egzamin.

*

O *Kresowej Atlantydzie* pisało i wypowiadało się wielu znamienitych naukowców i twórców. Oddajmy jednak głos temu, który od dziesięcioleci utrzymuje rytm serca polskiej literatury. „Z wydanych dotychczas tomów, które przeczytałem z niesłabnącym zainte-

resowaniem jeden po drugim – pisze Wiesław Myśliwski, najważniejszy polski prozaik przełomu XX i XXI wieku – wyłania się nie tylko gospodarczy, społeczny, demograficzno-etnograficzny obraz kresowych miast i miasteczek dawnych polskich ziem, lecz nade wszystko ich rola w polskiej kulturze, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. (...) Słowem, obraz to niezwykle ważny dla polskich dziejów, w tym i tragizmu towarzyszącego tym dziejom”. Nic dodać, nic ująć...

Redakcja serdecznie dziękuje pani Karolinie Grodzieńskiej za udostępnienie widokówek ilustrujących niniejszy tekst.



Janusz M. Paluch – jest krytykiem i animatorem kultury (m.in. współinicjatorem Nagrody Krakowska Książka Miesiąca oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia Leopoli”).



Michał Cygan, *Dzień hańby*, 90 x 120 cm, akryl na płótnie, 2020



Wydawca pięknej książki

Rozmawiała Sylwia Pyzik Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Bogdan Szymanik, współzałożyciel i właściciel Wydawnictwa BoSz: Przy książkach pracują ludzie o pewnych wymaganiach estetycznych i intelektualnych. Książka jest częścią kultury – miłość do książek też łączy.

Sylwia Pyzik: Wyczytałam, że dewizą Wydawnictwa BoSz jest brak samozadowolenia. Nie wierzę jednak, że nie ma książki, z której są Państwo szczególnie dumni.

Bogdan Szymanik: Niewątpliwie są książki, z których jesteśmy radzi. Cenimy sobie między innymi takie albumy jak *Polska* w wydaniu luksusowym, *Wykwintna kuchnia polska*, *Polska 100 lat* czy album *Chopin* w wersji ekskluzywnej – są to książki, które zachwyciły szerokie grono osób, nie tylko w kraju. Wydrukowane są na najwyższym światowym poziomie. Album *Chopin* waży około 6 kilogramów. Wspominam o tym, ponieważ Ministerstwo Spraw Zagranicznych nam to wypominało. Zawsze mówiłem, że dostają go ludzie, którzy nie noszą bagażu – to za nimi się go nosi. Uważam, że Chopin jest wciąż największą polską marką, jest to więc także świetny sposób na promocję kraju. Niestety, nie wszystkie takie szanse są wykorzystywane.

Co Pan przez to rozumie?

Zauważalny jest brak ciągłości funkcjonowania państwa w wielu dziedzinach, w tym także promocji Polski, co jest oczywistym błędem. Podam przykład: pani Anna Komorowska zaproponowała nam wydanie książki o polskiej kuchni. Zasugerowałem, że standardowa książka kucharska może być okazją do żartów przez prasę brukową. Zaproponowałem więc wydanie luksusowego albumu. Zebraliśmy czterestu najlepszych polskich kucharzy, a każdy z nich opracował pięciodaniowy obiad, swoje przepisy przygotowała także pani prezydentowa, napisała też krótki wstęp – tak powstał album *Wykwintna kuchnia polska*, który zdobył trzecie miejsce na światowych targach w Paryżu. Promocja była pomyślana w ten sposób, że gdy przyjeżdżał, na przykład, prezydent Obama i był goszczony przez prezydenta Komorowskiego, to przyrządzano jeden z opisanych w albumie obiadów, następnie zaś gość otrzymywał w prezencie książkę w wersji angielskiej. Dotyczyło to prezydentów, królów, premierów i wielu ważnych zagranicznych osobi-

stości. Promowanie naszego kraju dzięki polskiej kuchni było świetnym pomysłem, ale, niestety, nie jest to kontynuowane i ten album nie jest już w ten sposób użytkowany. Później przygotowaliśmy wspólnie także album *Wykwintne desery polskie*, lecz spotkał go ten sam los.

Książki drukowaliśmy w Słowenii. Przed drukiem tych albumów szef marketingu włoskiej papierni Garda, Alessandro Nardelli, przyje-

Wydawnictwo BoSz od początku chciało mieć w portfolio wszystkich najwybitniejszych polskich malarzy. I ma: jest Stryjeńska, Beksiński, Matejko, Malczewski, Stanisławski, Witkacy, Olbiński, a ostatnio pojawiła się Łempicka.

chał do Leska (1400 km!), aby przekonać mnie do użycia w tej książce ich papieru GardaPat Kiara, nawiasem mówiąc – jednego z najpiękniejszych na świecie. Gdy powiedziałem, że jestem już umówiony z inną papiernią, Alessandro przekazał nam dziesięć palet papieru za darmo, a wszystko po to, żeby ich logo pojawiło się w tej książce. Zarówno drukarnia, jak i papiernia prezentują wszystkie te albumy na wielu międzynarodowych targach. Oznacza to, że fachowcy naprawdę docenili projekt graficzny, temat oraz jakość tych publikacji i się nimi chwalą.

Kolejną książką, która mogłaby być wykorzystywana do promocji naszego kraju, to olbrzymi i wyjątkowy album *Polska*. Zebraliśmy w nim zdjęcia dwudziestu najlepszych polskich fotografów. Teksty napisali profesorem Michał Kleiber, Henryk Samsonowicz i Franciszek Ziejka. Powstała wersja polska i angielska. Krótkie, półstronicowe wstępy napisały dwie znane osoby, zawsze bardzo ważne, czyli Lech Wałęsa i Jerzy Buzek. Z tego względu książka nie jest już często użytkowana w celach promocyjnych.

Podobny los spotkał album wydany na stulecie odzyskania niepodległości – *Polska 100 lat*. Do pracy przy tym dziele udało nam się zgromadzić wielu wybitnych Polaków. Jest to ponadczasowe opracowanie, z którego warto korzystać dla przypomnienia świata trudnej i złożonej historii Polski. Takie okazje bywają marnowane przez nieudane decyzje o charakterze politycznym. Polityka czasami wdziera się w kulturę.

Czy stwierdzenie, że stawia Pan jakość ponad wskaźniki sprzedaży, byłoby adekwatne?

Mierzmy najwyżej, nasi pracownicy mają tego świadomość. Bill Clinton napisał: „Gospodarka, głupcze!”. Ja powiedziałbym, że w moim gabinecie wisi niewidzialny znak: „Jakość, głupcze!”.

Czy są w Polsce odbiorcy, którzy w ten sam sposób patrzą na książki?

Ta grupa rośnie. Nie rośnie liczba samych czytelników, mamy bodajże przedostatnie miejsce w Europie – to jest wstyd. Jednak wśród

W Krakowie znajdujemy zawsze największe zainteresowanie naszymi albumami i książkami, mimo że Warszawa jest bogatsza. Co oznacza, że jest to trochę inne społeczeństwo, które charakteryzuje większa miłość do sztuki

tej niewielkiej grupy odbiorców rosną wymagania jakościowe. To jest naturalny trend. Tak jak chcemy mieć ładniejsze mieszkania, domy, ogrody, lepsze samochody i ubrania. Osobiście się z tego cieszę, to jest także doping dla wydawnictw – naszego i wielu innych.

Lesko to nieoczywista siedziba dla wydawnictwa, można powiedzieć, że uciekł Pan w Bieszczady, zanim stało się to modne. Czy pracowników poszukiwał Pan lokalnie czy przeciwnie, ściągął z innych miejsc kraju?

Udało nam się stworzyć załogę z ludzi z tego regionu. Chcę więc stanowczo zaprzeczyć, że brakuje utalentowanych osób w małych miastach i miasteczkach – tu właśnie znalazłem tak zdolnych ludzi, których trudno czasami znaleźć w dużych ośrodkach. Są wspaniali i mają bardzo różne doświadczenia. Oczywiście, stale współpracujemy z wybitnymi autorami i projektantami naszych albumów z całej Polski. Wielu pochodzi zresztą z Krakowa.

Jak zmienił się rynek wydawniczy w ciągu przeszło ćwierćwiecza?

Przez ponad dziesięć pierwszych lat wszystko drukowałem w Słowenii, Hongkongu lub we Włoszech. Polskie drukarnie były wówczas na bardzo niskim poziomie.

Potem nastąpił niebywały rozwój polskiego drukarstwa. Chyba głównie dzięki środkom unijnym drukarnie zakupiły dobre maszyny

i wiele osób (Polacy są naprawdę zdolni!) nauczyło się drukować. Dzisiaj zdecydowana większość książek jest już drukowana w Polsce.

Tylko jeśli pojawi się coś szczególnie wymagającego, to czasami korzystam z usług drukarni w Słowenii lub we Włoszech. Ale już nie w Hongkongu, on stał się chiński – tam, gdzie wejdzie komunizm, musi obniżyć się jakość.

Kultura i biznes to dziś dość oksymoroniczne pojęcia. Czy zgodziłby się Pan z tym stwierdzeniem?

Jest to jednak połączenie kultury i biznesu. Na pewno są książki, które chętnie wydałbym, gdyby nie było bariery finansowej, gdy spodziewam się, że nie zdobędą one tak zwanego wolnego rynku. To myślenie biznesowe. Nie lubię i rzadko korzystam z różnych form dotacji. Uważam, że odpowiedzialny biznes powinien radzić sobie sam, oczywiście przy współpracy z bankami, które udzielają kredytów. Jeśli znamy już realne zapotrzebowanie, to potrafimy w miarę dobrze ustalać nakłady, choć pomyłki możliwe są zawsze. Jest ich jednak mniej niż 20 lat temu.

W tej chwili ważną postacią dla Pana wydawnictwa stała się Tamara Łempicka. Dlaczego teraz i z takim rozmachem?

Budując program wydawniczy, właściwie od początku chciałem mieć w portfolio wydawnictwa wszystkich najwybitniejszych polskich malarzy, i w zasadzie prawie każdego wydaliśmy. Jest oczywiście Stryjeńska, Beksiński, Matejko, Malczewski, Stanisławski, Witkacy, Olbiński... Brakowało nam Łempickiej. Tu trochę zdecydował przypadek – w ubiegłym roku odwiedził mnie prezes Fundacji Kościuszkowskiej z Nowego Jorku. Powiedziałem mu wtedy o tym braku, a on zaproponował, że skontaktuje mnie z prawniczką artystki – Marisą de Lempicką. Będąc w marcu w Kolorado, spotkałem się z nią i zaproponowałem, że wydamy trzy albumy, uzgodniliśmy warunki i przystąpiliśmy do pracy.

Łempicka wciąż nie jest w Polsce powszechnie znana, co innego na Zachodzie. To, że w czasie komunizmu była postacią przemilczaną, jest dość oczywiste. Dlaczego jednak proces odkrywania jej przez Polaków trwa tak długo?

To prawda, jest to najsłynniejsza malarka polskiego pochodzenia. Jej obrazy posiadają Madonna, Barbra Streisand, Jack Nicholson i Meryl Streep. Zresztą występy Madonny i jej wizerunek były często inspirowane sztuką polskiej artystki. Czas Tamary Łempickiej teraz nadchodzi, jestem o tym przekonany.

W Polsce o tej słynnej malarce ukazało się kilka książek beletrystycznych, które zainteresowały sporą liczbę osób. Te wydania skupione są przede wszystkim na życiu prywatnym artystki. My w naszych publikacjach zajmujemy się sztuką, pokazujemy najważniejsze obrazy i rysunki Tamary Łempickiej, zatem



przybliżamy jej sztukę polskiemu i nie tylko polskiemu odbiorcy.

Jestem przekonany, że naszymi albumami dojrzymy do wielu miłośników sztuki i przypomnimy wspaniałe osiągnięcia Łempickiej. Jej prawnuczka Marisa marzy o zorganizowaniu wystawy w Muzeum Narodowym w Polsce i może pomóc w pozyskaniu obrazów z zaprzyjaźnionych z nią muzeów. Cieszyłbym się, gdyby taka wystawa doszła do skutku w Krakowie. Oczywiście zależy to od woli Ministerstwa Kultury i władz miasta. To byłby wielki powrót Tamary Łempickiej do Polski, z którą zawsze się identyfikowała. Byłaby to też wspaniała promocja Polski i Krakowa dzięki najświetniejszej polskiej malarce.

Paradoksalnie Łempicka była mocno przywiązana do swoich polskich korzeni.

Łempicka spędziła znaczną część życia w Rosji, ale w polskiej rodzinie, w Petersburgu, który był niby-rosyjski, lecz mnóstwo polskiej arystokracji tam mieszkało. Polski hrabia Tadeusz de Łempicki był jej największą miłością. Ta polskość była naturalna. Ponieważ przeżyła rewolucję, pojawiła się u niej silna niechęć do Rosji radzieckiej, która także wzmacniała jej patriotyzm. Poza tym w Paryżu była traktowana z pewnym dystansem, jako Polka właśnie, dlatego bardzo chciała

udowodnić, że osiągnie międzynarodowy sukces, co zresztą uczyniła.

Nienawidząc komunizmu i rozumiejąc mechanizmy systemów totalitarnych, przewidywała wybuch II wojny światowej. Drugi mąż Łempickiej, za jej namową, jako jeden z nielicznych zdążył spieniężyć majątek, dzięki czemu uciekli razem z Francji do Stanów Zjednoczonych w 1938 roku.

Mam przekonanie, że ludzie bez kompleksów przywiązują się do swoich korzeni. Ona była bardzo silną osobowością i wierzyła w siebie – w swój talent, możliwości, również intelektualne, znała kilka języków, czuła się obywatelką świata. Była Polką bez kompleksów. **Łempicka to nie jedyna księżniczka nurtu art déco, którą Państwo wydali...**

Rzeczywiście, wydaliśmy Zofię Stryjeńską. Ciekawie zaczęły się rozmowy ze spadkobiercami. Z mężem wnuczki Stryjeńskiej spotkałem się na lotnisku w Warszawie. Poznałem też oczywiście wnuczkę – szalenie miła para, współpraca była wręcz wzorcowa, aczkolwiek trzeba było poczekać, bo umowę musiało podpisać pięcioro spadkobierców. Najpierw przygotowaliśmy duży album, potem miniaturę w serii *Malarstwo*, później dowiedzieliśmy się, że w rodzinie krąży jeden egzemplarz książki własnoręcznie zrobionej

przez Stryjeńską – *Savoir-vivre*, którą również wydaliśmy. Stryjeńska nie była uważana za osobę szczególnie pilnującą etykiety. To, że napisała tę książkę dla wnuków, które prawdopodobnie ją denerwowały, jest dość zabawne, tak jak sama książka.

Czasami praca nad książką owocuje wieloletnią przyjaźnią, tak zdaje się, było w przypadku Anny Szałapak.

Z Anią Szałapak, już chyba 20 lat temu, pracowaliśmy przy albumie o szopkach krakowskich. Ona była szefową jury konkursu i we współpracy z Muzeum Historycznym w Krakowie wydaliśmy album na ten temat. Tak zrodziła się wieloletnia, serdeczna przyjaźń, tym bardziej że Ania podzielała moją pasję narciarską. Śpiewała na naszych jubileuszach. Widywaliśmy się przy każdej wizycie w Krakowie. Odejście Ani było ogromnie przykre. Oczywiście było i jest wiele innych przyjaźni, między innymi z Jerzym Janickim, Olgierdem Budrewiczem, Jerzym Bralczykiem i innymi wspaniałymi twórcami.

Na ogół ludziom kultury bardzo zależy na tym, by wizerunek Polski był lepszy, niż bywa.

Czy można powiedzieć, że połączył Państwa sport?

W jakimś sensie tak. Zarówno Ania, jak i Marisa Łempicka to zapalone narciarki. Pasje łączą ludzi. Przy książkach pracują ludzie o pewnych wymaganiach estetycznych i intelektualnych. Książka jest częścią kultury – miłość do książek też łączy. Na ogół ludziom kultury bardzo zależy na tym, by wizerunek Polski był lepszy, niż bywa. To już jest dobry start do współpracy.

Lista autorów krakowskich opublikowanych przez Pana wydawnictwo jest pokaźna. Wspomnijmy chociażby Wisławę Szymborską, Marię Potocką, prof. Franciszka Ziejkę czy Czesława Miłosza. Takich wielkich nazwisk jest na tej liście mnóstwo. Czy pokusiłby się Pan o charakterystykę autora krakowskiego?

Kraków ma swoją specyfikę, myślę, że jest to wpływ zarówno wielu wspaniałych postaci, jak i Piwnicy pod Baranami oraz pewnej niezależności Krakowa, nie tylko w czasach komunistycznych, lecz także dzisiaj. Środowisko kultury krakowskiej reprezentuje najwyższy poziom.

Jak to jednak zmierzyć?

Jednym z parametrów może być czytelnictwo. Uczestniczymy w wielu targach książki, największe są w Warszawie, ale prawie takie same są krakowskie. Warszawa ma targi na Stadionie Narodowym – olbrzymie miejsce, wielka liczba wydawców i bardzo dogodny dojazd, średnio odwiedza je 70 tys. ludzi. Kraków, o wiele mniejsze miasto, niesłychanie

niedogodny dojazd i także 70 tys. odwiedzających. W Krakowie znajdujemy zawsze największe zainteresowanie naszymi albumami i książkami, mimo że Warszawa jest bogatsza. Co oznacza, że jest to trochę inne społeczeństwo, które charakteryzuje większa miłość do sztuki.

Ostatnio w debacie publicznej pojawiają się głosy, że Kraków traci swoją kulturalną pozycję, że sztuka „krakowska” już tak nie rezonuje, że skupieni jesteśmy na sobie i na tym, co minęło, a także, że nie pojawiają się nowe, mocne głosy. Czy zgodziłby się Pan z tymi tezami?

W kulturze zawsze są pewne fale, to jest kwestia pojawiających się i odchodzących talentów. Musimy pamiętać, że wielu wspaniałych ludzi odeszło. Z największych – Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Piotr Skrzynecki, Jerzy Turowicz, Józef Tischner, Ewa Demarczyk, Krzysztof Penderecki, ostatnio także przedstawiciele młodszego pokolenia – Zbigniew Wodecki, Ania Szałapak, Jerzy Pilch. Na ich miejsce przychodzą młodzi, ale takie duże postaci nie rodzą się na kamieniu! Pojawiają się znowu, Kraków zawsze będzie rezonował, chwilowo może brakuje tak wielu indywidualności, pamiętajmy jednak, że mamy wspaniałą Ewę Lipską, Adama Zagajewskiego czy Zbigniewa Preisnera. Zatem może być pewna okresowa luka, ale to sytuacja chwilowa. Za krótki czas do Ewy i innych dojdą następni utalentowani twórcy, i znowu Kraków będzie przewodził polskiej kulturze.

Wydali Państwo już ponad 800 tytułów. A co Pan czyta, tak dla przyjemności?

Z moimi przyjaciółmi Jerzym Janickim i Jerzym Bralczykiem nieraz rozmawiałem o *Trylogii*. To jest banalne, ale ja się tego nie wstydzę – wychowałem się na niej. Kochałem *Remarque’a*, czytałem Tomasza Manna, Dostojewskiego, Tołstoja – to są książki, które nigdy nie znikną z literatury, a jest tak wiele zjawisk, które dzieją się tylko tymczasowo. Znam, przeglądam i czytam współczesnych – z ciekawością, ale z różnym poziomem zainteresowania. W moim księgozbiorniku dominuje klasyka.

Na koniec chciałbym dodać jedno zdanie. Wydawanie książek i współpraca z wieloma wybitnymi Polakami to fantastyczne zajęcie.



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.



Michał Cygan, *Bitwa o Empik*, 120 x 90 cm, akryl na płótnie, 2021



Obrazy, które powstają ze złości

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Anita Tomala-Cygan

Malarstwo Michała Cygana niemal w reporterski sposób przedstawia to, co dzieje się dziś w naszym kraju. W ten sposób artysta sprzeciwia się ograniczaniu swobód obywatelskich.

Jeszcze niedawno Michał Cygan, podczas idących ulicami miast manifestacji, stał z boku. Jak na prawdziwego introwertyka przystało, obserwował tylko to, co się dzieje. Ale ostatnimi czasy coraz bardziej wzbierała w nim złość. Już nie chciał być biernym obserwatorem. Podczas Strajku Kobiet dołączył do tłumu, demonstrując poparcie dla słusznej sprawy. Na tym jednak jego rola się nie skończyła. Gdy po protestach wracał do pracowni, stawał przed sztalugami i malował niemal reporterskie kadry z życia naszego kraju, dając w ten sposób ujście emocjom.

– Moje obrazy są echem tego, co dzieje się w polskiej polityce, a także wyrazem coraz większej frustracji związanej z ograniczaniem naszej obywatelskiej wolności. Pierwszy raz poczułem to, kiedy zaczęła się nagonka na imigrantów oraz osoby transpłciowe i o odmiennej orientacji seksualnej. Zaczęłem wtedy malować cykl przedstawiający Kraśnik, gdzie powstała „strefa wolna od LGBT”. Podczas pracy zrozumiałem, że rządzący naszym krajem ludzie opierają swoją władzę na najniższych instynktach. Nie dają na to zgody – mówi.

Nie bez powodu na jego obrazach możemy dojrzeć tęczową flagę, która tworzy kontrast z biało-czerwonymi sztandarami niesionymi przez uczestników Marszów Niepodległości.

Zresztą pseudokibice udający patriotów to jeden z częściej powtarzających się motywów w twórczości Michała. Ich twarze zasłaniają kominiarki, jak na obrazie *Dzień hańby*, gdzie młodzi, zamaskowani mężczyźni atakują kobiety i dzieci. Z kolei w *Ej Mordo, masz piątaka* widzimy na ich piersiach orły w koronie. – To jest środowisko, które mnie przeraża. Pokazałem to w tym roku także w takich pracach jak *Bitwa o Empik* czy *Marsz niepodległości* – dodaje malarz.

W ostatnim czasie na jego obrazach kolory przestały dominować. Jakby chciał przez to dać symboliczny wyraz swojemu zniechęceniu, powiedzieć, że władza urządza nam świat w coraz bardziej wyblakłych, szarych barwach. To znamienne, gdyż jeszcze kilka lat temu, kiedy kończył Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach, jego prace aż krzyczały błękitem, zielenią, różem... Choć uzyskała dyplom w Pracowni Grafiki Cyfrowej u prof. Adama Romaniuka, to odszedł w stronę malarstwa, trafiając do pracowni prof. Kazimierza Cieślaka. – Poczuję wtedy, że gra-

fika warsztatowa mnie ogranicza. Malując, czuję się swobodniej. Posługiwanie się pędzlem i farbami daje większą możliwość opowiadania historii. A to lubię robić, więc może dlatego nigdy nie porzuciłem sztuki figuratywnej dla abstrakcji – tłumaczy Michał.

Chętnie opowiada również historie związane ze Śląskiem. Odkąd przyjechał tam na studia ze wsi Frydrychowice pod Wadowicami, nieodmiennie fascynuje go osobność tego regionu i niespotykany w innych miejscach klimat. Dlatego przenosi go na płótno, malując sceny rozgrywające się wokół familoków, gdzie toczy się zwykłe życie. Nieopodal górniczych domów kręcą się postacie jakby nie z tego świata. Są wśród nich zbieracze złomu, makulatury, ludzie, którzy znaleźli się na marginesie życia. Nie brakuje także księży i to takich, którzy za pomocą hostii walczą z koronawirusem. Malarz komentuje: – Odnoszę wrażenie, że od pewnego czasu stykam się z polskim katolicyzmem w najgorszym wydaniu. Jest on dla mnie groteskowy, czego symbol stanowi choćby kaszubski obrzęd, podczas którego wykonuje się dziwne pokłony z obrazami świętych.

Za obraz *Tańczące feretrony* Michał Cygan dostał nagrodę w konkursie Dystans Art Competition: Malarstwo i Rzeźba 2020, organizowanym przez krakowską Galerię Dystans z ulicy św. Krzyża 14. I to właśnie w niej, a także we Fresz Gallery, przy ulicy Karmelickiej 18, możemy obecnie oglądać jego prace.

Jesienią galeria Dystans planuje zorganizować wystawę indywidualną obrazów Michała Cygana.

*

Michał Cygan jest absolwentem Liceum Sztuk Plastycznych w Bielsku-Białej i grafiki warsztatowej na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Zdobył między innymi wyróżnienie w II Międzynarodowym Triennale Mediów Cyfrowych w Radomiu, I nagrodę w konkursie im. Vincenta van Gogha oraz II nagrodę w konkursie Ulica Themersona w Płocku.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Michał Cygan

Jakie smaki zapamiętałeś z dzieciństwa?

Uwielbiałem smak truskawek i świeżych jabłek. Wychowałem się na wsi, więc na co dzień miałem dostęp do przydomowego sadu.

Jaki zapach powoduje, że czujesz się bezpiecznie?

Zapach lasu. Kojarzy mi się z dzieciństwem, z zabawami z braćmi. Budowaliśmy tam szałas, a między drzewami bawiliśmy się w chowanego.

Czy zdarza ci się odczuwać strach? W jakich sytuacjach?

Jestem introwertykiem, więc – jak można się domyślić – nie przepadam za zatłoczonymi miejscami.

Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?

Na pewno zmieniłbym upór, którym się cechuję, ponieważ powoduje on konflikty.

Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako inna osoba, kto to by był?

Papież. Wtedy rozliczyłbym winnych pedofili i jej ukrywania.

Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako zwierzę, kim chciałbyś być?

Psem rasy Jack Russell Terier. Ubóstwiam te psy.

Jaką książkę wzięłbyś ze sobą na bezludną wyspę?

Trylogię Yuvala Noaha Harariego. Jej lektura sprawiła mi ogromną przyjemność. Autor bardzo trafnie podsumowuje dzisiejszą rzeczywistość.

Bez jakiej płyty nie wyobrażasz sobie samotnego wieczoru?

Nie mam ulubionej płyty, jednak uwielbiam wielu muzyków. Między innymi The Dumplings, Dawida Podsiadło, CocoRosie, Coals...

Czy istnieje malarz, którego nazwałbyś swoim mistrzem?

Podziwiam wielu artystów, a wśród nich szczególnie Davida Hockneya, Edwarda Hoopera i Henriego Rousseau.

Kto jest dla ciebie wzorem dla naśladowania?

Zdecydowanie i niezaprzecalnie moja żona.

Jakie jest twoje ulubione słowo?

Kocham.

Jakie jest twoje ulubione przekleństwo?

Wypierdalać.

Co ci się śni najczęściej?

Zazwyczaj nie pamiętam snów, ale jeśli już mi się zdarzą, to są one bardzo pokręcone i surrealistyczne.

Jakiego snu nigdy nie zapomnisz?

Kiedyś śnił mi się Janosik, którego powieszono na haku za żebro na strychu mojego domu. Na miejsce przyjechał Strażnik Teksasu i stwierdził, że nic się nie da zrobić. Trzeba było więc wysadzić dom w powietrze, aby pozbyć się ducha.

Jeśli Niebo istnieje, co chciałbyś usłyszeć docierając do jego bram?

Jestem ateistą, ale jeśli bym tam miał trafić, to chciałbym usłyszeć: „Miło cię widzieć”.

Jeśli Piekło istnieje, kogo byś tam chciał spotkać?

Jeśli Piekło istnieje, to uważam, niestety, że już teraz bywa na ziemi.

Ukąszenie Pilchowskie

Tekst: Krzysztof Zajas

Jak pisać o Jerzym Pilchu? Jaką frazą uchwycić wirtuoza literackiej frazy? A jeśli był jeszcze Przyjacielem, Mistrzem, niedościgłym wzorem, całe życie podziwianym i naśladowanym? No nie ma jak. Zapisujesz myśl i zanim dojdiesz do końca linijki, już wiesz, że to nie to, że On by powiedział lepiej. Cokolwiek byś nie złożył w zdanie, jaką byś nie podjął opowieść, jakich wyżyn stylu byś nie sięgnął – Pilch zawsze jest wyżej. Spogląda z politowaniem z góry i mówi: „Próbuj dalej, Witku, próbuj”.

Witold Bereś wybrnął z tej pułapki bardzo zręcznie, jak przystało na rasowego scenarzystę, a mianowicie obrócił swoją słabość w siłę. Ułożył książkę o Pilchu z tekstu różnobarwnego, wielogłosowego, z chóru wielbicieli, akolitów i fanek oraz z solowych występów krytyków, sceptyków i jawnych wrogów. A przede wszystkim z tekstów samego Pilcha, który jak wielki maestro dyryguje całą tą rozgadaną orkiestrą, uśmiechając się znad opuszczonych na koniec nosa okularów. „Ja, mistrz, wyciągam dłonie...”. Oni mówią i mówią, a ja rozkoszuję się owadźm brzęczeniem mowy – o mnie. I podrzucam nowe wątki, rytmy, tematy...

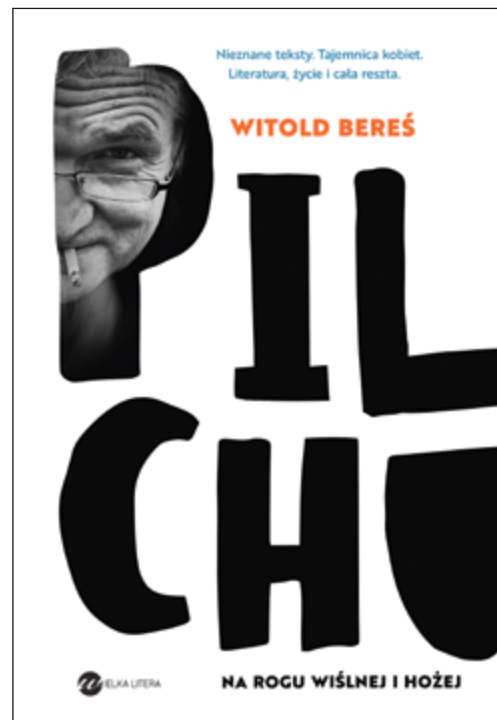
Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej Beresia czyta się – że użyję jednego z Pilchowym epitetów – brawurowo. To zasługa zarówno kapitalnego nagromadzenia celnych i błyskotliwych wypowiedzi tytułowego bohatera, jak i oryginalnej kompozycji autora, który ułożył je tematycznie, opatrzył własnymi i cudzymi komentarzami, a także poprzeplatał osobistymi wtrętami, które uruchamiają jeszcze jedną, intymną perspektywę. Bo to jest również książka bardzo osobista, książka żałobna o odejściu przyjaciela i mentora. Jak refren powtarzane wtrącenia *21 gramów prywatności* (tyle waży dusza w słynnym filmie *Iñárritu*) dotyczą najbardziej osobistych sfer. Bereś nie ukrywa, że należy do grona zarażonych Pilchem, że i jego dotknęło ukąszenie Pilchowskie, i teraz – po Jego śmierci – świat już nie jest taki sam. I nigdy nie będzie. Ten ryzykownie sentymentalny rys został rozbrojony za pomocą kompozycji ramowej: książka zaczyna się od pustki, a kończy jej wypełnieniem. Bereś nie pogodził się z odejściem i deklaruje, że będzie krakowski Rynek wciąż zapełniał zmarłymi na nowo, do końca. Że dopóki żyje, będzie siadał przy kawiarnianym stoliku w *Zwisie* albo *Bambusach* i odprawiał swoje prywatne *Dziady*, wywołując Ich do obecności. Z Pilchem pośrodku, jako dyrygentem.

Przebogato tu od tematów, nie sposób je wszystkie wymienić. Bereś waży sądy, przywołuje rozmaite opinie, pilnuje uczciwości i rzetelności, co w przypadku wyznawcy doprawdy nie jest łatwe. Czasem ulega podszeptom uwielbienia, więc tłumaczy, usprawiedliwia, łagodzi... Co ważne dla krakowian, duży

passus poświęcony został związkom Pilcha z „Tygodnikiem Powszechnym”, na przemian czułym i napiętym, jak to w miłości. Wyjątkowo boleśnie czyta się te ustępy dzisiaj, gdy nasz „Tygodnik” po 76 latach został usunięty z *Wiślniej* przez zjadłego arcybiskupa. Podtytuł książki Beresia pobrzmiewa głuchym dramatem...

Jako badacz muszę podkreślić wartość poznawczą tej pozycji. Wypowiedzi Jerzego Pilcha zostały w dużym stopniu skomponowane z tekstów nieoczywistych, nieznanych wywiadów i zapomnianych felietonów, które nie znalazły się w późniejszych wyborach książkowych. Całość uzupełnia szeroka i dynamicznie ułożona bibliografia – kopalnia wiedzy o Pilchu.

Był z nami i Go nie ma. Przemknął przez nasze niebo jak kometa, zakręcił nami przy kawiarnianych stolikach i zniknął. Zostało dojmujące poczucie straty. Bereś je zapisał.



Witold Bereś, *Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej*, Wielka Literatura, Warszawa, premiera kwiecień 2021.



Ranni oficerowie amerykańscy, grający w brydża podczas rekonwalescencji. Chateau de Villegenis, Palaiseau, Francja, wrzesień 1918

Asy Krakowa

Tekst: Małgorzata Maruszkin Ilustracje: Wikimedia Commons

Kraków stoi także brydżem. Miasto i jego okolice mogą się chlubić nazwiskami z najwyższej półki w tej grze.

To w Krakowie mieszkał (i wykładał na Akademii Górniczo-Hutniczej) arcy-mistrz światowy Andrzej Wilkosz – legenda brydża. Do sekcji brydża sportowego TS Wisła Kraków wstąpił w 1960 roku i od tego czasu przez 53 lata, aż do śmierci, reprezentował wiślackie barwy. Zmarł nagle 29 grudnia 2012 roku w trakcie zawodów w Mielcu.

Następne wielkie nazwisko brydżowe Krakowa to świetny dziennikarz – i brydżysta właśnie – Jan Blajda, który mawiał, że „brydż składa się z czterech elementów: licytacji, wistu, rozgrywki i najważniejszego – dyskusji porozdaniowej”. Odszedł w 2017 roku.

Ich godnymi następcami są brydżyści z Centrum Kultury i Sportu w Skawinie, którzy nieprzerwanie od 1996 roku zajmują medalowe miejsca w imprezach najwyższej rangi, z mistrzostwami Polski włącznie, we wszystkich kategoriach wiekowych. Łącznie wywalczyli już blisko 150 trofeów. Drużynę prowadzi Marcin Kufłowski, w branży znany jako „Kufel”.

*

Małgorzata Maruszkin: Skąd ten brydż?

Marcin Kufłowski: Tata, mający kontakt tylko z brydżem towarzyskim, nauczył zasad mnie, o rok młodszego brata i dwóch naszych kolegów. Chwilę później nauczyciel WF Tomasz Kutek, w 1992 roku rozpoczynający pracę jako instruktor w Centrum Kultury i Sportu w Skawinie, powiedział, że otwiera się sekcja brydża. Może chcemy się nauczyć? Dumnie odpowiedzieliśmy: „Ale my już umiemy!”. Po dwóch-trzech lekcjach wiedzieliśmy, że brydż sportowy to jednak nieco inna gra od tej, którą pokazał nam tata. Trzy miesiące później już niemiłosiernie ogrywaliśmy z rodziców.

Co dobrego dał Ci, a co zabrał brydż?

Zabrał? Może trochę czasu, dał – pasję rodzinną. Starszy syn Kacper świetnie gra, jest reprezentantem kraju, medalistą mistrzostw świata i Europy. Żona Jola, którą rok temu wreszcie nauczyłem grać, radzi sobie coraz lepiej, udało jej się nawet zdobyć tytuł instruktora. Młodszy syn jest jeszcze za mały na naukę, ale przesiąka brydżowym towarzysztwem na młodzieżowych obozach sportowych, na które zawsze staram się brać rodzinę. Więc nawet ten czas, który mi zabrał brydż, tak naprawdę wiele też dał. Nauczyliśmy się jako rodzina żyć (z) brydżem. A wielu

pięknych chwil, które przeżyłem dzięki sukcesom moich wychowanków, nie zamieniłbym na nic. Porażek też, bo choć tych było znacznie mniej niż sukcesów, to właśnie one najlepiej motywują.

Nauczył tego, czego po prostu brydż uczy, a co szczególnie widać po dzieciach zaczynających grać – koncentracji, umiejętności logicznego myślenia i wyciągania wniosków, współpracy (przede wszystkim z partnerem, ale również z przeciwnikami), podejmowania optymalnych decyzji.

Brydż składa się z czterech elementów: licytacji, wistu, rozgrywki i najważniejszego – dyskusji porozdaniowej (Jan Blajda).

Czy jest „życie po brydżu”?

Można grać bez końca, co udowodniła 103-letnia pani Maria Klimaszewska, z którą graliśmy z Witoldem Stachnikiem, prezesem Polskiego Związku Brydża Sportowego – to mistrz międzynarodowy, matematyk, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracuje w... Krakowie.

Jestem w stanie sobie wyobrazić, że nie będę grał w brydża, ale nie bardzo wiem, jak bym się czuł, gdyby odcięto mnie od moich brydżowych dzieci i nie mógłbym pracować jako szkoleniowiec.

Jak zachęcić młodzież do grania?

Nie ma reguły, bo czasem nawet stawianie na głowie kończy się niczym. Trzeba mieć odrobinę szczęścia, by zbudować fajną grupę dzieci. Aby ją zbudować – trzeba mieć szczęście, żeby się pojawiły na zajęciach. Co może zachęcić? Paradoksalnie wydaje mi się, że to, iż odciągamy te dzieci od komputera, włączamy im myślenie, stawiamy na samodzielność, uczymy podejmowania decyzji, przebywania w grupie – jest chyba kluczowe w czasach smartfona i internetu. A że smartfon i internet też można w pewnym momencie wykorzystać do szkolenia – fajnie się to wszystko uzupełnia. Wilk jest syty i owca cała. Miło patrzeć, jak dzieciaki sięgają po medale imprez rangi mistrzowskiej. I wiedzieć, że nikt im (nam) tego nie dał, że na to wspólnie i uczciwie zapracowaliśmy.



Początek rozgrywki kontraktu brydżowego. Widoczne są karty trzymane przez rozgrywającego, na stole po lewej leży karta zawistowana przez broniącego, a na wprost rozgrywającego wyłożone są karty dziadka

Brydż uczy, co szczególnie widać po dzieciach zaczynających grać, koncentracji, umiejętności logicznego myślenia i wyciągania wniosków, współpracy (przede wszystkim z partnerem, ale również z przeciwnikami), podejmowania optymalnych decyzji (Marcin Kufłowski).

Z czego jesteś najbardziej dumny?

Największe moje sukcesy, to – mimo dzieciątek medali moich podopiecznych na arenie międzynarodowej i setek na krajowym podwórku – małe sytuacje, gdy ktoś z moich zrobił olbrzymi krok w krótkim czasie i zdobył wynik ponad miarę ze starszymi od siebie. Z największych sukcesów – kariera Justyny Żmudy, jednej z najlepszych, a w opinii niektórych najlepszej brydżystki na świecie. No i mój syn Kacper – w wieku 12 lat został mistrzem Europy młodzików, potem dołożył

jeszcze kilka medali mistrzostw świata. Takie osiągnięcia, tacy wychowankowie nadają mojej pracy sens, a mnie dają porządnego kopa, by starać się jeszcze mocniej.

*

„Kufel” wspominał Justynę Żmudę, klasyfikowaną na pierwszym miejscu światowego ranking juniorów (do lat 25), a także najwyższej klasyfikowaną Polkę w światowym i europejskim rankingu kobiet.

Małgorzata Maruszkin: Co brydż zmienił w Twoim życiu?

Justyna Żmuda: To temat rzeka. Dzięki brydżowi moje życie to ciągłe wyjazdy na turnieje – zwiedzanie świata, poznawanie nowych kultur, nowych ludzi, nawiązywanie znajomości na całe życie. Brzmi to trochę jak oklepana śpiewka, ale tak naprawdę jest. Brydż dał mi pasję, hobby, bez którego nie wyobrażam sobie życia. Myślę, że jak ktoś już brydżem przesiąknie, to nie przestaje grać, można czasem z różnych względów odłożyć brydża na później, ale nie da się odejść od tej gry na zawsze.



Sala gry zawodów brydża sportowego. Olimpiada Sportów Umysłowych, Pekin 2008

Dzięki brydżowi nauczyłam się radzić sobie z presją, ze stresem, podejmować decyzje w warunkach niepewności, nabrałam wiary siebie. Może słowo „nauczyłam” jest lekkim kłamstwem, bo tak naprawdę ja się tego cały czas uczę i jeszcze dużo przede mną w tej kwestii, ale widząc postępy, wiem, że to działa. Najważniejsza zmiana, jaką brydż wprowadził w moje życie? Dzięki brydżowi poznałam mojego męża, z którym razem dzielimy pasję, jaką jest ta piękna gra. Robię to, co kocham i co sprawia mi wielką radość.

*

Mężem Justyny jest Michał Klukowski, mieszkają w Skawinie. To arcymistrzowska para – Michał Klukowski, rocznik 1996, uważany jest za największy talent nie tylko polskiego, ale i światowego brydża sportowego. Jest najmłodszym w historii mistrzem świata w kategorii OPEN – zdobył tytuł w 2014 roku w chińskim Sanya. Rok później został najmłodszym w historii mistrzem Bermuda Bowl (Chennai, Indie 2015), drużynowych mistrzostw świata. I tak mu już zostało – wygrywa wszystko. Wygrał też szczęście – drugą połowę.

*

Kraków ma jeszcze jednego asa w rękawie: Agatę Kowal, instruktorkę brydża, która przez pięć lat badała gimnazjalistów z klas brydżowych. Wyniki pokazują jednoznacznie, że dzieci, które grały w brydża, po roku treningów prześcigały w nauce rówieśników, którzy „na wejściu” mieli lepsze oceny. Nie chodzi tylko o naukę, lecz o integrację, lek na chorobę cywilizacyjną XXI wieku, jaką jest samotność. A zatem – na koniec – wisienka na torcie, czyli coś dla młodszych i starszych,

Jak ktoś już brydżem przesiąknie, to nie przestaje grać. Nie da się odejść od tej gry na zawsze (Justyna Żmuda).

a mianowicie kursy i wczasy brydżowe, które od 10 lat (w lipcu 2021 świętowany będzie mały jubileusz) organizuje Krzysztof Ziewacz z Tarnowa. Atmosfera jest wspaniała, przyjeżdżają chętni z Polski i z zagranicy (bo brydż to język międzynarodowy, zawsze się dogadasz, a przy okazji zdobędziesz przyjaciół). Dla części osób – zwłaszcza tych 60+, którzy mają nawet własne kluby rozsiane po całym świecie (w Polsce jest ich ponad 300 – dzięki Markowi Małysie) brydż bywa jedynym powodem, żeby wstać i wyjść z domu na spotkanie z przyjaciółmi. A że podczas dyskusji poroždaniowej niekiedy adrenalina żywiej krąży, to nic złego.

W trudnych chwilach brydż jest lekiem na plagę nie tylko ostatniego czasu, czyli samotność. Bo gdy nie można grać „na żywo”, zawsze pozostaje internet – i choć to nie to samo, pomaga jednak odwrócić myśli od budzących lęk rozważań o tym, co się dzieje.



Małgorzata Maruszkina – tłumaczka, wydawca (pracowała między innymi w Świecie Książki i PWN) i brydżystka – do jesieni ubiegłego roku była rzecznikiem Polskiego Związku Brydża Sportowego.

Wstęp do Klubu nie wychodząc z domu.



ZAPRASZAMY!

Wpłać 140 zł (osoby) lub 500 zł (firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy lub Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu otrzymują miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA”):

BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:

[www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakładka:
Klub Przyjaciół „Krakowa”](http://www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka:Klub%20Przyjaciol%20%22Krakowa%22)
email: redakcja@Biblioteka.Krakow.pl

„Kraków”
– otwarty dla każdego. **Zawsze**





Michał Cygan, *Flaga*, 27 x 33 cm, akryl na płótnie, 2020

Moda na filmowe biografie

Tekst: Łukasz Maciejewski **Zdjęcia:** z archiwum i za zgodą dystrybutorów filmów *Mistrz* (reż. Maciej Barczewski) oraz *Szarlatan* (reż. Agnieszka Holland)

Biografistyka filmowa to od dawna usankcjonowany gatunek. Co tu kryć, życie cudze fascynuje bardziej niż własne, a ponieważ kinem, zwłaszcza w wydaniu popularnym, rządzą ustalone reguły, po niemal każdej filmowej biografii oczekujemy ekstraktu naszego życia, tyle że w wydaniu zwielokrotnionym.

Szybka kariera, pasja, oczekiwania, często zwykły, perwersyjny, a w finale tragedia lub zwycięstwo. Chodzi także o ciekawość – chęć poznania intymnych szczegółów z życia postaci znanych, szanowanych lub – to również nie taki znowu rzadki przypadek – znienawidzonych. Gwiazdy kina, sportowcy, królowe, celebryci i złodzieje. To nas kręci, to intryguje. Drugą, mniej liczną kategorię filmowych biografii stanowią opowieści o losie. Tutaj mamy autentyczne historie anonimowych ludzi, którzy zostali wprzęgnięci w przygodę życia, stali się mimowolnymi uczestnikami afery kryminalnej lub, na przykład, stoczyli zwycięską walkę z nałogiem.

Słowem, filmowa biografistyka, również w polskim wydaniu, jest demokratyczna i sprawiedliwa. Dowód? Oto kilka biografii z ostatnich lat: opowieść o noblistce *Maria Skłodowska-Curie* sąsiaduje z historią mordercy, który opisał w szczegółach swoje zabójstwo w książce (*Amok Kasi Adamik*), pokazana przez Łukasza Palkowskiego w *Najlepszym* historia życia Jerzego Górskiego, narkomana, który uzyskał tytuł mistrza świata w podwójnym triathlonie pojawia się obok wyrafinowanego plastycznie, animowanego obrazu *Twój Vincent* o Vincencie van Goghu, są wreszcie pamiętni *Bogowie* o Zbigniewie Relidze oraz *Sztuka kochania* – historia życia seksuolożki Michaliny Wisłockiej.

Wgląd w ponury, poszatkowany repertuar kinowy i streamingowy 2020 roku był pod tym względem podobny. Biografistyka filmowa wciąż jest sprawiedliwa, łączy skrajności. Bohaterowie filmów biograficznych z tego sezonu to, na przykład, charyzmatyczny ksiądz, piosenkarz pop, muzyk disco polo, dyrektor grupy teatralnej pracujący z osobami z zespołem Downa, legendarny rysownik, bokser, podróżnik, lekarz sięgający po niekonwencjonalne metody, wreszcie anonimowy chłopak niesłusznie skazany na dożywocie. Prawie nic nie łączy tych postaci poza tym jedynie, że ich historia, historia ich życia, okazała się również ciekawa dla innych. Na tym przecież polega dobre kino. Ma wciągnąć, angażować, zapraszać do cudzego świata. Cudze życie jest takim światem.

Gdybym jednak z powodzi rodzimych filmów fabularnych i dokumentów biograficznych musiał wybrać jednego tylko zwycięzcę sezonu, to, chociaż wybór nie jest łatwy,

postawiłbym na Jana Holoubka i jego *25 lat niewinności. Sprawę Tomka Komendy*. Zadanie było tym razem trudniejsze. O sprawie Komendy trąbiły wszystkie media, zwłaszcza tabloidy, jednak reżyserowi i jego ekipie udało się uciec od takiej estetyki. Postawił, rzecz wbrew pozorom rzadka, na rzemiosło filmowe, autentyzm realizacyjny. *25 lat niewinności*, film nie bez powodu określany jako król pandemicznego *box office*'u (na *Sprawę*



Tomka Komendy wybrało się w 2020 roku 712 tysięcy widzów), to w najlepszym tego słowa znaczeniu kino środka. Holoubek posiadał dar obserwacji, umiejętnego prowadzenia narracji, zrozumiał też, że siłą filmu, jest właściwy dobór obsady, zwłaszcza aktora grającego Tomasza Komendę. Zaryzykował, postawił na niemal nieznanego Piotra Trojana i wygrał. Mniejsza, że Trojan jest fizycznie niezwykle podobny do pierwowzoru, ważniejsze chyba, że stworzył kreację w stylu iście amerykańskim, rodem z kluczowych zasad Actor's Studio. Aktor nie odtwarza postaci, ale staje się nią w każdym aspekcie, geście i reakcjach. Hipnotyzująca rola w świetnym filmie.

Mniej powiodły się w tym sezonie pozostałe biografie fabularne. W *Zenku* Jana Hryniaka ambicje były większe niż chronologiczna opowieść o imponującej karierze ulubionego gwiazdora TVP. Może właśnie te ambicje ostatecznie zaszkodziły projektowi? Powstał obrazek pozbawiony charakteru. *Zenek* za-

wiódł jako historyczna gawęda o ostatnich dekadach potransformacyjnej polskiej prowincji, ale także jako opowieść o fenomenie symbolu disco polo.

O wiele więcej o tak zwanym polskim losie dowiedziałem się z – dla odmiany pozbawionego większych ambicji – dokumentu, czy raczej reportażu biograficznego, zrealizowanego dla TVP, który stał się nieoczekiwanie największym hitem świątecznej telewizyjnej ramówki. Mowa o filmie *Krzysztof Krawczyk – całe moje życie* w reżyserii Michała Bandurskiego i Krystiana Kuczkowskiego. Początkowo to miał być jedynie dokument rejestrujący nagrywanie najnowszej płyty piosenkarza, ale pandemia i przymusowe udomowienie artysty i jego współpracowników sprawiły, że zmieniła się koncepcja dokumentu. Gigantyczna kwerenda w archiwach TVP przyniosła ciekawe rezultaty. Krzysztof Krawczyk, artysta, którego utwory zna każdy Polak niezależnie od wieku, ale cenią go jednak głów-



Mistrz, reżyseria Maciej Barczewski

nie seniorzy, staje się w filmie w pewnym sensie kwintesencją polskiego losu i tak zwanego polskiego charakteru. Oszłamiająca kariera w PRL-u, ale i nieudane próby podbojów zachodnich rynków, dwukrotna decyzja o wyjeździe do USA, powroty na tarczy, kolejne hity, nabita Sala Kongresowa, ale i remizy strażackie, flirt z disco polo, wreszcie imponujący *come back* przy wsparciu między innymi Andrzeja Smolika, Piaska, Edyty Bartosiewicz. Krawczyk jest w tym filmie ludzki, grzeszny, pocieszny. Daje się lubić, daje się słuchać. Tyle wystarczy na hit – i muzyczny, i filmowy.

Nieco innym portretem muzycznym jest pokazywany jesienią w kinach *Skandal. Ewement Molesty* Bartka Paducha, o którym pisałem już szerzej na łamach „Krakowa”. W dokumencie Paducha bohater jest w zasadzie zbiorowy, to próbująca uciec od „Krawczyków” młodzież z czasów transformacji, która wiele lat po Brygadzie Kryzys, Siekie-

rze czy o wiele bardziej konwencjonalnym Maanemie, za pośrednictwem muzyki, tym razem rapu i hip-hopu, usiłowała, z różnym skutkiem, wykrzyzczyć swoją niezgodę na Polskę zaściankową, biedną, brudną, i układową. Wydarzeniem filmowym jesieni 2020 był również pełnometrażowy dokument o Tonym Haliku w reżyserii Marcina Borchardta. Autor dokumentu o rodzinie Beksińskich (*Beksińscy. Album wideofoniczny*) skupił się na materiałach archiwalnych z udziałem słynnego podróżnika i telewizyjnej osobowości. *Tony Halik* nie jest jednak bynajmniej hagiografią jednego z najpopularniejszych showmanów TVP czasów PRL. Borchardt, zainspirowany reportażem Mirosława Wleklego *Tu byłem. Tony Halik*, przedstawia mniej oczywisty portret Halika. Owszem, wspinał się na góry, był podróżnikiem, charyzmatycznym gawędziarzem, ale także osobą ze skrzywioną osobowością, notorycznego fantastę (zmyślił wiele ze swoich przygód), a w końcu hipo-



Szarlatan, reżyseria Agnieszka Holland

kryty ukrywającego, nawet przed żoną Elżbietą Dzikowską, ponurą przeszłość – służbę w Wehrmachcie i epizod tajnego współpracownika komunistycznej bezpieki.

Bohaterem pełnym sprzeczności, a takie postaci filmowo są zawsze najciekawsze, jest również czechosłowacki zielarz i uzdrowiciel Jan Mikolášek z nowego filmu Agnieszki Holland *Szarlatan*. Mikolášek, grany przez Ivana Trojana, ma władzę, ale nie potrafi ani jej użyć, ani wykorzystać dla siebie. Dar ziołolecznictwa przekracza jego możliwości emocjonalne. Z kolei dla Roberta Glińskiego, autora *Zieji*, książdz Jan Zieja w interpretacji Andrzeja Seweryna, jest po prostu monolitem. Kapłanem, który się nie waha. On wie, co jest dobre, a co złe.

Nieco przesadnie upoczcwionym bohaterem, tym razem dokumentu pokazywanego w wakacje 2020 roku w naszych kinach, jest również książdz Adam Boniecki. W filmie *xABO: Książdz Boniecki* w reżyserii Aleksan-

dry Potoczek, Boniecki – jako świadek wieku i całej epoki w polskim Kościele – przypomina zresztą Zięję, tyle że w uładzonym, popowym wydaniu.

Dobre kino ma wciągnąć, angażować, zapraszać do cudzego świata. Cudze życie jest takim światem.

Sezon na filmowe biografie w polskim kinie wcale się nie kończy. Można powiedzieć, że dopiero się rozkręca. W 2021 trzeba będzie zwrócić uwagę na *Amatorów* w reżyserii Iwony Siekierzyńskiej. To oryginalna, kombinowana, fabularno-dokumentalna opowieść o przygotowaniach do wystawienia *Hamleta* przez artystów gdyńskiego teatru Biuro Rzeczy Osobistych, tworzonego przez osoby z zespołem Downa. Wojciech Solarz z oddaniem kreuje w tym filmie postać Krzyśka, wzorowaną na Zbigniewie Biegajle, od lat szefie BRO.

Warto również poczekać na *Mistrza Macieja Barczewskiego* – nakręconej z dużym rozmachem historii boksera Tadeusza „Teddy’ego” Pietrzykowskiego (w tej roli brawurowy Piotr Głowacki), który dzięki walkom na ringu ocalił życie w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady Auschwitz-Birkenau.

Gdybym jednak miał wskazać biograficzny tytuł, na którego premierę czekam chyba najbardziej, byłby to *Papcio Chmiel* – dokument w reżyserii Petro Aleksowskiego. Wciąż jeszcze robocza wersja filmu pokazana w ubiegłym roku na festiwalu „Integracja Ty i Ja” w Koszalinie daje nadzieję na mimo wszystko optymistyczną i podnoszącą na duchu historię skomplikowanego człowieka sukcesu. Henryk Jerzy Chmielewski, znany wszystkim jako „Papcio Chmiel”, autor serii komiksowej *Tytus, Romek i A’Tomek*, był świadkiem historii. W filmie Aleksowskiego zaprasza – tuż przed śmiercią – do swojego domu i otwiera szuflady pamięci. Czy nie na tym polega fenomen nieustannej popularności filmowych biografii? Chcemy tam zajrzeć.



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Hojność krakowskiego adwokata

Tekst: Ewa Danowska Ilustracja: Wikimedia Commons

Mecenas Klemens Bąkowski zasłużył się dla Krakowa nie tylko licznymi publikacjami o jego historii i obyczajach, ale też jako ofiarodawca kamienicy na potrzeby Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków.

Urodził się prawie 160 lat temu, 23 listopada 1860 roku w kamienicy Podelwie przy ulicy Grodzkiej 32. Jego rodzice byli w Krakowie przybyszami – matka Anna pochodziła z Mielca, a ojciec Józef spod Oświęcimia. Klemens uczył się najpierw w szkole powszechnej mieszczącej się w pałacu Larischa, a potem w Gimnazjum św. Anny. Oceniano go jako ucznia przyzwoitego, pilnego, zainteresowanego historią i literaturą, przejawiał też uzdolnienia plastyczne i zamiłowanie do rysunków.

„Był to człowiek rzadkiego w dzisiejszych czasach hartu duszy, charakteru mocnego, niezdolny do kompromisów z własnym sumieniem”.

Józef Muczkowski „Rocznik Krakowski”, 1938

Po zdaniem z wyróżnieniem w 1879 roku egzaminie maturalnym podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, które sfinalizował, uzyskując w 1885 roku tytuł „doktora obojga praw”. Odbył trzyletnią praktykę w kancelarii mecenasa Karola Pieniążka, późniejszego wiceprezydenta Krakowa, a w roku 1891 został wpisany na listę adwokatów w Krzeszowicach. Właśnie tam przez piętnaście lat co rano jechał pociągiem do sądu, powracając do Krakowa wieczorem. W pracy adwokata zapamiętany został jako pragmatyk nie lubiący długich oracji i kwiecistych wystąpień. Powtarzano o nim anegdotę, że gdy obrońca strony przeciwnej zbyt długo przemawiał, zaapelował do niego, by dał spokój tym wywodom, bo Sąd jest głodny, on też, więc trzeba iść na obiad. Z kolei gdy miał bronić złodzieja o winie niebudzącej wątpliwości, skwitował, że wiadać, iż to złodziej nałogowy i trzeba mu wymierzyć karę ustawową.

Ojciec Klemensa wcześniej zmarł, a jego warsztat i sklep blacharski przy ulicy Szpitalnej prowadziła matka. Jedyny brat, starszy o cztery lata Antoni, nie kwapił się do przejęcia rodzinnego interesu, pracując jako urzędnik w Dyrekcji Kolei.

Klemens mieszkał wraz z matką w domu przy Grodzkiej, w którym się urodził. Nigdy nie założył rodziny, chociaż wiele mówiono o jego powodzeniu wśród pań, bo był mężczyzną przystojnym i interesującym. Nie stronił od życia towarzyskiego, znany był jako smakosz i bywalec kawiarni, szczególnie w Hotelu Grand przy ulicy Sławkowskiej, gdzie zbierało się grono przyjaciół. Sentyment Bąkow-

skiego do Krakowa i zabawy przedstawił jego przyjaciel, znakomity krakowski architekt Jan Zawiewski, wykonując w 1905 roku rysunek przedstawiający Bąkowskiego w alkwie, niekompletnie ubranego, z hożą dziewczyną na kolanach, tylko w bieliźnie, ale z czapką krakuską na głowie. Obrazek zaopatrzył dedykacją (po łacinie) dla Bąkowskiego jako „najłagodniejszego i najwierniejszego miłośnika piękne-go Krakowa”.

Poza pracą adwokata Klemens Bąkowski z zamiłowaniem badał dzieje, tradycje, kulturę i zwyczaje miasta. Nie zabrakło go na zebraniu założycielskim Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, które odbyło się w sobotni wieczór 21 listopada 1896 roku w budynku Archiwum Akt Dawnych Miasta Krakowa przy ulicy Siennej 16. Bąkowski protokołował przebieg obrad, włączył się w proces rejestracji Towarzystwa, służąc wiedzą prawniczą i doświadczeniem. Gdy ukonstytuowały się władze Towarzystwa, wybrano go na stanowisko sekretarza, które pełnił do 1914 roku, a dwa lata później otrzymał godność członka honorowego.

Udzielał się w wielu komisjach Towarzystwa: Odczytowej, Programowej, ds. Nazewnictwa Ulic i Placów Krakowa, ds. Szopki Krakowskiej, a także Lajkonika czy Wycieczkowej.

Gdy wybuchła I wojna światowa, dr Bąkowski zainicjował zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa w celu uchwalenia subwencji na rzecz Legionów Polskich. Jego wniosek przekazania na ten cel 3 tysięcy koron przyjęto jednogłośnie.

Podczas wojny odnotowywał w prowadzonym skrupulatnie dzienniku wszystko, co działo się wówczas mieście. Opatrywał to wnikliwymi komentarzami (diariusz znajduje się obecnie w Bibliotece Jagiellońskiej). Zapiski kontynuował przez prawie ćwierć wieku – ostatni wpis pojawił się 4 sierpnia 1934 roku. Obserwowaną rzeczywistość utrwał także pędzlem, ilustrując chociażby widok kolejkowiczów oczekujących na naftę przy ulicy św. Jana 10. W czasie wojny napisał też antypruską satyrę, którą wysłał francuskiemu premierowi i ministrowi wojny Georges’owi Clemenceau (otrzymał odeń podziękowanie).

Należy wspomnieć o ponad pięćdziesięciu publikacjach Klemensa Bąkowskiego poświęconych Krakowowi, drukowanych głównie w serii *Biblioteka Krakowa* oraz „Roczniku Krakowskim”. Są to między innymi *Dom Długosza* (1897), *Podania i legendy krakowskie* (1898), *Sądownictwo karne w Krakowie w wieku XIV* (1901), *Dawne cechy krakowskie* (1903), *Kronika krakowska 1796–1848*, w trzech częściach

(1905–1909), *Dziennikarstwo krakowskie* (1906), *Teatr krakowski 1780–1815* (1907), *Przechadzka historyczna po krakowskich Błoniach* (1908), *Podziemia Wawelu* (1909), *Ubiór mieszczanina* (1912), *Architektura kościoła N.M. Panny w Krakowie* (1913), *Kraków przed lokacją z roku 1257* (1935).

Jeszcze przed I wojną światową (w 1911 roku) Klemens Bąkowski opublikował swoje chyba najważniejsze dzieło, a mianowicie *Dzieje Krakowa*, które przez kilkadziesiąt lat było podstawowym opracowaniem historii miasta, zanim nie zaczęto wydawać pod koniec lat 70. XX wieku *Dziejów Krakowa* pod red. Janiny Bieniarzówny i Jana M. Małeckiego.

Bąkowski pisał nie tylko rzetelne historyczne opracowania, ale i opowiadania czy dramaty. Wymienić tu można *Humoreski z życia prawniczego* (1895), *Posażna panna* (1899), *Opowieści imci Dymka, żaka i pisarza cechowego* (1908) czy *Kamienicznik. Komedia w 3 aktach* (1914).

Poza codzienną pracą w Krzeszowicach i działalnością w Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa Klemens Bąkowski w latach 1902–1905 pełnił funkcję radnego miasta Krakowa. Cechował się ciętym językiem i będąc bystrym obserwatorem, napisał po łacinie przenikliwą satyrę na kolegów z rady. Z mandatu zrezygnował, gdy prezydent Juliusz Leo zaproponował mu funkcję syndyka miejskiego, czyli radcy prawnego gminy miejskiej. Pozostawał na tym stanowisku do przejścia na emeryturę w 1930 roku. Równocześnie w podobnym charakterze pracował w Oddziale Banku Gospodarstwa Krajowego w Krakowie. Pozwoliło mu to na rezygnację w uciążliwych wyjazdach do Krzeszowic i osiągnięcie stabilnej sytuacji finansowej. Rok przed przejściem w stan spoczynku otrzymał od prezydenta RP Ignacego Mościckiego Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej Klemens Bąkowski zamieszkał przy ulicy św. Jana 12 w kamienicy zwanej Krauzowską, sięgającej początkami XIV wieku. Kupił ją w 1912 roku. Zajął pokoje na II piętrze, odnajmując I piętro mecenasowi Józefowi Skąpskiemu na kancelarię adwokacką, a parter Władysławowi Miśce, który prowadził tam magazyn krawiecki.

Będąc w sile wieku, 1 listopada 1913 roku sporządził testament o lakonicznej i konkretnej treści: cały swój majątek zapisał Towarzystwu Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, z obciążeniem legatami – dożywotnią rentą w wysokości 360 koron rocznie w kwartalnych ratach dla brata Antoniego (ten jednak zmarł w 1918 roku), 300 koron jednorazowo dla służącego Józefa Żaka (ostatecznie otrzymała je jego żona) oraz 500 marek polskich dla Marii Bombowej, która jako pielęgniarka zajmowała się nim podczas choroby w 1918 roku.

W lutym 1937 roku Klemens Bąkowski przechodząc przez jezdnię, został potrącony przez samochód. Pogorszyło to jego kondycję nie tylko fizyczną, ale i psychiczną.

Klemens Bąkowski zmarł 22 sierpnia 1938 roku. Przyczyną śmierci było ponoć zatrucie zupą rakową. Dyspozycje co do swojego pogrzebu podał już osiem lat wcześniej. Według nich trumna miała być „prosta, drewniana, czarna”. Prosił o pochówek w pobl-



„Nie odznaczał się wersalskimi manierami, prawdę rąbał każdemu prosto z mostu, a poza szorstkim obejściem kryło się gorące serce, czułe na nędzę ludzką”.

Józef Muczkowski „Rocznik Krakowski” 1938

żu miejsca spoczynku swoich rodziców, na prawo od grobowca Jana Matejki. Nie życzył sobie żadnych mów pogrzebowych, lecz chciał, by przy wyprawianiu zwłok „kilkanaście wiolonczel” odegrało marsza pogrzebowego Chopina.

Zgodnie z wolą Klemensa Bąkowskiego kamienica przy ulicy św. Jana 12 przeszła na własność Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, które jednak nie zdążyło objąć jej w posiadanie przed wybuchem II wojny światowej; przeprowadzono tylko remont II piętra i uchwalono umieścić na parterze tablicę ku czci darczyńcy. Wmurowano ją dopiero w 1950 roku.

Władze Krakowa uczciły pamięć dr. Klemensa Bąkowskiego, poświęcając mu ulicę na Salwatorze, a Towarzystwo od 1995 roku corocznie przyznaje nagrodę jego imienia wręczaną za zasługi w pracy naukowej i działalności na rzecz miasta.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Kwiecień 1921

Tekst: Krzysztof Jakubowski

„Jeden z wybitnych członków misji francuskiej w Polsce opowiadał następujący fakt: Rząd francuski, który żywo interesuje się zbliżeniem kulturalnym Polski z Francją, zamierzał nadać p. Tadeuszowi Żeleńskiemu (Boyowi), już przed kilku laty odznaczonemu dekoracją francuską, wyższe odznaczenie. W tej intencji, jak obyczaj każe, zwrócono się do poselstwa polskiego w Paryżu, z prośbą o opinię. Odpowiedź polskiej ambasady brzmiała zwięźle: »Nieznany«”.

✂ **3 kwietnia.** Z kroniki „IKC”: „Na onegdajszym posiedzeniu komisji gruntowej załatwiono sprawy odnoszące się do sprzedaży gruntów pofortyfikacyjnych za ul. Karmelicką i Smoleńską i do przedłużenia terminu zabudowania niektórych parcel”.

✂ **3 kwietnia.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Państwowy Urząd Walki z Lichwą przytrzymał na dworcu kolejowym trzy przemytniczki stale przewożące z Prus do Krakowa pomarańcze. Są nimi Bronisława Wilczak, Maria Zajac i Karolina Jeż. Przemytniczkom zakwestionowano około 250 sztuk pomarańcz”.

✂ **4 kwietnia.** Anons z „IKC”: „Krowy mleczne sprzedam lub zamienię na bydło rzeźne według umowy. Wiadomość przy końcu Czarnej Wsi, Kawiorzy 7”.

✂ **6 kwietnia.** Z kroniki „Czasu”: „W dniach 3 i 4 bm. W lokalu Krakowskiego Towarzystwa Technicznego odbył się II Ogólny Zjazd Techników z całej Polski”. *KTTP powstało w 1877 roku. Od 1907 roku jego siedzibą był wzniesiony wówczas przy ul. Straszewskiego 28 Dom Technika. Od 1947 roku miał tam siedzibę krakowski oddział NOT. KTTP reaktywowano w 1991 roku.*

✂ **7 kwietnia.** Z wiadomości policyjnych „Czasu”: „W roku 1918 głośną była sprawa masarza p. Józefa Bialika oskarżonego pobieranie za wędliny cen nadmiernie wysokich i magazynowanie słoniny. Epilog tej sprawy rozegrał się wczoraj przed sądem okręgowym, który wydał wyrok uniewinniający p. Bialika, przyszedłszy do przekonania, że p. Bialik cen wygórowanych za wędliny nie pobierał, ani słoniny nie magazynował”.

✂ **7 kwietnia.** Prasa doniosła o otwarciu przy ul. Grodzkiej 50 ogniska YMCA. Dom zaadaptowany na koszt stowarzyszenia przeznaczono na czytelnice, zebrania towarzyskie, gry i rozrywki dla młodzieży.

✂ **9 kwietnia.** „W niedzielę 10 bm. o 8 wieczór odbędzie się w Kolegium Wykładów Naukowych przy Rynku Głównym 39 I p. wieczór poezji futurystycznej autora wydanej niedawno nakładem klubu futurystów »Katarzynka« książki pt. *But w butonierce Bruno Jasińskiego*”.

Jeszcze w tym samym roku działający w kawiarni Esplanada (ul. Podwale 7) klub Katarzynka przenieśli na Gałkę Muszkatową. Także futurystyci zaczęli określać się wkrótce jako formiści...

✂ **10 kwietnia.** Jak podał „IKC”: „PAU otrzymała od Feliksa Jasińskiego 100 tys. marek. Kapitał ten będzie ewentualnie stopniowo zwiększany. Procenty stworzą nagrodę dla artystów narodowości polskiej do 30. roku życia łącznie, za najlepsze, mające rzeczywistą wartość artystyczną dzieła bądź graficzne, bądź rzeźbiarskie, bądź muzyczne, w Krakowie w ciągu roku wystawione lub wykonane”.

✂ **11 kwietnia.** „Polski komisarz plebiscytowy na Górnym Śląsku poseł Wojciech Korfanty bawił w sobotę w Krakowie i spędził wieczór w Teatrze im. Słowackiego na przedstawieniu *Hamleta*. Podczas jednego z anaktów dyr. Trzciniński powitał ze sceny miłego gościa, wznosząc okrzyk na cześć Śląska, przy gorącej owacji ze strony publiczności. Orkiestra odegrała zwrotkę Roty, której publiczność wysłuchała stojąc” – relacjonował reporter „Czasu”.

✂ **11 kwietnia.** Jak podał „Głos Narodu”: „W drodze układu między rządami polskim a austriackim przeszedł na rzecz państwa polskiego obraz Jana Matejki *Rejtan* z byłej galerii cesarskiej, także pięć obrazów z wiedeńskiej galerii sztuk pięknych, między innymi Józefa Brandta *Czarniecki pod Koldyngą*. Dzieła te ze względów transportowych zostały przesłane do Krakowa, gdzie z upoważnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki wystawiono je czasowo (do 26 bm.) w salach Muzeum Narodowego na widok publiczny”.

✂ **12 kwietnia.** Z kroniki „IKC”: „Kozikiem w serce ugodziła wczoraj pewna dziewczyna na ul. Rakowickiej swego kochanka Jana Małysza dlatego, że w odwiedziny do niej przyszedł w stanie nietrzeźwym. Zawezwane Pogotowie Ratunkowe przewiozło Małysza do szpitala, gdzie kilka minut później zmarł na stole operacyjnym”.

✂ **13 kwietnia.** Anons z „IKC”: „Pianista lub pianistka potrzebny do gry z orkiestrą w kinematografie (sektet), od 1 maja lub wcześniej. Rutynowani reflektanci zechcą nadesłać warunki. Częstochowa, Teatr Odeon”.

Projekcje w czasach filmu niemego – w praktyce do początku lat 30. – uzupełniane były zwykle akompaniamentem pianisty, zwanego taperem. W Krakowie nie było kina, w którym przygrywałby zespół większy niż tercet. Ostatni balkon dla orkiestry przetrwał w kinie Wanda do remontu w 1969 roku.

✂ **13 kwietnia.** „Leon Wyczółkowski, wielki artysta i ofiarny obywatel, ofiarował naszemu miastu swe zbiory. Żona artysty oświadczyła gotowość dołączenia dzieł męża, będących w jej posiadaniu” – donosił „IKC”.

Darowizna ta znalazła się rok później ostatecznie nie w Krakowie, ale w Poznaniu, bowiem MN nie było w stanie sprostać warunkom artysty, oczekującego osobnej sali dla stałej ekspozycji.

✂ **14 kwietnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Związek Inteligencji Polskiej w Krakowie urządza w dn. 20 bm., w sali Towarzystwa Technicznego przy ul. Straszewskiego 28, walne zgromadzenie, na którym między innymi omówiona będzie działalność sekcji kulturalnej i ekonomicznej”.



Kino Wanda z balkonem dla orkiestry (wysoko, po prawej), fot. 1936, NAC



Wojciech Korfanty (1873–1939), polski przywódca narodowy Górnego Śląska, fot. ok. 1925, Agencja Światowid



Leon Wyczółkowski (1852–1936), *Autoportret w cyklistówce*, domena publiczna



Laura Konopnicka-Pytlińska (1872–1935), aktorka, fot. ok. 1910, Muzeum M. Konopnickiej w Żarnowcu



Karol Adwentowicz (1871–1958), aktor, reżyser, dyrektor teatrów, fot. ok. 1920, NAC

✂ **14-15 kwietnia.** Dzienniki przyniosły informację przejęciu agend Dyrekcji Policji – tkwiących jeszcze w austriackiej strukturze – przez Policję Państwową. DP zastąpić miało Starostwo Grodzkie, a reformę planowano od 1 lipca 1921 roku.

Z różnych przyczyn do oczekiwanej zmiany nie doszło i policja długo jeszcze uwalniała się od uciążliwych obowiązków administracyjnych. Stopniowo kompetencje te przejmowała ciągle istniejąca dawna Dyrekcja Policji. Dopiero na mocy rozporządzenia Prezydenta RP z 1928 roku – w Krakowie i kilku innych większych miastach – jej obowiązki przejęło utworzone wówczas Starostwo Grodzkie. Stopniowo ograniczano możliwości wpływu władz samorządowych i terenowych organów administracji rządowej na jednostki policji. W efekcie u progu lat 30. nastąpiła jej pożądana centralizacja.

✂ **17 kwietnia.** Jak podała „Nowa Reforma”: „Zofia Skrzynecka, córka jen. Jana Skrzyneckiego, naczelnego wodza WP z roku 1831, bohaterskiego obrońcy Olszynki, zmarła w Krakowie 12 bm. w 90 roku życia”.

✂ **18 kwietnia.** „Słynny telepata dr Radwan przybywa na jeden jedyny seans ze swoim orientalnym medium panią Sabiro. Wieczór ten odbędzie się 23 bm. w sali teatru Bagatela. Bilety nabywać można już w kasie teatru” – awizował „IKC”.

✂ **18 kwietnia.** Z kroniki „Czasu”: „Laura Konopnicka-Pytlńska (córka poetki Marii Konopnickiej), znana zaszczytnie artystka dramatyczna, jedna z najwybitniejszych polskich recytatorek, wystąpi we wtorek o godz. 8 wieczorem staraniem Związku Literatów, w Domu Artystów, z godziną recytacji na temat *Wczoraj i dziś* (poezja przed- i powojenna)”.

✂ **20 kwietnia.** Dzienniki odnotowały otwarcie w Pałacu Sztuki retrospektywnej wystawy z okazji 50-lecia pracy Leona Wyczółkowskiego. Ekspozycja 180 dzieł artysty ze zbiorów Feliksa Jasieńskiego. *To wążek mało słony, toteż przypomnieć warto, że Wyczółkowski, gromadzący między innymi orientalne kobierce czy pasy kontuszowe, pozostawał długo pod wpływem Mangghi, który był jego guru w światku kolekcjonerskim. Ich relacje bywały niekiedy dość osobliwe, a osoba legendarnego kolekcjonera wywierała na artystę magiczny niemal wpływ. Manggha szczylił się posiadaniem około tysiąca prac Wyczółkowskiego i podobno „płacił” za nie japońskimi makatami czy drzeworytami. Malarz tak to wspominał: „Jasieński robił ze mną dziwne transakcje, zawsze mnie orzynał. Makaty japońskie darował, a potem zabrał, także inne rzeczy...”*

✂ **20 kwietnia.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Wczoraj po południu usiłował zbiec z aresztów policyjnych na Podzamczu niebezpieczny włamywacz Lichtenfeld, aresztowany przed kilku dniami za liczne kradzieże. Lichtenfeld wysłany po wodę, skorzystał ze sposobności, wszedł do jednej z kancelarii na pierwszym piętrze i stamtąd wyskoczył oknem wprost na ulicę Podzamcze. Ucieczka się nie udała, gdyż włamywacz, padając na bruk, potłukł się tak dotkliwie, że nie mógł wstać z miejsca. Pogotowie Ratunkowe odwiozło go do szpitala”.

✂ **21 kwietnia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Dyrekcja Policji w Krakowie wstrzymała działalność żydowskich grup zawodowych przy ul. Krakowskiej 23, gdzie mieściła się dawniej organizacja Bund. Rów-

nież zawieszono działalność stowarzyszenia Poalej Syjon przy ul. św. Gertrudy 27. Zarządzenia te nastąpiły z powodu wkraczania tych stowarzyszeń na pole wrogiej działalności politycznej”.

✂ **21 kwietnia.** „Z powodu pęknięcia głównej rury wodociągowej pod klasztorem Norbertanek zamknięto wodociąg miejski od wczoraj od godz. 9.30 wieczorem, na 48 godzin” – donosił „IKC”.

Po tej poważnej awarii odezwały się głosy, aby odkopać istniejące kiedyś studnie, które pochopnie polecono zasypać – i to pod karą grzywny – po uruchomieniu sieci wodociągowej w 1901 roku. Mimo to byli tacy, którzy woleli zapłacić niemałą grzywnę (200 koron), niż pozbywać się studni. Ponadto utrzymywano ograniczenia w dostawie i woda w kranach pojawiała się tylko od godz. 5 rano do 12 i od 17.30 do 22.00.

✂ **23 kwietnia.** W związku ze wznowieniem w Teatrze im. J. Słowackiego, po siedmiu latach, Szekspirowskiego *Hamleta* z Karolem Adwentowiczem w roli tytułowej – „Nowości Ilustrowane” zamieściły okolicznościowy fotoreportaż.

✂ **23 kwietnia.** Dzienniki przyniosły wiadomość o mianowaniu przez Naczelnika Państwa wojewodą krakowskim Kazimierza Gałęckiego.

✂ **27 kwietnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Policja tużejsza odkryła w Krakowie tajną fabrykę znaczków pocztowych, założoną w ostatnich dniach. Podczas rewizji znaleziono znaczne ilości arkuszy marek pocztowych, przygotowanych do puszczenia w obieg. Śledztwo w tej sensacyjnej aferze dobiega końca”.

✂ **29 kwietnia.** „Jeden z wybitnych członków misji francuskiej w Polsce opowiadał następujący fakt: Rząd francuski, który żywo interesuje się zbliżeniem kulturalnym Polski z Francją, zamierzał nadać p. Tadeuszowi Żeleńskiemu (Boyowi), już przed kilku laty odznaczonemu dekoracją francuską, wyższe odznaczenie. W tej intencji, jak obyczaj każe, zwrócono się do poselstwa polskiego w Paryżu, z prośbą o opinię. Odpowiedź polskiej ambasady brzmiała zwięźle: »Nieznany« – odnotował „Czas”.

✂ **28-30 kwietnia.** Prasa wszystkich odcieni opisywała niebywale huczną oprawę wizyty Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Jej ważnym punktem była uroczystość nadania Marszałkowi doktoratu honoris causa UJ.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Inne radosne dni

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Magdalena Hueckel/za wiedzą i zgodą Starego Teatru

Wtorek

Słowa – to wszystko, co ma Madeleine. Tyle ocalało. I jeszcze trochę banalnie wiernych rzeczy. W sumie zostało jej tyle, ile innej postaci scenicznej, która, jak Madeleine, jest aktorką, starą aktorką. Lecz w przeciwieństwie do tamtej Madeleine nie zapada się bezwolnie w kopcu piasku, jeszcze nie. Wciąż jeszcze, honorowana światłem reflektorów, może zrobić parę kroków w swych stareńkich, znużonych bucikach, co przeszły tyle fikcyjnych ścieżek, i w tej ciemnoczerwonej sukni, która tyle razy i na tak wielu scenach była jej ukochanym kostiumem teatralnym. Wciąż może zatrzymać się przed linią rampy, czule muskając wskazującym palcem przytuloną do piersi tycią torebkę z – któż wie – jakimi cudenkami do charakteryzacji. Może usiąść w wiekowym

W *Savannah Bay* nie ma śladu tandetnego pocieszenia jakkolwiek pewnością, nie ma nawet cienia pouczającej Tezy, krzepiącej Prawdy, wiekopomnie oryginalnego Przesłania lub innego Katechizmu Ku Przestrodze.

fotelu na środku sceny, odchylając głowę o białych włosach pod czarnym kapeluszem zdobnym zrudziałymi listkami. Może dyskretnie zasmucić się, zerknąwszy na siebie w wysokim lustrze stojącym po lewej, obok stolika z archaicznym gramofonem, na którym Młoda Kobieta puści czarną płytę z nostalgiczną pieśnią Piaf *Les mots d'amour*. I może, z przezroczywą filiżanką herbaty w palcach, zniechęconie na krześle przy stoliku po prawej i półchliwym spojrzeniem bezradnie szukać oparcia w ciemności nad widownią. Po prostu – Madeleine wciąż może żyć pełnią końca życia, kiedy słowa marnieją wśród banalnie wiernych rzeczy, milkną, lecz jeszcze trwają, brzęczą, a to zawsze więcej niż cisza. Może tak żyć i tak właśnie żyje w Narodowym Starym Teatrze, przez godzinę, na najmniejszej ze scen, w sztuce Marguerite Duras *Savannah Bay*, wyreżyserowanej przez Józefa Opalskiego. Tak istnieje, za kruchymi jak u dziewczynki plecami mając metaforę teatru, każdego teatru, teatru w ogóle. Dwa wypukłe lustra brzuchami zwrócone ku sobie. Cokolwiek w szczelinie między zwierciadłami – zmienia się w amfiladę odbić, jest powtarzane w nieogarnionej liczbie egzemplarzy, aczkolwiek nigdy dokładnie. W teatrze, niczym w jarmarcznych gabinetach krzywych lusterek – iluzja odbić rzeczywistości nieuchronnie zakłamuje rzeczywistość, prawda jest zawsze skrzywiona. I coś jeszcze. Jeśli po wyjściu z seansu *Savannah Bay* ktoś, zamiast powiedzieć: Madeleine, powie: Anna Polony – niech się nie martwi. Nie pomylił się. Nie skłamał. Ale też nie powinien mówić dalej, gdyż w *Savannah Bay* w Starym Teatrze pew-

ności jest niewiele więcej niż tym związku absolutnej zgody między duchem a aktorką. Reszta więc – to sama niepewność?

Czwartek

Dokładnie tak. *Savannah Bay* Duras – filigranowy, mglisty portret niepewności, nieważki niczym układane z puchowych plam widoki na płótnach impresjonistów. Dmuchniesz – a płótno na powrót czyste, puste, znów czeka na dotknięcie pędzla, na kolorową opowieść, może bliźniaczą, może ciut inną albo nie do poznania. Kim była dla Madeleine tajemnicza Savannah, o której Madeleine i Młoda Kobieta mówią przez godzinę? Jak naprawdę zginęła? Utonęła? Utonęła przez przypadek czy z wyboru? Czy jej miłość była zbyt wielka, aby życie ją udźwignęło? A tamten mężczyzna, co go Savannah poznała w pobliżu Białej Skały? On też wybrał nagły koniec, dołożył własne samobójstwo do śmierci Savannah? A może zwyczajnie zniknął i żyje sobie gdzieś teraz szczęśliwie? No i co z tajemnicą tego dziecka, które zostawiła Savannah? Czy Młoda Kobieta, która od dawna dzień w dzień przychodzi do starzejącej się Madeleine, aby szturchać jej pamięć swoimi słowami – czy Młoda Kobieta, u Opalskiego grana przez Alicję Wojnowską, to jest tamto dziecko? I teraz zjawia się uporczywie, aby z Madeleine bawić się, jak nazwała to Duras, w teatr głosów? Krótko pytając – o czym jest, proszę ucznia, ta sztuka teatralna, ten spektakl? Jaką Tezę stawia autorka? Czego żeśmy się nauczyli w trakcie wizyty w Starym Teatrze?

Piątek

Obnażenie i skompromitowanie. Cóż za kojące walory *Savannah Bay* w Krakowie! Obnażenie żalości trzech ostatnich czwartkowych pytań, tych ulubionych zagadnień leniwych czcicieli pewności w teatrze! I jakże cudna kompromitacja procederu nachalnego wyciskania ze sztuki teatru (i nie tylko teatru) ciężarówek ideowej krzepy, niewzruszonych nauk oraz istotnych dla życia obywatela pouczeń! I na dokładkę – delikatne ucieszenie gromkiego wołania o oryginalność nade wszystko, wdeptanie w ziemię żenującego musu opowiadania nie siebie w zgodzie z sobą, tylko czegośkolwiek, byle nie tak, jak opowiedział kolega! Po premierze *Savannah Bay* w Starym – jak wiele ukazało się minoderyjnych rozczarowań, po pierwsze – nieobecnością ideowej pewności na scenie, a po drugie – zupełnym brakiem oryginalności Duras? Ilu myślicieli pisnęło dostojnie: „Jezu drogi! Przecie truizmem, truizmem, banałem oraz grafomanią jest informować, jak Duras, że pamięć zwodzi człowieka, bo ułomna jest oraz kłamliwa?”. Nie dziwię się im. Inaczej piszczeć nie sposób, jeśli dopuszcza się istnienie iście neandertalskiego podziąka na formę i treść, co pozwala swobodnie bełkotać rewelacje typu: „U autora występuje przerost formy nad treścią...”. Albo brednie takie: „Autorka dostarczyła pretensjonalną prawdę o pamięci,





ponieważ prawda ta jest banałem, znanym od lat...”. No i jak odpowiedzieć?

Niedziela

Owszem, pamięć jest troską *Savannah Bay*, ale i, jak powiadają, całej twórczości Duras. Tak, przy pomocy *Savannah Bay* Duras troszczy się o pamięć, ale pamięć, a dokładniej mówiąc pamięć o czymś konkretnym – NIE JEST TEMATEM *Savannah Bay*. Tak jak nie jest nim tajemnicza śmierć, tajemniczy kochanek, tajemnicze dziecko i cała tajemnicza reszta przeszłości Madeleine. W *Savannah Bay* kompletnie nie ma znaczenia, jak kiedyś naprawdę było w życiu Madeleine, co rzeczywiście się dawno temu wydarzyło ani z której strony świata przyszła wielka ciemność. *Savannah Bay* to nie seans popołudniowego przeglądania niewyraźnych zdjęć w albumie rodzinnym ani sztuka detektywistyczna, w której stary i mądry śledczy w sukience, jakaś Genowefa Holmes z fajką w zębach i lupą w garści szuka odpowiedzi na pytanie, kto zabił. W *Savannah Bay* nie ma śladu tandetnego pocieszenia jakąkolwiek pewnością, nie ma nawet cienia pouczającej Tezy, krępującej Prawdy, wiekopomnie oryginalnego Przesłania lub innego Katechizmu Ku Przestrodze. Więc? Raz jeszcze przywołam pisk: O czym więc to to jest, proszę ucznia? O czym i po co ta sztuka i ten seans w Starym Teatrze?

Poniedziałek

O pożegnalnej bajce Jamesa Joyce’a pisząc, Samuel Beckett wyznał, że książka ta NIE JEST O CZYMŚ,

ponieważ JEST TYM CZYMŚ. Kiedy więc tematem jest taniec – słowa tańczą, a kiedy sen – słowa idą spać. Podobnie u nas. Czy hipnotycznie kruszejąca u Mirona Białoszewskiego gramatyka nie jest kruszącym w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* miastem? Dokładnie tak. *Savannah Bay* nie jest sztuką o pamięci. *Savannah Bay* jest pamięcią samą. Jest samą gramatyką wspomnienia zawsze bezradnego, samą intonacją nieuchronnego fiaska powrotów do przeszłości, samą strukturą odwiecznej niepewności. Odwiecznej i z każdym kolejnym dniem coraz intensywniejszej, ale to nie szkodzi. Biedna aktorka Winnie, ta co w *Radosnych dniach* Becketta bezpowrotnie znika w kopcu piachu, chwile, które się przed nią każdego ranka otwierają, zawsze zwie radosnymi, gdyż mimo nieustępliwej pracy wsysającego kopca – wciąż jeszcze może mówić, recytować sobie strzępy starych wierszy, wciąż jeszcze może dotykać kilku banalnie wiernych rzeczy. A przecież to więcej niż nic. Podobnie cieszy się Madeleine, ilekroć przychodzi do niej Młoda Kobieta, która jest realna, o ile nie jest widmem śnionym co noc przez Madeleine, aby samotność nie była aż tak bardzo bezludna. Przychodzi – i bawią się w teatr głosów.

Środa

„Jest się mówionym”. W oryginale bodaj: *Est parlé*. Kto to wyznał? Gustaw Flaubert? Jeśli on, to nie dziwota. Lecz z pewnością nie tylko on. Wielu, wielu, choćby wszyscy narratorzy, a raczej jeden narrator wszystkich opowieści Becketta i każdy bohater jego sztuk, mieli pewność, że „jest się mówionym”. Tkwi



w tej frazie bezradność większa i gorycz gęstsza niż w przekonaniu, że istnieje się o tyle, o ile się mówi. „Jest się mówionym”. Być może wyznał to Flaubert, lecz bez wątpliwości jego jak zawsze przezroczysty narrator głosi w *Pani Bovary* to ostateczne rozczarowanie. „Mowa ludzka jest jak pęknięty kocioł, na którym wygrywamy muzykę, by tańczyły przy niej niedźwiedzie, chociaż marzymy o tym, by wzbudzić współczucie w gwiazdach”. Szukając brzmień, w które mógłbym złowić Polony będącą przez chwilę Madeleine albo Madeleine będącą przez tę samą chwilę Polony – znajduję właśnie te dwa cytaty.

Piątek

Czy ktoś jeszcze potrafi tak jak Polony błąkać się przez godzinę pomiędzy bezradnością wobec potęgi słów a rozczarowaniem ich bezsilnością? Tak, to znaczy – jak? Niby po które strzeliste epitety sięgnąć, aby na poziom piewców pewności się wznieść? Gdybym zapał: „Mamy sprawę jasną. Anna Polony genialną aktorką była, będzie oraz jest!!!! Amen!!!!” – co bym zapał w istocie? No co? Czy dla zachowania jasności mam odpowiedzieć słówkiem do rymu?

Niedziela

Sztuka Polony już nie istnieje w banalnym światku balonowych przymiotników na podniebnych obcascach. Żyje na planecie opowieści nie do zapomnienia. W prologu *Wielopola, Wielopola* Tadeusza Kantora biedni zmarli wracają z tamtego brzegu do rodzinnego domu i od progu zupełnie gubią się w pośmiertnych wspomnieniach. Co prawdą jest, a co iluzją?

W którym punkcie kłamie wyobraźnia? Jak umeblowany był pokój? Gdzie stały meble, gdzie tkwili ludzie? Gdzie stół, krzesło, szafa? A walizka? A okno? A wuj Karol, wuj Olek i ciotka Mańka? Czy walizka leżała na szafie? Nikt nigdy nie rozjaśni, ale to nie szkodzi. Godzą się na niepewność, gdyż taka jest cena żłudnego powrotu na chwilę. Jeśli nawet zmarli gubią się w przeszłości, jeśli widma postradały pewność co do życia przed śmiercią i nie mogą ustalić, gdzie leżała walizka ani czy stół tkwił naprzeciwko okna, to cóż mówić o niepewności żywych. A Madeleine? Gdy Polony siedzi z filiżanką herbaty w palcach i w ciemności nad widownią szuka spojrzaniem oparcia – zarazem jest w innych baśniach. Gdzieś blisko niknącej w piasku Winnie. Gdzieś między wujkiem Olkiem i ciotką Mańką, za wiecznie niepewnym stołem, na krześle, które może było całym innym.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Ostatni człowiek na Ziemi

Tekst: Witold Beres

PILCH: (...) doświadczenie, które opisałem, jest, było lub też będzie doświadczeniem właściwie każdego człowieka – w sensie elementarnym, rzecz jasna. Że każdemu z nas prędzej czy później przydarzy się stan krótkiego chaosu, rozgardiaszu poznawczego – nagle nikogo i niczego nie ma, jest cicho, a powinien być hałas, ciemno wszędzie, a przecież powinno być widno. Słowem: epifanie samotności.

Gdy w miesiącu marcu roku 2020, na początku pandemii, Michał Nogaś, recenzent kulturalny, zapytał Jerzego Pilcha o jego przecucie katastrofy, która właśnie rozpoczęła swój marsz przez świat, nikt nie wie, nie przypuszcza, bo i skąd, że będzie ona miała obraz po wielokroć bardziej złożony, a przede wszystkim – że będzie to ostatni wywiad Pilcha. Że pandemia położy się cieniem na końcówce jego biografii, której ostatnią stroną za chwilę przewróci złośliwy staruszek z wielką brodą. Zresztą Pilchu pandemię tę przenikliwie skomentuje:

„(...) Utraciliśmy pewność siebie. Choć była elementarna, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest. W każdym sensie. W każdej dziedzinie. Uczyć się jej na nowo nie sposób, to jest mniej więcej tak, jakby uczyć się – bo ja wiem – podświadomości na przykład.

Świat wydaje się we wszystkich swoich genialnych pomysłach i jeszcze wybitniejszych wynalazkach bezbronny i bezradny jednocześnie. Doświadczenie tego jest bardzo konkretne, a jednak globalne. Żadne pieniądze, nauka, myśl społeczna czy wszelkie teorie zarządzania kryzysem nie dają rady tego naprawić. Świat stanął, ulice opustoszały, zapanowała ogłuszająca cisza, czekamy”.

Miało sens wielki, nie tylko z racji Pilchowej inteligencji, pytał go o jego przecucia dotyczące ludzkości, która zamykając się w domach przed niewidzialnym wrogiem, z wolna dzieli się na coraz mniejsze drobiny, by – coraz częściej – dochodzić do jednostkowej samotności.

A dlaczego miało to sens? Ano dlatego, że dwa lata wcześniej pisarz popełnił tytuł *Żywego ducha*. To dzieło w jakimś sensie profetyczne w realiach polskich. Oto książka o świecie, jaki znaliśmy, a który nagle znika. Jeden, jedyny człowiek ocalał, a cała ludzkość wyginęła chyba.

Po prostu zniknęła.

To jedno z ostatnich dzieł Pilcha. Tym razem jego pomysł odwołuje się do powieści mało znanego włoskiego pisarza Guida Morsellego pod tytułem *Wydarzenie*, która wy-

szła w Polsce w roku bodaj 1980. Opowiada o człowieku, który wskutek tajemniczego zdarzenia został ostatnią istotą na ziemi. Pilch wtedy ją przeczytał z zainteresowaniem i po czterdziestu latach do niej wrócił.

PILCH: Ocalałem, aby w nieskończoność ustalać, dlaczego ocalałem? Ludzkość wyginęła, abym do znudzenia dochodził, jak to się stało?

Tyle że choć książka ta zaczyna się tak, jak winny się zaczynać krwiste, rasowe, apokaliptyczne technothrillery, nie jest jednak thrillerem. Nie jest też tak naprawdę nawet powieścią. Bo i kto tu jest bohaterem? To opowieść starego człowieka, który nagle został sam na ziemi i referując swoją sytuację za pomocą całego szeregu paradoksów, zapisuje własne majaczenia. Jak ciekawie zauważa w rozmowie z Pilchem Agata Passent, nie ma świata wokół bohatera i sam bohater w pewnym sensie wyparowuje z tego świata. Ale może ten świat mu wyparował?

Majaki i luźne notatki to duch tej książki.

Ale jej sensem jest gra z czytelnikiem. Oszukiwanie go. Gubienie tropów. Jednym słowem – szarady. Bo Pilch odwołuje się tutaj do literatury zagadek narracyjnych. Takiej jak na przykład powieści Nabokova, którego Pilchu od lat był wyznawcą. Pod koniec życia rosyjski pisarz tworzył książki zbudowane z wielu znaków zapytania, gdzie nagle okazywało się w połowie książki, że ten niepozorny chłopczyna z czterdziestej strony jest narratorem. I Nabokov musiał informować o tym tegoż czytelnika, bo nie było siły, aby czytelnik sam to zauważył.

I może dlatego tak wielu nawet zanych recenzentów patrzyło na tę książkę jak na dziwadło jakieś. Bo w kategoriach powieści to nieporozumienie. Ale w kategoriach literatury Pilchowej – doskonała konsekwencja myślenia i tworzenia. (...)

Jednak, jakkolwiek patrzeć na chwyt formalne, gry kontekstowe i struktury pulsujące, tytuł *Żywego ducha* jest w oczywisty sposób zmierzeniem się z wielką samotnością i końcem wszystkiego. Pilch w ostat-

nich swoich latach bowiem nie tylko czekał na życie wieczne, ale z wolna zostawał sam.

Samotność, do której się modlił jako do modelu *zen*, dopadła go na poważnie i prozaicznie. To nie była samotność li tylko bólu egzystencjalnego – to była samotność normalnego, fizycznego bólu i fizycznego cierpienia.

*

Tak, jeśli jest słowo klucz, które przez życie i twórczość Pilcha przewija się najmocniej – to właśnie samotność. Osobność. Obcość. Obojętność.

Nieustannie powtarzał anegdotycznie za Kołakowskim o potrzebie zażegnania obojętności świata. To był, jak się wielu wydawało, trochę żart – bo zwykle Pilchu uzasadniał w ten sposób pragnienie seksu z akurat napotkaną aktualną kobietą życia.

Tyle że Kołakowski też nadawał temu zwrotowi, między innymi, sens erotyczny. Twierdził bowiem, że seks i erotyka są jednym ze sposobów najskuteczniejszego, najszybszego zażegnania tego bólu, że świat cię nie widzi i nie słyszy.

„Najprościej powiedzieć, że uciekamy od cierpienia. Lecz czym jest to, co wspólne i jednakowe we wszelkim cierpieniu: w bólu fizycznym, w poczuciu klęski życiowej, w strachu przed zadaniem ponad siły, w rozpaczach wobec śmierci bliskich, w lęku przed śmiercią własną, w porażce miłosnej, w dotknięciu upokorzenia, w zrozumieniu beznadziejności ambicji, w przeżyciu niedołęstwa, w nieznośności osamotnienia? [...] (...) Tym, od czego uciekamy, jest doświadczenie obojętności świata, a próby przewyciężenia tej obojętności stanowią ośrodkowy sens ludzkich zmagania z losem w jego codzienności i w jego ekstremach”.

I dodawał, że uciekamy od samotności przez posiadanie, przez maszyny, przez technologię, przez żądę posiadania rzeczy i ich przywłaszczanie.

Ale najmocniej dzieje się to „w porozumieniu erotycznym, gdzie doświadczenie więzi może być najintensywniej przeżyte. (...) W intymności erotycznego spotkania próbujemy każdorazowo przywrócić realność odwiecznemu mitowi (...) – nostalgia zagubionej połówki pragnącej ponownie stać się częścią nieszczęśliwie rozszczepionej całości, ożywiła naszą interesowność seksualną. (...) Ekspansywna, męska połówka wydaje się zmierzać ku temu, by zostać pochłonięta; odbiorcza, kobieca – by pochłonąć raczej”.

*

Paweł Głowacki już w *Monologu z lisiej jamy* widzi przejaw samotności pisarza i przypomina sławne zdanie Becketta: „*Every word is like an unnecessary stain on silence and nothingness*” (Każde słowo jest jak niepotrzebna plama na ciszy i nicości). Że niby warto cenić słowa. Że choć cały czas wiele rozma-

wiamy, to w gruncie rzeczy niewiele mówimy.

– Z uporem maniaka będę mówił o specjalnym gatunku samotności tego faceta. Od debiutu *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej* właściwie przez cały czas jego pisanie to gest, który można nazwać monologiem. Wszystko jedno, czy bohaterowie mówią czy nie mówią.

Oni są lepieni przez narratora. Niby tak jak w każdej powieści, tylko że tutaj bardziej – tutaj są i ulepieni, i złożeni wyłącznie z narratora. Taki jest na przykład *Monologu z lisiej jamy*, gdzie siedzi facet i dokłada słowa do słów, do słów, do słów, żeby się uporać ze sobą, ze światem, z tysiącami spraw.

Każdy tekst Pilcha poprzez samą intuicję i falowanie języka jest spowiedzią jednego faceta w jakimś pustym kościele. Jest to absolutnie monolog zaludniany przez różne postacie, ale te postacie są zrobione tylko po to, żeby podkreślić to gadanie w pustce do siebie. Nie bez kozery pod koniec życia Pilch napisał *Żywego ducha*, powieść opowiadającą o samotności ostatniego człowieka.

Pilch wybrał, czy też został mu dany – nie, nie przez Boga, nie, nie mówimy o talencie – został mu dany Język. Został mu dany słuch na Język, który jest absolutnie samowystarczalny. Jemu do budowania świata nie trzeba było niczego więcej poza Językiem. A taka forma budowania świata musi się kończyć samotnością, taką mniej więcej jak w tej słynnej frazie Becketta o pisaniu, o kroplach spadających w ciszy.

*

Więc idzie do Pilcha wielkimi krokami ta samotność, choć nie typu *zen*, o której myślał najintensywniej.

Najpierw od Pilcha odchodzi jego ojciec. Stary Pilch jest w jego książkach zdemonizowany niemal jak u Schulza – dogrzebanie się do cienia prawdy o faktycznym charakterze ojca graniczy z próbą odcyfrowania Kamienia z Rosetty.

Pilcha irytowało w nim wszystko. Najpierw to, że dostrzegał w swej twarzy „jego ryj”. Że to bardzo trudne doświadczenie widzieć w lustrze – zarastającą naszą – twarz ojca.

PILCH: (...) że ryj mi się coraz bardziej upodabnia do starego. Myślę, że tak samo jestem impulsywny, tylko nauczyłem się nie zapuszczać tak daleko, a przynajmniej hamować. Mam po nim poczucie humoru, poczucie ironii. Na pewno po nim mam jazdę na dupy. Jak to mówią w Krakowie – nie miał specjalnego wykształcenia, czyli był profesorem na AGH. Wydział: wzbogacanie i flotacja kopalni. Spotkał w swoim życiu Andrzeja Wantułę, biskupa polskich lutrów, który dał mu *Czarodziejską górę* na imieniny i zaszczepił nawyk czytania. Ojciec potem dostał bziaka i czytał tego Manna wkoło, też po niemiecku. (...)

Oczywiście, nie żyliśmy w zgodzie.

Pilcha irytowało w ojcu i to, że ten myślał, że będzie długo żył, jak i to, że naiwnie zmarł szybko na chorobę serca. Że pasjonował się przypadkami długowiecznych Gruzinów i miał wiele planów. I zakładał Pilchu, że gdyby ojciec dożył jego, młodego, choroby Parkinsona, drwiłby z matki, że urodziła takiego niedojdę i słabeusza.

PILCH: To jest cecha myślenia małych polskich miasteczek, gdzie choroba jest zwiniona przez zły tryb życia i matkę, która kogoś takiego wydała na świat. Ojciec zawsze chciał być ode mnie młodszy i szybszy. Gdy z Hanką szliśmy drogą dookoła do domu w Wiśle, to stary w tym samym czasie zasuwiał na skróty, po schodkach, byle nas wyprzedzić.

Mama Pilcha w jednym z wywiadów przyznawała, że lekko nie było. „Mój mąż widział Jurka na studiach technicznych. A z czego będziesz żył, jak ty pójdziesz na polonistykę? Były tarcia, było iskrzenie między mężem a Jurkiem”.

Ojciec Jerzego zmarł na początku lipca 1996 roku i w kilka dni później był pogrzeb, na który zjechała znaczna część redakcji „Tygodnika”, między innymi Krzysztof Kozłowski. Pogrzeb został przez wszystkich, ale to wszystkich, dogłębnie zapamiętany, dlatego że wówczas w Wiśle grzmotnęła taka ulewa z piorunami, jaka tylko w górach letnią porą może się przydarzyć. I gdy tsunami deszczu zalewało żałobników, Pilchu, trochę wściekły, a trochę zachwycony, komentował: – Mój stary sam to wymyślił, sam to załatwił po to tylko, żeby spierdolić wszystkim ten przyjazd... (...)

*

Potem, na drodze Pilcha ku samotności, odchodzi jego mama. I jest już na jego świecie naprawdę pustawo.

Zacząć tu trzeba od minimalnej wręcz różnicy wieku między synem a matką: lat siedemnaście. Jego mama ponoć zawsze wyglądała jak nastolatka, więc Pilchu szybko zauważył, że nie było dla niej lepszej wiadomości, niż usłyszeć, że nie jest jej synem – tylko bratem, narzeczonym, mężem. Nic dziwnego, że często powtarzał przyjaciółom: – Słuchaj, moja matka jest coraz młodsza. Ja się starzeję, a ona ciągle pozostaje taka sama.

Matka, która przy ludziach do ojca mówiła „Cipuś”, a do syna całe życie „Pilszku” (albo też: „Pinio, kurwa”). Matka, która jeszcze w czasach „Tygodnika” pisała listy do ludzi dobrze Pilchowi życzących, przypominając biblijne: „Jeden drugiego ciężary noście”, i prosząc ich o pomoc dla Jurka.

Tych opowieści o relacjach pisarz-mama jest całe mnóstwo, ale i tu nie wiadomo, którym ufać. Jest choćby kultowy cytat z matki, gdy syn (już mający ukończonych lat sześćdziesiąt) telefonuje do niej z życzeniami urodzinowymi, a ona odpowiada: „Za bardzo

mnie twoja starość przeraża, żebym mogła swoją świętować”.

Pilchu powie potem, że to cytat zmyślny, za to prawdziwe miałyby rzekomo być te słowa z *Utraconej leworęczności*, gdzie matka mówi do bohatera: „Bierz przykład z psa. Pies nie pije”.

PILCH: Muszę się wiecznie pilnować. Podczas jednego z wieczorów autorskich straciłem jednak czujność. Matka – zamiast siedzieć na widowni – tym razem stała ze mną, za kulisami. Sala była wypełniona po brzegi. Gorąco i duszno. Próbowałem się skoncentrować. Byłem zniecierpliwiony i podekscytowany zarazem. Za chwilę miałem usłyszeć pytania, które zwykle padają z ust czytelników: „Czy jest możliwy seks bez miłości?”. Wyobrażałem sobie, jak zniżam głos i odpowiadam... Nagle słyszę: „Synku, popraw sobie włoski”. Na ziemię sprowadziły mnie szybko słowa matki.

Ale to właśnie do tej matki Pilchu cały czas uciekał w chwilach trudnych, chwilach łatwych i chwilach najzupełniej przypadkowych.

Razem, w niedogrzanym wiślańskim domu, bo mama, jak to starsi ludzie, na ogrzewaniu oszczędzała, razem więc po nocach oglądali telewizję – dwoje starych już ludzi, którzy cały czas mierzyli się wzrokiem, kto starzej wygląda.

I ta mama któregoś popołudnia koło Wielkanocy roku 2019 dostała potężnego wylewu, straciła przytomność i już jej nie odzyskała. Dwie godziny wcześniej Pilchu, jak to miał w zwyczaju, zadzwonił do niej...

A kilka dni po jej wylewie sam nagle trafił do szpitala z bardzo ciężkimi komplikacjami wynikającymi ze swej choroby. I niemal całe pół roku on leżał w półświadomości, czasami wydawało się wręcz – w malignie, a ona w tym samym czasie bez świadomości.

*

(...) I w listopadzie 2019 roku, po wielu tygodniach zamknięcia w czterech ścianach, żona i mąż pierwszy raz wychodzą na spacer (Pilchu na wózkach). Łądują w kawiarni na Marszałkowskiej. I wtedy przychodzi ta wiadomość: koniec mamy.

Jerzy przyjmuje to dość spokojnie. Zaskakującym zbiegiem okoliczności to wtedy właśnie ukazuje się najmocniejszy opis matki jego autorstwa. Wszystkich matek. Trafi do *Żółtego światła* wydanego tego właśnie roku.

„Wszelkie zło łączyła z niedoskonałością własnych modlitw. Wiadomo: jeden totalny brak kompensowała sobie innym nadmiarem. Powiedzieć, że psychoanaliza jest tu szyta szewską dratwą – to nic nie powiedzieć. (...) Tak jest! Im dłużej trwa jego młodość, a zwłaszcza dzieciństwo, tym ona jest młodsza!

Pamiętajcie o tym, nieszczęsne ofiary waszych matek! One trzymają was w dziecię-

cym pokoju, bo póki tam jesteście, działa ich jedyna skuteczna kuracja odmładzająca! Nie miejcie im, na Boga, tego za złe". (...)

21 gramów prywatności

Przed oczyma przewijają się tysiące obrazów. Głównie ze złotych czasów „Tygodnika Powszechnego”. Wielu scen przypominać nie uchodzi – ale kilka stoi przede mną.

Jak to jako piłkarz, w ramach walki psychologicznej, Pilch wrzeszczy przed meczem do drużyny przeciwnej: – CHUJE!

Jak to przed moim odejściem na dyrektorskie stanowisko na Woronicza do telewizji publicznej (była kiedyś taka telewizja) namawia mnie, bym zadbał, gdy będę zamawiał cenne, zielone sukno do obicia wszystkich gabinetów, aby połowa sukna dla mnie była na suknie dla żony. Ale ja z tego zapamiętam, że powie: – Bo twoja żona ma zielone oczy i będzie jej do twarzy, nie? A ja jedyne, nad czym zacznę się zastanawiać, to skąd on, kurwa, wie, jaki kolor oczu ma moja żona?

Jak to dzwonię do niego, gdy mnie welszmerc i samotność dopadają w listopadzie na grobach bliskich. Ślomotam mu przez słuchawkę, a on przyjeżdża i idziemy po lek na posmętarń smutek, i wchodzimy do „Stacha” na Grzegórkach, mordowni, gdzie puisto, ale od razu jaśniej.

Jak to siedzimy w ogródku w Bambusach i wzdychamy ciężko, patrząc na przelewający się przez Płytę rozerotyzowany tłum nastolatek. Pilch widzi mnie kątem oka i uśmiecha się ironicznie.

– Człowiek idzie czerwcową nocą przez krakowski Rynek i nagle widzi, a że z drugiej strony nadchodzi ta jedna, jedyna, brakująca połówka twego życia. Ale potem idziesz parę kroków dalej i za rogiem widzisz nagle kolejną, jedyną uzupełniającą cię połówkę. A potem jeszcze jedną, a potem jeszcze jedną... Widzisz, Witku, to się właśnie nazywa magia Krakowa.

Albo: przez kilka lat pracy dla Tuska, dla Platformy, mieszkając w stolicy na Kruczej, ale boczną bramą wychodziłem na Hożą. Niejeden ranek bywał taki, że gdy ja zmęczony wysuwałem się w poszukiwaniu porannego kefiru do baru Bambino, miejsca kultowego nie tylko dla warszawiaków, Pilch dziarsko wracał właśnie z porannego spaceru, a bywało – że właśnie z baru Bambino. Te poranne spotkania zawsze oznaczały kwadrans rozmowy o tym, co mężczyzn najbardziej trapi. I nie zawsze chodziło o politykę.

Moje ostatnie spotkanie z Pilchem – to z nim i z Kingą przed delikatesami na Kruczej. Był już mocno chory, ale ciągle chadzał po warszawskich ulicach. Wtedy wyrzekł dumnie: – To moja przyszła żona.

Kinga się zmieszła, a on mrugnął do mnie porozumiewawczo. Popatrzyłem z zachwytem kątem oka na nią (biust stojący, postawa zgrabna) i pomyślałem, że to po prostu jesz-

cze jeden chwyt, aby wiadomo co. Ale kiedy już się pobrali, Pilchu przez telefon wypowiedział do mnie znamienne słowa, zdobiąc je przerywnikiem polskim: –

(...) nie spodziewałem się, że jednak uda mi się pod koniec życia (...) znaleźć tę brakującą drugą połówkę...

*

Ale nadchodzi przełom roku 2019 i 2020 i Pilchu ląduje właśnie z Kingą, swoją młodą żoną, w miejscowości Kielce, co daje im zaskakujący nowy oddech.

Dziwiono się.

„W ten sposób w jego biografii wdarło się miasto doskonale mu obojętne, miasto, któremu, jeśli się nie mylę, nie poświęcił ani linijki prozy, *terra incognita*. (...) Jakby jego duch przed odejściem postanowił jeszcze raz zdradzić, wymknąć się nacierającym schematom. (...)

Wybrał semantycznie puste Kielce, zatrzymał się poza regionami własnej mitologii. Co to znaczy? Czy to ma prawo coś znaczyć?”

Dziwiono się niepotrzebnie.

Tu zacumował. Wydawało się – na dłużej. Tak napisała później jego żona Kinga Strzelecka-Pilch pod znaczącym tytułem *Nie chcieliśmy lepiej*, w jednym z najpiękniejszych literacko, tak, literacko, pożegnań:

„Nie oczekiwaliśmy cudów, tylko spokojnego wieczora przed telewizorem, leniwego pogadywania, leniwych spojrzeń. Nic nie musiało się dziać. (...) Mogłabym napisać, że żałoba ma wiele etapów, że wyparcie miesza się z rozpaczą, rezygnacją, akceptacją, wyrzutami sumienia. Że noszę Twoje swetry. Że tak bardzo Ci dziękuję. Że kiedy patrzę na Twoje okulary, które zostawiłeś na biurku... Że jestem wściekła na los. Że jestem wdzięczna losowi”.

Tyle że właśnie wtedy nadchodzi pandemia. Pilchu, zabobonnie, stara się o niej nie mówić. Czy ten czas może przynieść coś dobrego? Jasne – nic. A czy świat nareszcie się zmieni na lepsze, gdy pandemia minie?

Nogasiowi Pilchu wtedy rzeknie:

– Będzie tak, jak było. (...) Łatwo nie będzie. Ale już tyle razy była katastrofa, że może tym razem lepiej? Kluczowa długość, każdy dzień – nawet jak sobie jakoś radzisz – stracony.

Więc niechże szanowny wirus zrobi tę łaskę i zwinie się nieco.

Ale to nie pandemia obróci ostatnią stronę jego biografii...

Fragmenty książki Witolda Beresia, *Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej*, która ukaże się nakładem Wielkiej Litery w kwietniu 2020 roku.

Dokumentalne taśmy o Auschwitz

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcia: Aleksandra Duda / za wiedzą i zgodą Fundacji Świat ma Sens

Auschwitz, miejsce-symbol, to dla kina wieczna inspiracja i niekończący się temat.

Zwłaszcza w penetracjach dokumentalnych. Nikt nie byłby w stanie obliczyć, ile takich filmów powstało do dzisiaj. Od lat realizowane są one nie tylko w naszym kraju, pojawiają się w różnych kinematografiach europejskich, mają nawet odrębny rozdział w filmowej produkcji amerykańskiej. Ale można podejrzewać, że to polscy twórcy mają, już nawet w podświadomości, poczucie historycznego prawa do tego tematu. A może nawet więcej: naturalne przekonanie, że właśnie za pomocą filmu są i powinni być strażnikami pamięci. Przemawia za tym ogrom materiału filmowego, który pozostał w polskich archiwach, jak również narodowe doświadczenie historyczne, a więc także zbiorowa pamięć tych, którzy przeżyli i na co dzień powracają wspomnieniem do tego miejsca.

Z pojęcia „Auschwitz”, z jego symboliki polscy filmowcy do dziś potrafią budować filmy o humanistycznej refleksji, skupieniu i wciąż dużej sile emocjonalnej.

To „historyczne prawo do tematu” jest mimowolne. Przeżyłam to osobiście, gdy w roku 2000 na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie pojawił się sam Steven Spielberg tylko po to, by zwołać konferencję i przedstawić swoją, istniejącą już od kilku lat Fundację Shoah, pochwalić się jej sukcesami i przyznać wysoką nagrodę dwóm młodym reżyserom węgierskim, którzy przedstawili na Berlinale bardzo zresztą skromny dokument, bo cała ich zasługa polegała na tym, że znaleźli na Węgrzech osobę, która przeżyła Auschwitz, przywieźli ją do obozu i jej wspomnienia sfilmowali. Tylko tyle. Młodzi ludzie też wystąpili na tej konferencji, przyznając, że temat nie był im wcześniej znany, ale gdy spotkali byłą więźniarkę, węgierską Żydówkę, pomyśleli, że może być to ciekawe. Słuchałam tego zawiśnie, myśląc, że nasi filmowcy zasługują na dziesiątki nagród od Spielberga! I to każdego roku!

Ale to była mimowolna zawiść, bo Spielberg w tej kwestii ma duże zasługi. Odkąd w 1994 roku zrealizował *Listę Schindlera*, zaraził się „światem obozów”, poczuł odpowiedzialność za pokolenia zamęczonych Żydów i postanowił zbierać relacje tych, którzy przeżyli. I rzeczywiście tak robi. Mówi, że to jest potrzebne dla jego żydowskiej tożsamości. W 2015 roku był w Polsce, w Krakowie, potem w Oświęcimiu brał udział w 70. rocznicy wyzwolenia obozu, spotkał się z ocalałymi i dziękował Polakom, że

na 80 tysięcy relacji ocalałych, które jego Shoah Foundation zdołała zebrać, jest aż 33 tysięcy relacji polskich. A one wszystkie są przecież w formie materiałów i pisanych, i filmowych. Wśród 32 języków i relacji z 56 krajów jest to więc istotny wkład naszego kraju.

*

Dokumentalne taśmy o Auschwitz przeszły przez lata powojenne głęboką przemianę. Najpierw były prostą informacją, potem dokumentowały masową zbrodnię nazistów, wreszcie wyciągały losy jednostek, by odtwarzać ich historię. Ale sam początek tego tematu w filmie można sobie łatwo przypomnieć, gdyż z okazji 60. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz, a więc 15 lat temu, ukazała się płyta DVD ze wszystkimi materiałami dokumentalnymi, nakręconymi przez zespół operatorów Armii Czerwonej w momencie wyzwolenia obozu. Fragmenty tych taśm służyły nawet jako materiał dowodowy w procesach norymberskich. Były przez pewien czas jedyną informacją o obozie.

Ale ten zestaw dokumentalnych ujęć nie jest materiałem nam nieznanym. Przez 60 lat istniał on w naszym archiwum filmowym i niektóre fragmenty wykorzystywane były w montażowych filmach dokumentalnych o tematyce obozowej. Pojawiały się ujęcia topografii Auschwitz, sceny jego wyzwolenia, zdjęcia grup więźniów, dokumentacje pierwszych po wyzwoleniu wizyt lekarskich i ratowania chorych, a wreszcie szokujące sceny porządkowania obozu, odgrzebywania ciał, wspólnych pogrzebów. Wykorzystywano je zarówno w filmach polskich, jak i w obcych. Pamiętam, jak w 1976 roku odnalazłam ujęcia z Auschwitz w holenderskim dokumencie *Ślad wątplenia*, pokazywanym na festiwalu w Oberhausen. Były one uzasadnione samym tematem: dokumentalna opowieść o deportacji do Auschwitz holenderskich Żydów musiała dbać o autentyczność miejsca, o konkretnie dla wyobraźni także zachodnich odbiorców. Inne obozy i inne archiwa też posiadały materiały dokumentalne i chętnie wypożyczały je filmowcom. Krążyły te ujęcia po świecie, u nas też bywały. Znane są na przykład taśmy realizowane przez Amerykanów w czasie wyzwolenia przez nich obozu w Bergen-Belsen. To stamtąd pochodzi najokrutniejsze obozowe ujęcie filmowe: spychacza spychającego do rowu górę ciał. Polscy operatorzy nakręcili natomiast najwięcej materiału przy wyzwoleniu obozu w Majdanku, a już w 1944 roku powstał słynny, pierwszy historycznie film obozowy, oparty na taśmach Aleksandra Forda i Stanisława Wohla, *Majdanek – cmentarzysko Europy*.

Pierwsza więc funkcja takich materiałów to informacja. Filmowcy nadali im jednak szybko funk-





cję drugą: poetycką czy nawet symboliczną. Te same dokumentalne ujęcia filmowe mogły zaistnieć jako znak epoki pieców i zorganizowanego ludobójstwa. Pamiętny film Tadeusza Makarczyńskiego *Noc* z 1961 roku, gdzie kamera nocą wędruje przez Auschwitz i tylko co jakiś czas nagłym błyskiem reflektora wyciąga z czarnych niemal kadrów jakiś kształt baraku czy pieca krematoryjnego, budząc nagłe uczucie zagrożenia – jest tutaj dobrym przykładem. Ale historia kina pamięta jeszcze dokumenty inne. Choćaby *Testament* (1970) Antoniego Halora i Józefa Gębskiego, w którym autentyczne taśmy obozowe, odpowiednio oświetlone i podbarwione stały się ilustracją czytanych zza kadru opowiadań Tadeusza Borowskiego. To nieco ryzykowne połączenie różnych materii przenosiło widza w świat niemal ekspresjonistyczny, budząc grozę cokolwiek literacką i magiczną.

Z pojęcia „Auschwitz”, z jego symboliki polscy filmowcy do dziś potrafią budować filmy o humanistycznej refleksji, skupieniu i wciąż dużej sile emocjonalnej. Choć tej ostatniej twórcy próbują czasem unikać, oryginalnie budując formę swoich filmów. Wystarczy przypomnieć słynną, nagradzaną *Archeologię* (1967) Andrzeja Brzozowskiego, niemal pozbawiony słów reportaż z jednego dnia pracy archeolo-

gów z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Na dużych zbliżeniach było w nim tylko kopanie ziemi, ruchy łopaty, wysiłek kąpiących – i dopiero, gdy archeolodzy przedstawiali plon dnia pracy, tę chłodną, współczesną archeologię – aluminiowe łyżki, dziecinne zabawki, fragmenty przedmiotów codziennego użytku, widz odkrywał miejsce akcji: to teren obozu Auschwitz-Birkenau. Zaskakującą moc wizualną miał też pozornie zwyczajny film Jerzego Ziarnika *Muzeum* (1966). Kamera prowadziła nas po muzeum, w tle słychać było suchy komentarz przewodnika. Ale nagromadzenie, a nawet zwielokrotnienie przedmiotów, owych martwych eksponatów, tych przedmiotowych śladów ludzi stało się w pewnym momencie bezsilnym protestem przeciw złu. Po latach Jerzy Ziarnik powrócił do tego miejsca, by zrealizować niezwykłą opowieść *Patrzę na twoją fotografię* (1979): to w niej kamera wędruje po pięknych, młodych twarzach, napawając się w tle przedwojennymi szlagierami, i dopiero zmiana planu filmowego ukazuje rzeczywisty zamysł dokumentalisty: znajdujemy się przed muzealną ścianą zdjęć tych, którzy w obozie zostali zamordowani. Wiele lat później, w 2005 roku, młody debiutant Ireneusz Dobrowolski zrobi inny piękny film o fotografii. To *Portrecista*, rzecz o Wilhelmie

Brasse, katowickim fotografie z austriacko-polskiej rodziny z Żywca, zabranym do Auschwitz, gdyż nie chciał podpisać volkslisty. Tam dostał od Niemców zadanie specjalne: musiał robić zdjęcia – dokumentować twarze i eksperymenty medyczne, zdarzenia i śmierci. Sam o tym opowiada z ekranu. Przy likwidacji obozu udało się fotografowi ocalić 40 000 zdjęć.

To zaledwie kilka tytułów. Ale wciąż istnieją ogromne ilości taśm pochodzących z różnych późniejszych wizji lokalnych, taśm polskich i obcych, które zachowały w ujęciach każde miejsce, obfotografowały każdy przedmiot, każdy element obozu, a jest to do dziś nie tylko źródło informacji, ale i materiał dla dalszych dokumentów. Dodatkowo odnalazły się również obozowe zdjęcia i taśmy niemieckie. Naziści mieli w Auschwitz specjalny wydział, zwany Służbą Rozpoznania, powołany do robienia zdjęć oficjalnych. Wydali wtedy nawet album, który dokumentował całą drogę Zagłady. I te taśmy, których nie zdążyli zniszczyć przy likwidacji obozu, znalazły się w archiwum.

*

Nadszedł jednak taki czas, gdy filmowcy sami dostrzegli niebezpieczeństwo ograniczenia całego procesu poznania tylko do przeszłości. Teraźniejszość obozu wymagała zupełnie innej ciekawości, innych narzędzi, innej wręcz tematyki. Przemianie pomogła rzeczywistość. A dokładniej: znaczenie, jakie uzyskał ruch Znaków Pokuty i trwająca już od kilkudziesięciu lat w Niemczech akcja Pamięć i Pojednanie. Niepostrzeżenie zaczął się wtedy nowy etap filmowego zainteresowania obozem. Kamery zaczęły towarzyszyć młodym ludziom ze świata, którzy przyjeżdżali do Oświęcimia. Najpierw byli to młodzi Niemcy, którzy zaczęli pracować na terenie obozu, by choć tym sposobem pokutować za winy ojców (między innymi wybudowali hotel, surowy i drewniany, w którym do dziś odbywają się różne lekcje historii – często filmowane). Później zjawiali się inni – młodzież z Izraela, ze Stanów, z Kanady. Przyjeżdżają nadal i wciąż towarzyszą im ludzie z kamerami. Rozmowy z tym młodym pokoleniem o historii, o poczuciu winy, o odpowiedzialności stały się tematem niejednego dokumentu obozowego. Realizują takie filmy filmowcy z całego świata, w tym oczywiście i z Polski – najciekawsze są te, które proponuje Andrzej Titkow.

Obóz jest więc pokazywany na ekranie od pewnego czasu inaczej: jako miejsce, do którego się pielgrzymuje. Jako sanktuarium męczeństwa, gdzie można i trzeba się modlić, a skupienie i przekazywany sobie wzajemnie znak pokoju stanowią naturalne gesty światowej pamięci. Czyli także jako najbardziej dotkliwy i jednoznaczny znak epoki.

Dla mnie najciekawszym wyrazem tej zmiany spojrzenia są dwa filmy lubelskiego dokumentalisty Grzegorza Linkowskiego, już sprzed kilku lat, ale wciąż zadziwiająco nowatorskie. Jeden to *Marsz Żywych*, głośny dokument, który od momentu powstania zbiera nagrody na całym niemal świecie. Miejscem akcji jest tu współczesny Auschwitz, obóz-muzeum, pełen wycieczek i marszów pokuty. Tematem – odkrywczym i zaskakującym – jest świadome i dobrowolne spotkanie na terenie obozu dwóch ludzi najbardziej odmiennie naznaczonych

przez historię i życiowe doświadczenie: 60-letniego wówczas Żyda, który jest polskim księdzem katolickim, i 70-letniego Niemca, który jest synem jednego z najbliższych współpracowników Hitlera. Ksiądz to Romuald Jakub Weksler-Waszkinel, znany widzom z wcześniejszego, także słynnego filmu Linkowskiego... *wpisany w Gwiazdę Dawida – Krzyż*. Niemiec to Martin Bormann, także ksiądz i misjonarz, syn Martina Bormanna, skazanego zaocznie na śmierć w procesach norymberskich hitlerow-

Od pewnego czasu obóz jest pokazywany inaczej: jako miejsce, do którego się pielgrzymuje. Jako sanktuarium męczeństwa, gdzie można i trzeba się modlić, a skupienie i przekazywany sobie wzajemnie znak pokoju stanowią naturalne gesty pamięci.

skiego zbrodniarza. Spotkali się tu po to, by porozmawiać i zrozumieć. I ta niewyobrażalna rozmowa jest treścią tego dokumentu. Film ten, będący najprostszą notacją spotkania, niemal bez ingerencji filmowca, z prostą rejestracją tego, co przynosi samo zdarzenie, z mocnym tłem „miejsca akcji” – poraża niespodziewanym... optymizmem i tak bardzo pogłębia swoiste poczucie misji specjalnej takich dokumentów, że trudno nie traktować tego tytułu jako zdarzenia wyjątkowego. Są łzy, jest uścisk dłoni, jest coś w rodzaju przebaczenia. A rzeczywistość napisała ciąg dalszy: ksiądz Waszkinel, który zbyt późno, bo już będąc księdzem, dowiedział się, że jest ocalałym z Holocaustu dzieckiem żydowskim, wyjechał do Izraela, wystąpił z kapłaństwa, jest żydowskim nauczycielem filozofii. Nie ma jeszcze tego „dalszego ciągu” na ekranie. Jest w literaturze, czyli w książce Dariusza Rosiaka *Człowiek o twardym karku*. Czy ktoś sfilmuje kiedyś ten niespodziewany powrót do nieznanych korzeni?

*

Między tamtymi najpierwszymi taśmami, które były informacją i służyły refleksji nad faktami – a ostatnimi filmami, które stwarzają szansę dialogu i znajdują platformę porozumienia – minął długi czas. I pewnie czas jest najważniejszy. Bo może przypadkowo okazało się, że formy porozumienia po prostu są możliwe? Jeśli tak, to byłaby w tym wielka zasługa polskiego kina dokumentalnego i jego artystów.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Safe inside (reż. Renata Gabryjelska)

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: za wiedzą i zgodą producenta

Pole lawendy. Gdzie sięgnąć wzrokiem, tam lawendowo. Obraz działa na zmysły, działa na powonienie, chociaż to tylko kino.



Jednak taki obraz również się czuje. Tak jakby niewidzialną lawendę rozcierało się w dłoniach. Ten kolor, ten zapach. Lawenda wycisza, uspokaja, oczyszcza, ale także służy jako straszak przed molami.

W *Safe Inside*, pełnometrażowym, anglojęzycznym, chociaż zrealizowanym w Polsce debiucie Renaty Gabryjelskiej, fotogeniczne lawendowe pole stanowi czytelną metaforę. Spokój jest zwodniczy, a uśpienie zmysłów groźne. Można się więcej nie obudzić.

Po obejrzeniu *Safe Inside* nie wiem jeszcze, jaką reżyserką jest Renata Gabryjelska, jaki ma styl, ani czego dokładnie spodziewa się po kinie i po sobie. *Safe Inside* tego nie przesądza. Jest jednak pierw-

szym ważnym krokiem na drodze do samopoznania. Nie tylko bohaterów filmu, ale i samej Renaty Gabryjelskiej. Krokiem potwierdzającym, że polskiemu kinu przybyła nowa, ciekawa twarz i warto będzie śledzić jej kolejne przedsięwzięcia.

Niby wszystko już było. Tak, było – i będzie. Kino operuje pewną liczbą gotowych historii. Miłosz w *Piesku przydrożnym* określał je „tematami do odstąpienia” i Renata Gabryjelska po prostu wybiera jeden z takich tematów. W *Safe Inside* z gamy filmowych „tematów do odstąpienia” reżyserka, opierając się na scenariuszu Błażeja Dzikowskiego, wybrała motyw drogi do samopoznania, która zawsze jest gorzka, ale w jakimś stopniu formująca.

Malownicze są plenery sfotografowane przez Piotra Kukłę, operatora do niedawna pracującego głównie w Skandynawii, z dużą lekkością portretującego tym razem typowo francuski pejzaż. Bohaterowie filmu, młodzi Amerykanie, Anie (Andrea Tivadar) i Tom (Tomas Ainsley), ruszają na europejski trip. Nie mają kasy, ale mają siebie, to w końcu ważniejsze. Autobusy, bezdroża, rozmowy, czasami kłótnie. Trzeba pobyć ze sobą dłużej, trzeba się trochę lepiej poznać, żeby związek mógł przetrwać. Właśnie tak traktują tę podróż, chcą się poznać lepiej, sprawdzić, kim są dla siebie, czy naprawdę czują to, co im się wydaje. Nawet jeżeli nie sprecyzowali tego planu dokładnie, nie powiedzieli sobie głośno, to wiedzą, że podróż będzie przełomem.

Uroda Francji jest zwodnicza, a uroda tych młodych ludzi, granych przez urodziwych aktorów, ma w sobie trudną do zdefiniowania skazę. To strach przed przyznaniem się do błędu, który może ich kosztować kilka miesięcy albo kilka lat życia. Błędu, że się pomyliliśmy, inwestujemy nie w tego człowieka, w którego powinniśmy, Kochamy się trochę na pokaz, a bezpieczeństwo relacji jest wewnętrznie posklejane – *safe inside*.

O ile do pewnego momentu debiut Gabryjelskiej (o której zdecydowanie wolę myśleć jako o ciekawej młodej reżyserce, która ma na koncie wiele nagrodzonych krótkich metraży, niż o byłej modelce i aktorce) wydaje się kameralnym dramatem rodzinnym, o tyle dalsza część filmu to już thriller. Młodzi trafają bowiem do pięknego domu w cieniu lawendowych pól. Gospodarzem jest Richard, przystojny facet w średnim wieku, gra go Steven Brand, świetny szkocki aktor znany między innymi z *Króla Skorpiona* i *Korpo*. Richard jest tajemniczy, uwodzicielski i chyba groźny. Rysa w lawendowym raj. Trzeba jednak uważać, żeby o Richardzie, a także o Anie i Tomie oraz ich wzajemnej relacji nie napisać zbyt wiele, ponieważ narracja w *Safe Inside* opiera się na zaskoczeniu, na wprowadzeniu do pozornie realistycznej narracji wciąż nowych elementów. Gabryjelskiej i Dzikowskiemu chodzi o dopuszczenie do siebie świadomości pozaracjonalnej, co zresztą wyjaśnione zostanie w nazbyt dosłownym zamknięciu historii. Nie są to być może najbardziej oryginalne koncepty, jednak Miłoszowe „tematy do odstąpienia”, przynajmniej na rodzimym gruncie, wzbogaciły się w *Safe Inside* o nowe i ciekawe odcienie. Film dosyć nieoczekiwanie, z błahej historii letniej podróży dwojga młodych ludzi do Fran-

cji, staje się swego rodzaju przypowieścią o istnieniu świata alternatywnego. Twórcy pytają, co się dzieje w naszym mózgu, kiedy tego nie kontrolujemy, kiedy śnimy albo kiedy mózg oficjalnie przestaje pracować w rejestrach określanych umownie jako normalność? Życie ludzkie, różnorodność życia w wielu aspektach, na przykład dotyczących szeroko rozumianej neurologii, pozostaje w dużym stopniu tajemnicą. I o tym właśnie jest *Safe Inside*. Julian Tuwim, w wierszu dedykowanym Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, pisał: „Na łąkę wychodzisz nocą po kwitnące słowa, / Tajne czynisz praktyki, aby pachniały ambrą i lawendą”.

Łąka to wiedza tajemna. Zapach lawendy. *Safe Inside*.

Safe Inside, film fabularny

Reżyseria: Renata Gabryjelska

Produkcja: Polska, 2019

Język: angielski, barwny, 97 min

Scenariusz: Błażej Dzikowski według pomysłu Renaty Gabryjelskiej

Zdjęcia: Piotr Kukła

Scenografia: Stanisław Tyczyński, Daria Dwornik

Muzyka: Elia Cmiral

Montaż: Agnieszka Gliška

Producent: Stanisław Tyczyński, Magdalena Jaworska

Produkcja wykonawcza: Gremi Film Production

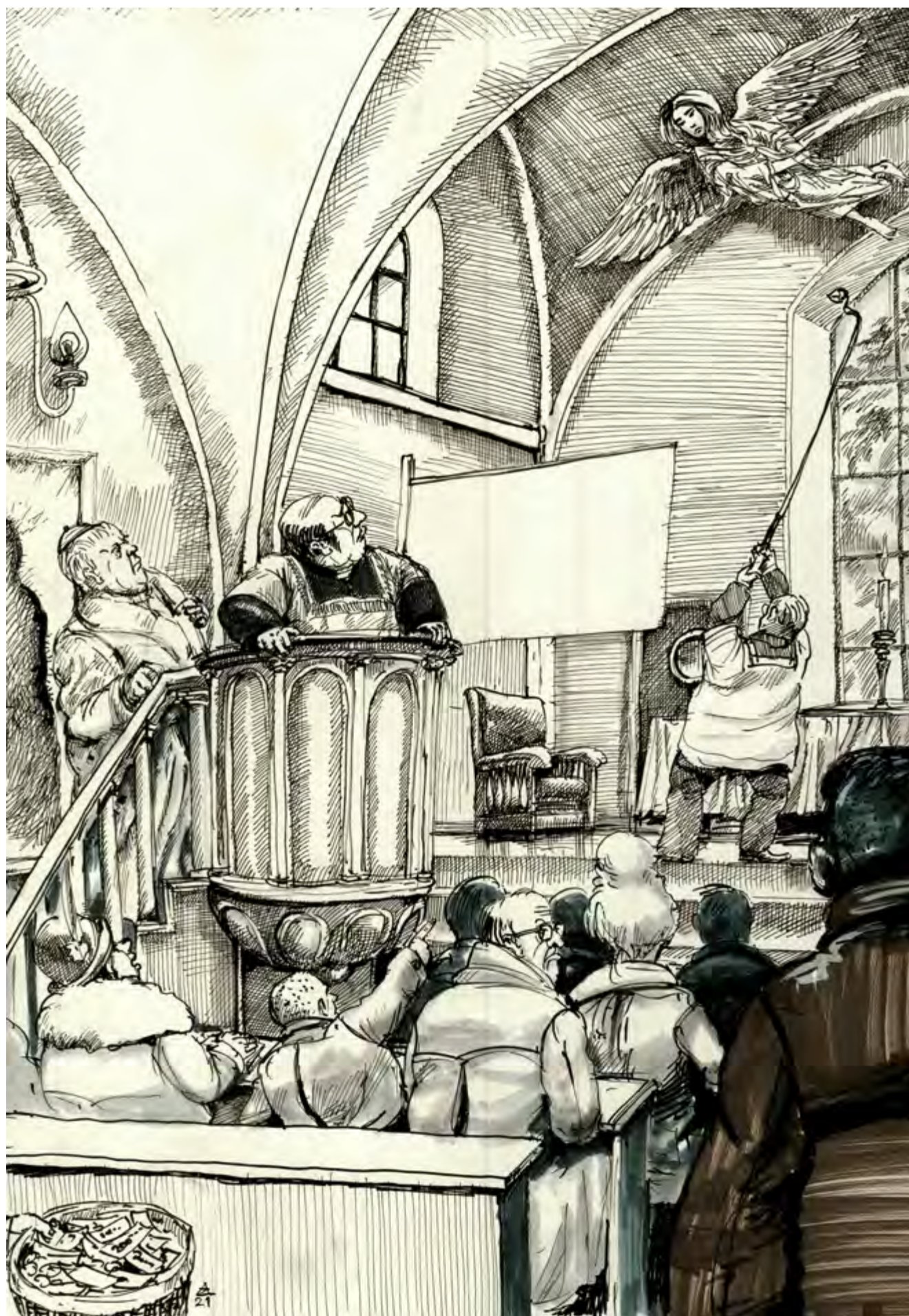
Produkcja: Next Holding

Obsada: Steven Brand (Richard Rolle), Tomas Ainsley (Tom Dawkins), Andrea Tivadar (Ana Walker), Nicolas Navazo (doktor Baptiste), Joanna Kulig (pielęgniarka Sylvia)



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyźnie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego

Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Przeganianie anioła ze świątyni, rys. Andrzej Zaręba

Po szczepieniu głowa nie ta

Tekst: Mieczysław Czuma

Od początku swojego istnienia gatunek ludzki zawsze był podzielony. Na tych, co chcą tego, i na tych, co chcą tamtego. Nie inaczej jest i dziś. Jedni są miłośnikami psów, inni wolą obdarzać czułością koty. Jedni są za Wisłą, drudzy za Cracovią. Dziś ten spór ma jeszcze jedną odsłonę: szczepić się czy nie.

Zwolennicy mówią o zapobieganiu, o ochronie, o potrzebie stadnej odporności. Zwierają szyki i gotowi są do roli rycerzy dobrych nadziei. Przeciwnicy przeciwnie. Dowodzą, że szczepionka to podstępna i skuteczna metoda zmieniania osobowości każdego z zaszczepionych. Zawarte w niej ciała i przeciwciała, i inne tam takie rozmaite detale pozwolą później sterować naszymi myślami, poglądami, zainteresowaniami. Zacznie się więc odsiew chorych na katar, likwidacja obarczonych łupieżem czy tych z grzybicą paznokci. Nastąpi kontrolowana produkcja policjantów, kominiarzy, rowerzystów i wszystkich tych, na których zapotrzebowanie zgłoszą producenci szczepionek.

Niestety, lekkomyślnie dałem się zaszczepić. W zasadzie wszystko u mnie w porządku, jest jak było. Dalej jeżdżę tramwajem bez biletu, wciąż najbardziej smakują mi jajka na miękko, nadal jeszcze nie przypala mi się herbata. Ale po tym ukłuciu w lewe ramię czuję, że coś się jednak ze mną porobiło. Coś weszło mi do głowy. Trzeba się leczyć? Bo weszło i nie chce wyjść. Otóż doznałem (w tym zastrzyku jednak coś jest) objawienia, że cenzura – tak, tak cenzura – była kiedyś najprawdziwszym, ale to najprawdziwszym dobrodziejstwem. Namaszczony tym olśnieniem poczuwam się teraz do obowiązku rozpowszechniania prawdy o tym, że ta instytucja była rzeczywistą drogą do doskonałości. I to w czasach nie tylko nam bliskich, ale i na tak zwanej przestrzeni dziejów.

Cenzura sprawiała, że autor, twórca musiał być mistrzem, wirtuozem. Musiał wznosić się na stylistyczne wyżyny nieudomówień, aluzji, dygresji, komunikować się z odbiorcą pomiędzy wierszami. Wypracowywać subtelny przekaz, kod niepojęty dla cenzora. Cenzor zmuszał do wysokich lotów. Tego dowodzą arcydzieła naszego romantyzmu („Tyś niewolnik, jedyna broń niewolników – podstęp”), dowodem na to całe obszary naszej kultury tworzonej pod zaborami „ku pokrzepieniu serc”. To cenzura w czasach słusznie minionych zmuszała do finezji i maestrii polskie kino, prowadziła na szczyty teatru i kabarety, wyciskała ostatnie poty z publicystów i pisarzy. Dzięki cenzurze PRL mogła zdobyć zaszczytny tytuł najweselszego baraku w całym socjalistycznym obozie.

Żyłem w tamtych czasach i na własnej skórze dane mi było doświadczyć kreatywnej roli cenzury. „Przekrój” rozchodził się w nakładzie 760-tysięcy egzemplarzy, numery wakacyjne przekraczały milion. A mimo to pisma na rynku brakowało. Jedyłą gwarancją cotygodniowej lektury było założenie personalnej teczeki w kiosku. Aby choć trochę wyjść

naprzeciw czytelnikom i zlikwidować niepotrzebne kolejki przed punktami sprzedaży, zdecydowałem się na pewien zabieg. Przygotowałem mianowicie komunikat, który miał być umieszczany w stosow-

Dałem się zaszczepić. W zasadzie wszystko u mnie w porządku, jest jak było. Dalej jeżdżę tramwajem bez biletu, wciąż najbardziej smakują mi jajka na miękko, nadal jeszcze nie przypala mi się herbata. Ale po tym ukłuciu w lewe ramię czuję, że coś się jednak ze mną porobiło. Coś weszło mi do głowy.

nych witrynach: „Przepraszamy, »Przekroju« już nie ma”. Każdy, najdrobniejszy nawet druk, zaproszenie na bal, na ślub, na pogrzeb, to wszystko musiało mieć wtedy zezwalający stempel cenzury. Mój komunikat został zablokowany. Ale kreatorska rola tej wszechwładnej instytucji objawiła się w pełnej krasie. Niedługo potem kioski okraszone zostały obwieszkami: „Tu do nabycia »Trybuna Ludu«”.

Po drugiej dawce szczepienia (też w lewe ramię) moje sprawy z głową zaszły jeszcze dalej. Poczuję, że producenci tego preparatu naznaczyli mnie na wszechwładnego cenzora, obdarzonego nieograniczoną mocą. Poczuję, że mogę robić wszystko, co tylko wyda mi się do rzeczy. Mogę wyłączać, uciśać, skreślać. I to każdego z tych, co demolują, dzielą, sortują. Z rozkoszą kładę teraz absolutny szlaban na wysoko postawionych naprawiaczy, na zawsze wiernych telegadaczy, na natchnionych wodzów i ich opętanych żołnierzy.

Są wyniki. To, co gadane, to, co pisane – uszlachetnia się. Łatwiej zasypiać, rażniej zaczynać nowy dzień. Po nabytej stadnej odporności będzie jeszcze można cieszyć się światem.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Sopockie bolero

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

A może by tak odwiedzić Sopot? Spontanicznie, bez planu, za to z szeroko otwartymi oczami. I co najważniejsze – inaczej niż odwiedzaliśmy go dotąd, jeśli w ogóle. Jest tego wart.

612 kilometrów od Krakowa i 351 kilometrów od Warszawy leży miasto czarodziejskie. Kłopot tylko z jego dwoistą naturą. Z jednej strony nadal kusząca jest bogata i barwna przeszłość, także kulturalna. Z drugiej – przez ciągnące tu latem tłumy, które wcale nie oczekują tego ducha, obiecuje chyba przede wszystkim wakacyjną zabawę małych ambicji. Dlatego wielu do Sopotu nie przyjeżdża. Ja wykorzystałam najlepszą okazję – nie dość, że pandemiczny, to jeszcze czas przed sezonem. Nie żałuję.

Janusz Christa mieszkał przy ulicy Wybickiego 40. Budował tu kolejkę, żeglował, był nawet ratownikiem na plaży. W przyszłym roku minie 50 lat, jak *Kajko i Kokosz* narodzili się w „Wieczorze Wybrzeża”, co ich ojcu dało na sopockich ulicach wielką popularność.

Ostatnie miesiące zrobiły nam na świecie jakieś dziwne porządki. Sama widziałam na hiszpańskich plażach odsunięty w kąt plastik i inne wątpliwej jakości narzędzia uciech. Gdy przestały być potrzebne, odsłoniły różne piękne rzeczy i zrobiły więcej miejsca. Podobnie było w Holandii, Czechach i Wiedniu, które odwiedzałam w tym czasie. Zachowując się odpowiedzialnie, postanowiłam, gdy tylko było to możliwe, nie rezygnować z podróży, a nawet podróżować więcej, by się tym widokiem nacieszyć. Z tej perspektywy wyprawa do Sopotu jest tylko jakąś małą wycieczką, ale szalenie inspirującą.

Może dlatego, że sensu znowu nabrały spaceru – najprostsza, najskuteczniejsza forma medytacji dla tych, co medytować nie potrafią, a chcieliby, czyli dla mnie. Zaczynam od Błękitnego Pudła, aby wziąć tam na wynos coś na rozgrzanie, bo pogoda jest właśnie taka, jak przed sezonem być powinna – zniechęcająca. Pudel – legendarne miejsce na sopockiej mapie – był kiedyś przejściem pomiędzy kamienicami, potem także galerią sztuki i wreszcie kawiarnią, aby dzisiaj karmić, poić i zachwycać klientów mnóstwem zdjęć starego miasta, które aż kuszą, aby pytać, gdzie to, co to, kiedy.

Szukając Sopotu, którego już nie ma, szukam w książkach i ludziach. Znajduję Jerzego Afanasiewa, reżysera, pisarza, poetę, jednego z najmocniej wierzących w magię Sopotu artystów. Człowieka jak z bajki, kolorowego i łykającego tu natchnienie z każdego kąta i promienia słonecznego, a nawet – jak pisał – z nadmorskiej mgły. Okazuje się, że Sopot równie

mocno jak Kraków sprzyja poezji, ustawia pod nią kawiarniane stoliki i ściąga ludzi, którzy ze słów robią czary. Miron Białoszewski, Tuwim, Miłosz, Przybylszewski (tak, to też w dużym stopniu ludzie Sopotu!) niech będą tego najlepszym dowodem. Każdy ma tam swoje miejsca.

Znajduję również mistrza komiksu, o którym głośno jest i teraz w mediach, bo Netflix wypuścił właśnie nowy serial animowany na podstawie jego słynnych opowieści z cyklu *Kajko i Kokosz*. Janusz Christa mieszkał przy ulicy Wybickiego 40. Budował tu kolejkę, żeglował, był nawet ratownikiem na plaży. W przyszłym roku minie 50 lat, jak *Kajko i Kokosz* narodzili się w „Wieczorze Wybrzeża”, co ich ojcu dało na sopockich ulicach wielką popularność.

Skręcam z Monciaku w Obrońców Westerplatte, obłędnie piękną, willową ulicę, złamaną kładką nad cieszącą oko Skarpą Sopocką. To jest jedna z tych ulic, po których można chodzić w kółko, nigdy się nie nudząc. Mówią tu na nią „ulica artystów”. W willach mieszkało i mieszka wielu pedagogów ASP. Historia i uroda niektórych budynków przyprawiają zarówno o westchnienia, jak i ciarki, bo ludzie odchodzą, ale ich energia w takich miejscach zostaje.

Schodzę w dół, miasto jest w końcu wzburzoną falą od morza. Wszystkie domy z tej strony, z tyłu, mają widok na Bałtyk. Ile jest wart taki widok? Policzyć to na muzy, które wpadają przez takie szeroko otwarte okno. Pewnego takiego wieczoru przy otwartym oknie, z tęsknoty za odchodzącą jesienią, powstała tu jedna z najpiękniejszych piosenek „czasu poza sezonem”. Pierwsza muza wleciała w legendarnym SPATIF-ie. Druga w foyer Teatru Kameralnego, w gdzie stało pianino, na którym kompozytor Zbigniew Korepta zagrał wtedy po raz pierwszy melodię *Kasztanów*. Korepta był jednym z najlepszych przyjaciół mojego nieżyjącego już dziadka. Nałykałam się sopockiej mgły i głęboko wierzę, że ten mój sopocki spacer to sprawka dziadka.

612 kilometrów od Krakowa i 351 kilometrów od Warszawy leży miasto, które warto odczarować. Przypomnieć sobie Komedę, festiwale jazzowe, filmy, w tym *Do widzenia, do jutra*. I Agnieszkę Osiecką oczywiście, bez względu na to, czy stać nas jeszcze dzisiaj, aby „tulił nas jak port, jak fort lirycznych band, elegant, birbant, lord, sopocki Hotel Grand”.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny: Świtezianka

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Zaczynała się trzecia fala pandemii, ale Nina na przekór wszystkiemu postanowiła żyć snem naiwnej nastolatki.

Na półce w kuchni stało sześć kieliszków do białego wina – widok ten zasmucał Ninę, głównie dlatego że dawno nie miała gości. Na pięciu kieliszkach zdążył się już pojawić charakterystyczny nalot zbyt długo pustego szkła, tylko jeden świecił od codziennej kąpieli w zmywarce. Ale samo picie wina wydało się Ninie jakieś takie nazbyt dorosłe. Miała obawy, że niedługo zacznie słuchać jazzu, myśleć o domku na wsi i pieleniu grządek, a potem to już wiadomo – starość i śmierć. Przypomniła sobie, że kolega, który słynął z idealnie dobranych pod charakter i potrzeby przyjaciół prezentów, podarował jej pod choinkę parę gramów trawki. Teraz Nina zanurzyła się w otchłan szafy w poszukiwaniu zielonej kulki owiniętej w sreberko. Nic. Gdzie, do cholery, mogła to schować?

Nina nie przepadała za ziołem, działało na nią usypiająco, a przecież w imprezie chodzi o to, żeby razem z barmanami zamykać „Psa”. Ta myśl zabolowała ją tak, jakby ktoś nagle wyrwał jej kępkę włosów z głowy. Wspomnienie wieczorów w krakowskich knajpach przypominało opowieść o dawno zaginionej cywilizacji, Pompejach czy czymś takim. Spacer po placu Wolnica miał coś z atmosfery wykopalisk archeologów, Nina obawiała się, że nagle przy stoliku w Marchewce i Groszku zastanie spopielone truchła znajomych, zaskoczonych pandemią, z uniesionym łokciem i widelcem wbitym w placki ziemniaczane z gulaszem.

Teraz trzeba było urządzić się na Ziemi 2.0. Od paru miesięcy Nina cierpiała na bezsenność. W czasie długich zimowych nocy wysyłała znajomym memy o papieżu i na jednej grupie w sieci codziennie o 21.37 świętowała z nastolatkami godzinę „papieżową”. Trzeba przyznać, że zaczęło jej już niezłe odbijać. Pani psycholog tłumaczyła, że to po prostu lęk przed przemianami, ale Nina uważała, że to jakieś absurdalne brednie.

– Bzdura. Już dawno przeminęłam, a nawet umarłam, i to śmiercią tragiczną. Rzuciłam się przepaść. Nie ma mnie.

– Dlaczego pani tak sądzi? – psycholożka na Zoomie wydawała się nawet rozbawiona.

– Już nic nie czuję. To chyba wystarczający dowód.

Do końca sesji psycholożka namawiała Ninę, żeby wykupiła antydepresyjne leki, ale rozwiązanie to wydawało się jej zbyt proste. Niby po co miałyby je brać? Poczucie pustki i zamrożenia było nawet kojące.

Pewnej niedzieli Nina stwierdziła, że skoro jej życie wewnętrzne dobiegło końca, należy chociaż zadbać o pozory i zająć się ciałem. Wykupiła dietę pudełkową wege na cały miesiąc i poszła do fryzjera. Pani Angela z salonu Roman przy Gołębiej potrafi czynić cuda. Po dwóch godzinach Nina szła Bracką i nareszcie wyglądała jak człowiek. Weszła nawet

po kawę na wynos do Nowej Prowincji. I właśnie tam nastąpił przełom.

Nagle w drzwiach pojawił się mężczyzna, który był tak piękny, że Nina ledwo utrzymała kubek w ręce. Znała to uczucie, ale pochodziło ono z wczesnych

Wspomnienie wieczorów w krakowskich knajpach przypominało opowieść o dawno zaginionej cywilizacji, Pompejach czy czymś takim. Spacer po placu Wolnica miał coś z atmosfery wykopalisk archeologów, Nina obawiała się, że nagle przy stoliku w Marchewce i Groszku zastanie spopielone truchła znajomych, zaskoczonych pandemią, z uniesionym łokciem i widelcem wbitym w placki ziemniaczane z gulaszem.

lat 90. ubiegłego wieku. Zaskoczyło ją, że może tak sobie wrócić, bez żadnego ostrzeżenia. Zastanawiała się, co teraz. Ale oczywiście zachowała się jak Świtezianka i nie powiedziała ani słowa. Chłopak przywitał się z barmanem, jakby znali się od dawna.

Po powrocie do domu zadzwoniła do przyjaciela, który też znał tam wszystkich.

– Ach tak, kojarzę, on zawsze przychodzi sam. To znaczy sam z psem.

– Kto może go znać?

– A co?

– A nic. Do wczoraj byłam ateistką, ale chyba uwierzyłam w Boga. Bo kto inny projektuje takich ludzi?

Nina weszła na Facebooka człowieka, który MÓGŁ GO ZNAĆ. Przejrzała 500 zdjęć profilowych. Bingo!

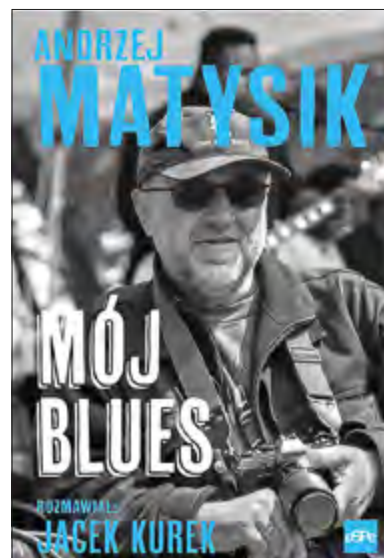
Jest, znalazła go.

Weszła na Instagram. On sam, on z psem, on z kolegą. Pod ich wspólnym zdjęciem podpis: „Sebastian i ja. 10 lat razem <3”.

Nina pomyślała, że właśnie w tej pozycji – z głową na klawiaturze i opuszczonymi do podłogi rękami – znajdują ją za tysiąc lat.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Anna Sudoł nie rozpieszcza czytelników. Prowadzi z nimi grę w ujawnianie skrytych zasad, jakimi kieruje się człowiek. To uogólnienie, ale przykro prawdziwe. Wyścig do rozdawania kart. Podstępny, intrygi, szantaże, kłamstwa, manipulacje, nawet zabójstwa, nic nie zostało oszczędzone nie tylko współczesnym, ale i tym żyjącym w każdej cywilizacji. I zawsze chodzi o to samo. O władzę, o pieniądze albo o zaistnienie. O wyeliminowanie konkurencji, rywali w drodze do sukcesu, prestiżu lub uczucia. Kombinacje są przeróżne, metody również. Autorka przedstawia wersję współczesną, której akcja rozgrywa się w hipotetycznej Instytucji. Zapętlenie w węzeł gordyjski nieporozumień zmanipulowanych osób przebiega sprawnie. Plotka, pomówienie, blef, szarżowanie na granicy bezpieczeństwa dobrym imieniem, wszystko zdaje się być szczytne w drodze do sukcesu. Prawda może okazać się kłopotliwa albo niewygodna. Może nawet zagrażać. Staje się więc relatywna, a często niebezpieczna. Autorka wkracza w świat ludzkich ułomności – takich jak egoizm, bezwzględne dążenie do celu, stawianie wszystkiego na jedną kartę, hazard w żonglowaniu znajomościami, drapieżne wykorzystywanie innych. Tak, to świat drapieżców. Solidarność drapieżców. Potrafiących trzymać się razem, gdy daje im to obustronną korzyść, a jednocześnie bez skrupułów pożerających się nawzajem, gdy dawni sprzymierzeńcy zostaną uznani za zagrożenie.

Elżbieta Wojnarowska

„Podczas miłosnych wieczorów Redaktor za każdym razem prosił Filomenę, by czytała mu w łóżku. Kontrast między chropawą barwą jej głosu a płynną linią ciała, unoszonego wysiłkiem lektury, budził w nim dreszcze. (...) Zazwyczaj spotykali się w garsonierze należącej do Redaktora. Usytuowana w suterenie, w odrapanej kamienicy niedaleko dworca, przedstawiała się dość spartańsko – łóżko, stolik o rozchwianych nogach, dwa krzesła i półki wyładowane książkami, wśród których gospodarz brał teraz Filomenę na różne wymyślne sposoby”.

Andreowia, wbrew przekombinowanemu tytułowi, jest książką wciągającą i dowcipną. To rodzinna szopka krakowska z pismakami i skandalami w tle. Niby opowieść o mężczyźnie w kryzysie wieku średniego, ale tak naprawdę o krakowskich mitach, lękach i wariatach. Bywa śmiesznie – a co oznaczają słowa „odepchnij tatusia” wypowiedziane na łożu śmierci przez matkę, doczytać warto.

Autorka to postać krakowsko-warszawska. Krakuska z urodzenia, wykształcenia i zawodu (dziennikarka między innymi „Dziennika Polskiego”). Z racji pasji społecznych – warszawianka (współ z Jackiem Leociakiem wymyśliła wystawę *Tu Muranów* w Polin). Jej poprzednie książki były rozlicznie nominowane: do Nagrody Literackiej miasta stołecznego Warszawy w roku 2013 (*Stacja Muranów*) i w 2016 (*Pałac. Biografia intymna*), a w 2019 do Nagrody Literackiej Gdynia (*Betonia*).

Teraz w jej książce najnowszej „Kraków rulez” – i proszę czytać nie tylko z racji patriotyzmu! wb

B.B King, John Mayall, Magic Slim, Beth Hart, Joe Bonamassa – to gwiazdy bluesa, które nie tylko słuchał na żywo, ale i poznał. Niektóre udało mu się zresztą sprowadzić na koncerty do Polski – w tym do Krakowa (warto przypomnieć występ Ronnie Baker Brooks pod wieżą ratuszową w 2002 roku). Pod Wawel zresztą ponoć wiele sław życzy sobie przyjechać także turystycznie, korzystając z przerw w trasie po Polsce.

Andrzej Matysik jest instytucją na krajowym rynku muzycznym – jako naczelny kwartalnika „Twój Blues”, założyciel Agencji Koncertowej Delta czy współorganizator festiwalu Bluestracje w Chorzowie i Blues Alive w Sumperku.

O swojej miłości, bo tą (prócz żony Danuty, również udzielającą się w tych inicjatywach) jest blues, opowiada barwnie i z pasją. Efektem jest osobista historia tego gatunku (ale też jazzu i rocka) w Polsce – i to począwszy od lat 60. ubiegłego wieku. Przewijają się w niej muzycy (choćby Dżemu i SBB), kluby, festiwale (stołeczne Jazz Jamboree i krakowskie Zadaszki Jazkowe), pisma („Student”). Jest też nieco o życiu codziennym fana muzyki w PRL – metodach zdobywania płyt (między innymi piratów tłoczonych w ZSRR) czy nagrań idoli, sposobach dostawiania się na koncerty czy po prostu obyczajach środowiska. Są wreszcie wspomnienia z wojaży śladami bluesa po jego kolebce, czyli Stanach Zjednoczonych – w tym poszukiwania wszystkich trzech grobów Roberta Johnsona. Blues Alive! kb

Anna Sudoł, *Projekt*, Korporacja Ha!art, Kraków 2020.

Beata Chomątowska, *Andreowia*, Wielka Literatura, Warszawa 2020.

Andrzej Matysik, *Mój blues* (rozmawiał Jacek Kurek), EsPe, Kraków 2020.



Dwaj wielcy polskiego dziennikarstwa i rodzimej polityki. Twórca najważniejszego pisma powojennej emigracji oraz najpoczytniejszy krajowy felietonista opozycji. Korespondowali niemal pół wieku i to w okolicznościach bliskich szpiegowskiemu filmowi. Niektóre listy przez żelazną kurtynę, która dzieliła wówczas Europę, przemycali im znajomi. Inne – by zmylić komunistyczne służby – wysyłane były nie pod właściwy adres, lecz w inne, z góry umówione miejsca. Czasem pisali, fingując autora bądź odbiorcę – a że „słupem” była kobieta (Zofia Herz), musieli w treści używać rodzaju żeńskiego zamiast męskiego.

Są i inne smaczki pokazujące ówczesną rzeczywistość. Ot taki: Giedroyc pyta Kisielewskiego o rozmiar jego butów, bo zamierza wysłać mu ten deficytowy w PRL produkt – razem zresztą z kolorową włóczką dla żony, kawą oraz kuponami materiału na ubrania. Kisiel zwierza się, że marzy o „wiatrówce z impregnowanego płótna, zielonej lub brązowej z kieszeniami – tak zwanej kanadyjce”. W zamian Giedroyc prosi o przysyłanie krajowych książek i czasopism.

Ale że obaj byli politycznymi zwierzętami, więc listy (zwłaszcza te z postalinowskich czasów) są też pasjonującym świadectwem ścierania się różnych strategii oporu wobec komunistycznej władzy. A że obaj słynęli z ciętego języka i uszczypliwości, a także jadowitej inteligencji, dyskusji na temat koncepcji politycznych towarzyszy pokaz szermierki językowo-publicystycznej. kb

Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski, *Listy 1946-1991*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2021.

„Głód przychodzi zwykle po spektaklu. Pałaca potrzeba ludzi. Puszczają hamulce. Rozbestwione ego szuka zaspokojenia, kontaktu, głąskania, chuchania i dmuchania, pieszczot, dobrego słowa i czułości. Szuka szaleństwa, znieczulenia, picia, ćpania i seksu. Wszystko w nadmiarze. W nasyceniu. Do dna” – tak Jacek Poniedziałek zaczyna *(Nie)Dziennik*, w którym opowiada historię swojego wychodzenia z nałogu. To nie pierwsze szczere wyznanie aktora. Przed laty dokonał publicznego coming outu, przyznając się do homoseksualizmu. Teraz idzie dalej, opisując pogrążanie się w alkoholizmie, narkotykach, szukanie zaspokojenia w ramionach przygodnie spotkanych mężczyzn. Robi to bez znieczulenia, nie stroniąc od drastycznych opisów, które nie mają nic wspólnego z wyrafinowanymi spektakłami, w jakich grywa. Nie ma oporów, by zdradzać środowiskowe historie, takie jak choćby przyczyny zerwania przedstawienia Krzysztofa Warlikowskiego w Holandii, które się nie odbyło, bo aktor nie był w stanie podnieść się z podłogi po dużej ilości grzybów halucynogennych.

Opowieści o pracy i niekończących się imprezach w Nowym Jorku, Meksyku, Warszawie przeplatają się z zapiskami z ośrodka odwykowego pod Krakowem, a także wspomnieniami z dzieciństwa i młodości, w których szuka przyczyny swoich problemów. Zaniedbane, bite, wstydzące się biedy dziecko wciąż siedzi w głowie człowieka, który osiągnął sukces, i to ono tak naprawdę pisze zamieszczoną w książce *Litanii do matki*. msz

Jacek Poniedziałek, *(Nie)Dziennik*, W.A.B., 2021.

Jakub Woynarowski proponuje świat alternatywny do tradycyjnej literatury. To, można rzec, wizjoner, rewolucjonista języka przekazu. Przekracza i jednocześnie łączy gatunki wypowiedzi. Jest to więc książka eksperymentalna. Język graficzny wypowiedzi jest klarowny, zrekonstruowany na podstawie materiałów ikonograficznych, a uzupełnia go komentarz wypracowany z myśli pochodzących z oryginalnych dokumentów z XVIII wieku. Autor nawiązując do rewolucji francuskiej, usiłuje nakłonić nas do przeanalizowania europejskich wydarzeń z dzisiejszego punktu widzenia, także w odniesieniu do możliwości takiej rewolucji w Polsce. I nie jest to tylko zabawa formą, gdzie tekst staje się pretekstem do żonglowania obrazami, wizualnymi prowokacjami. To prowokacja, ale do głębokiego namysłu nad prawami rządzącymi historią świata, a więc i naszą historią. I próba docieczenia, w jakim stopniu ludzkość jest w stanie wyciągnąć z historii właściwe wnioski. Jakub Woynarowski nie ogranicza się do politycznych koneksji, ukazuje nam też bezwzględność Natury. Niszczącej równie okrutnie, jak sami niszczymy siebie, będąc nie tylko dla siebie zagrożeniem, ale i dla Natury. Pytanie końcowe o los człowieka i naszej cywilizacji pozostaje z nami. Bez odpowiedzi.

Elżbieta Wojnarowska

Jakub Woynarowski, *November*, Korporacja Ha!art, Kraków 2020.



Michał Cygan, *Wycinka na osiedlu*, 100 x 80 cm, akryl i olej na płótnie, 2020



O!Śnienia po jasnej stronie wolności

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Robert Słusznik dla KBF

Piąte już rozdanie O!Śnień – Nagród Kulturalnych Onetu i Miasta Krakowa było szczególne. I to nie tylko dlatego, że odbywało się w sytuacji pandemicznej, w pozbawionym publiczności Pałacu Potockich, ale także z tego powodu, że głoszący w plebiscycie internauci postawili na artystów, dla których słowo „wolność” jest niezwykle ważne.

Tegoroczna edycja O!Śnień okazała się hołdem złożonym wolności. Nasi użytkownicy dostrzegli, jak kultura się zmienia i jak wiele rzeczy dzieje się na ulicy. Stąd nagroda w kategorii Herosi Kultury dla Oskara Sadowskiego i Aleksandry Cieślak wraz z kolektywem Aurora – tłumaczy szefowa Onet Kultura Katarzyna Janowska.

Artyści otrzymali wyróżnienie główne, w niebagatelnej kwocie 30 tys. zł, za uliczny performans *Dziady na Mickiewicza*, w którym połączyli się z protestującymi w obronie swoich praw kobietami i słowami wieszczą wyrazili współczesne niepokoje Polaków. – Chcę powiedzieć panu Kaczyńskiemu, że będziemy walczyć dalej – oświadczył, odbierając nagrodę, Oskar Sadowski. W obronie wolności twórców wystąpiła Agnieszka Holland, zdobywczyni tytułu Ambasadorki Kultury. Podczas uroczystości wygłosiła w imieniu artystów apel do ministra kultury i rządzących, zwracając ich uwagę na dramatyczną sytuację, w jakiej znaleźli się ludzie sztuki z powodu lockdownu. Upomniała się też o rozwiązania systemowe dla artystów oraz o wolność twórczą i niezależnienie instytucji kultury od wpływu polityków.

Wolnościowych deklaracji nie zabrakło w wypowiedziach innych laureatów O!Śnień, wśród których znaleźli się: Maciej Musiałowski za rolę w filmie *Sala samobójców. Hejter*, Joanna Bator za książkę *Gorzko, gorzko*, Waldemar Tatarczuk za wystawy *Jesteśmy ludźmi* i *Nigdy nie będziesz szła sama*, Krzysztof Zalewski za płytę *Zabawa*, Aleksander Nowak i Szczepan Twardoch za muzykę i libretto do *Drach. Drama per musica*, Arkadiusz Jakubik za role w serialach *Król* i *W głębi lasu* oraz Katarzyna Kalwat i Jacek Poniędziałek za spektakl *Podróż do Reims*.

– Świadomie nominujemy do naszego plebiscytu zarówno artystów, których prace funkcjonują w obiegu niszowym, jak i uznanych twórców. Miło mi, gdy tak doceniany pisarz, jakim jest Szczepan Twardoch, zamieszcza na okładce swojej książki adnotację, iż jest laureatem O!Śnień – mówiła Katarzyna Janowska, która do wręczenia nagród zaprosiła ikony krakowskiej, i nie tylko, kultury, między innymi Annę Dymną, Jana Peszka, Jerzego Trelę, Krzysztofa Globisza. – W ten sposób udało mi się przypomnieć, że w Krakowie spotyka się tradycja z przyszłością. To istota miasta, które z jednej strony nie zapomina o korzeniach, a z drugiej jest otwarte na to, co nowe – podkreśliła.



O Krakowie bez kompleksów

Tekst: Janusz M. Paluch

Michał Kozioł – przez dziesięciolecia urzędnik krakowskiego magistratu, autor tekstów o historii Krakowa, uczestnik radiowych audycji „krakauerolągów” wraz z Mieczysławem Czumą i Leszkiem Mazanem, kontynuator tradycji krakowskich, obecny wszędzie, gdzie krakowskość świętuje jubileusze – w końcu wydał książkę *Kraków wczoraj i przedwczoraj*.

Tom – ze wstępem prezydenta Jacka Majchrowskiego i dyrektora Muzeum Krakowa Michała Niezabitowskiego – zawiera wybór artykułów publikowanych na łamach wychodzącego od 2008 magistrackiego pisma „Kraków.pl”. Teksty utrzymane w gawędziarskim stylu zainteresują każdego. Wszak Kraków to ogólnopolska, narodowa wspólnota, miejsce, gdzie w czasie zaborów jedna „morga wiedeńska”, pod kopcem Tadeusza Kościuszki, nie stanowiła niczyjej własności, była jedynym wolnym skrawkiem niepodległej Rzeczypospolitej do 1918 roku – uświadamia nas Michał Kozioł.

Jego gawędy są doskonałym wstępem dla tych, którzy zamierzają pławić się w dziejach Krakowa. W opowieściach, często pełnych niedomówień i niedokończeń, dotyka najważniejszych krakowskich miejsc i wydarzeń. Przywołuje najciekawsze postaci, jakie w ostatnich wiekach przewinęły się przez Kraków, stanowiąc o jego kolorycie, randze w historii kultury polskiej. Owe niedomówienia są zachętą do studiowania dziejów Krakowa, czy to kryminalnych historii, krakowskiego folkloru, czy słodkiego – cukier-

niczo-kawiarnianego – Krakowa. A przecież i dzisiaj można o smakach krakowskich cukierni długo opowiadać!

Szkoda, że wydawca nie zadbał o indeks nazwisk. Melchior Wańkowicz w *Karafce La Fontaine’a* wspomina Mieczysława Grydzewskiego – redaktora „Wiadomości Literackich”, który z furią waląc ręką w stertę książek krzyczał: „Ja bym wieszał tych, którzy wydają książki bez indeksów!”. Przydałaby się też podstawowa bibliografia, wszak autor w swych opowieściach posługuje się cytataми. Dla początkujących miłośników dziejów Krakowa byłby to podstawowy klucz do „krakowskiego skarbcza”. No i piękna okładka, ze wspaniałą fotografią zakola Wisły z 1938 roku zatytułowana *Wianki na Wiśle pod Wawelem...* Wydawca wmawia nam jednak, że to widok ulicy Szpitalnej w kierunku Małego Rynku... Gdybym wyszedł z Baru Na Stawach – o którym w książce opowieść też znajdziecie – to może bym nawet uwierzył...

Michał Kozioł, *Kraków wczoraj i przedwczoraj*, Kraków 2020.

■ Rewizor jest kobietą

Nie dziwię się, że reżyserzy, którzy chcą opowiedzieć o współczesnym świecie, sięgają po *Rewizora* Nikołaja Gogola. Historia o zżerającej państwo korupcji, systemie promującym cwaniaków i złodziei, doprowadzającym społeczeństwo na skraj moralnej degeneracji jest, niestety, cały czas aktualna. Mikołaj Grabowski, którego spektakl otworzył po lockdownie scenę Teatru Bagatela, ma tego absolutną świadomość. Dlatego w sposób jasny odpowiada na pytanie: kim jest dziś Rewizor? I to nie tylko ten fałszywy, Chlestakow, ale też ten prawdziwy, który przybywa w momencie, gdy wyszły już na jaw wszystkie świństwa rządzących w miasteczku małych ludzi. Ten pierwszy jest tu zwykłym chłopakiem, żyjącym kompletnie bezrefleksyjnie i biorącym garściami wszystko to, co los mu zsyła. Jego postać stanowi kontrapunkt dla pojawiającej się tajemniczej postaci – ubranej na czarno dziewczyny z plecakiem, która trafiła do tego obrzydliwego świata, jak może się wydawać, prosto ze Strajku Kobiet. To ona będzie rozliczać prowincjonalnych notabli i nie mamy wątpliwości, że zrobi to uczciwie, tak jak na to zasługuje. Dyskusyjne może być tylko pojawienie się jej już w połowie spektaklu, kiedy recytuje między innymi wiersz Miłosza *Który skrzywdziłeś*. Jak dla mnie zbyt duża to dosłowność.

Spektakl pokazuje, w którą stronę idzie Teatr Bagatela. Po *Rewizorze* widać, że na bezmyślną rozrywkę raczej nie będzie tu miejsca.

■ Wystawa, która nie pokryła się kurzem

Pandemia potrafi rozbudzić kreatywność artystów, czego dowodem zmieniająca się w czasie wystawa *Cargo* Marka Chlandy, pokazywana w Cricotece. Powstała w październiku ubiegłego roku i pierwotnie miała odnosić się do spektakli *Umarła klasa* Tadeusza Kantora i *Apocalypsis cum figuris* Jerzego Grotowskiego, które stanowiły przełom w rozwoju twórczym Chlandy. Jednak przyszedł jesienny lockdown i prezentowane rysunki, obiekty, filmy i dźwięki przestały być dostępne dla publiczności. Mógł je odwiedzać jedynie sam artysta oraz zaproszony do udziału w wystawie kolektyw. Postanowiono, że mimo wszystko ekspozycja nie pokryje się kurzem i będzie żyła swoim życiem, które twórca na bieżąco rejestrował. I tak teraz możemy oglądać, jak to przedsięwzięcie zmieniło się w pandemicznej sytuacji.

Maseczki, które stały się naszymi drugimi twarzami, przybrały tu formę dużych masek noszonych przez współpracującą z Chlandą ekipę. Jej członkowie stworzyli z nich w przestrzeni wystawy własny świat, tak jak my zamknięci w domach, nudząc się, zaczepiając nawzajem, marudząc, ale też jeżdżąc na wrotkach czy wylegając na podłodze. Ich działa-

nia zostały zarejestrowane i wkomponowane w rysunki wiszące na ścianach czy oparte o krzesła. Kiedy widzowie znowu weszli do Cricoteki, mogli swobodnie przechadzać się między nimi, obserwując, jak ta swoista pracownia artysty wciąż żyje i się zmienia. To ciekawe doświadczenie, tym bardziej że twórca zapowiada, iż wystawa będzie się dalej przeobrażała. Wolałabym jednak, żeby niekoniecznie z powodu kolejnego lockdownu. Choć nie mam pojęcia, co się wydarzy, kiedy będziecie Państwo czytać te słowa.

■ Zielniki na uspokojenie

Uczucie niepewności tego, co się zdarzy, towarzyszy nam już ponad rok. Muzealni kuratorzy starają się uspokoić nasze rozwibrowane emocje, tworząc wystawy, które nie mają innego celu, tylko cieszyć swoją urodą. I tak dzieje się w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, gdzie możemy oglądać ekspozycję *Botaniczne poszukiwania. Sztuka botaniczna w XXI wieku*. To pierwsza w Polsce wystawa ukazująca fenomen współczesnej europejskiej i japońskiej sztuki botanicznej, pokazywanej w kontekście dzieł dawnych mistrzów, takich jak Basilius Besler, Elizabeth Blackwell i – przede wszystkim – Maria Sibylla Merian, badaczka, podróżniczka i entomolożka, która pierwsza zilustrowała i udokumentowała wygląd owadów i ich cykl rozwojowy. Zobaczcie to koniecznie – poczujecie się jak na łące, której piękno jest najlepszym lekarstwem na stres.

■ Ołtarz Wita Stwosza świeci pełnym blaskiem

Złe myśli odgoni również wizyta w kościele Mariackim, gdzie można już oglądać ołtarz Wita Stwosza, który przeszedł poważną konserwację. Specjaliści wyczyścili brud, który z czasem osiadł na rzeźbach, ale przede wszystkim przywrócili dziełu kolorystykę sprzed pięciuset lat. Stając w głównej nawie kościoła, od razu dostrzeżemy, że tło zyskało głęboki odcień błękitu azurytowego, a ciemne do niedawna ramy cynobronową czerwień. Jak zauważa na łamach „Tygodnika Powszechnego” Magdalena Łanuszka, tak ostre, wręcz jarmarczne barwy mogą wywołać dyskusję zwolenników postarzenia ołtarza i nadawania mu bardziej stonowanych odcieni. Historyczka sztuki przypomina, że nawet Jan Matejko był przeciwnikiem doprowadzenia dzieła do pierwotnego blasku, twierdząc, że „światłość barw i złoceń choćby z czasów Wita wyrachowaną była (...) gusta się zmieniły dzisiaj i jaskrawość dysharmonijna obraża nasz smak”. Mistrz, jak to mistrz, mógł wyrażać swoje zdanie. Ale przecież każdy może sam sprawdzić, czy woli stonowaną elegancję czy feerię barw, którą lśni dziś ołtarz.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Marek Kondrat, Ewa Lipska, Witold Bereś i Krzysztof Burnetko rozmawiają o Polakach i życiu niespiesznym w czasie pandemii

Jan Kanty Pawлуśkiewicz o cenie wolności

Znawca więzień i mediów – prof. Walery Pisarek w 90. rocznicę urodzin

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepe, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

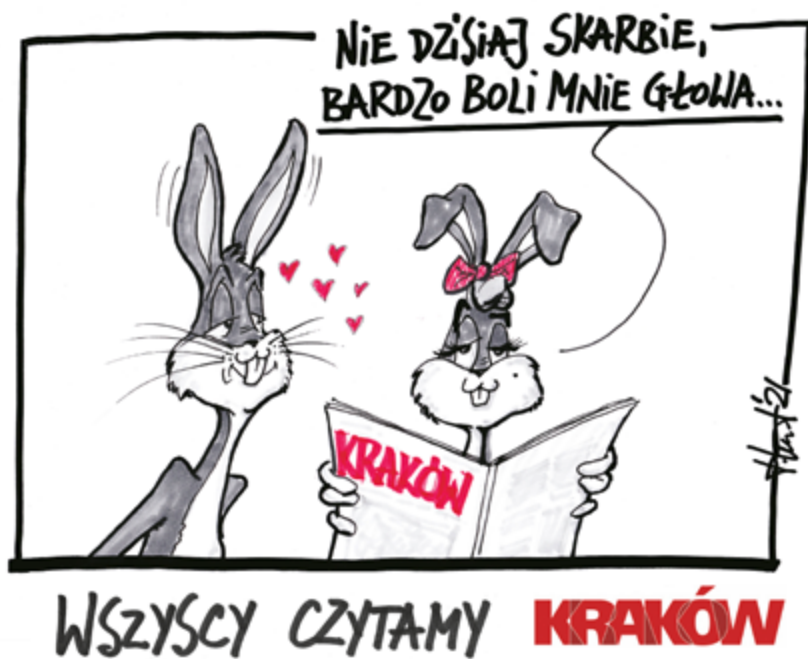
Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Rys. Piotr Błachut

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Outride.rs

Wojny, konflikty, przemieszczanie się ludów, kryzysy, stan środowiska naturalnego... Te wszystkie sytuacje mogą mieć wspólny mianownik – wodę. Serwis Outride.rs publikuje jak zawsze barwnie ilustrowany tekst, będący przekrojem przez wszelkie problemy świata mające związek z wodą. Przypomina przy tym, jak ważny jest ten życiodajny płyn, o czym często, jako rozpieszczona zachodnia i europejska cywilizacja, zapominamy.

<https://outride.rs/pl/czysta-woda/>

„Jest nas coraz więcej. Dziś na świecie żyje 7,5 mld ludzi. Prognozy ONZ mówią, że do 2100 roku będzie nas 11 mld. Wzrost ludności i związany z nim rozwój gospodarczy oznaczają również wzrost zapotrzebowania na wodę. Tymczasem już teraz w wielu miejscach na kuli ziemskiej zaczyna jej brakować. Niedobory pojawiają się nie tylko w słabo rozwiniętych regionach świata, lecz także dotyczą nowoczesnych metropolii, takich jak Londyn, Barcelona czy Miami.

(...) Deficyty wody, występujące w różnych częściach naszego globu, budzą niepokoje społeczne, prowadzą do napięć międzynarodowych, a także – do otwartych konfliktów międzynarodowych. W 1995 r. Ismail Serageldin, ówczesny wiceprezes Banku Światowego, powiedział, że »jeśli wojny tego wieku toczyły się o ropę, to wojny następnego stulecia będą toczyły się o wodę«. Od 1948 r. ONZ odnotowała 37 ostrych konfliktów o wodę. W tym samym okresie wynegocjowano i podpisano około 295 międzynarodowych umów regulujących między państwowe stosunki w obrębie różnych zbiorników wodnych”.

Re:view.pl

Wszelkie „powroty do przeszłości” nie wychodzą z mody, a szczególnym sentymentem darzymy epokę PRL-u, pamiętając tylko o tym, co dobre. Były już przejażdżki trabantem po Nowej Hucie, hotel wystylizowany na minioną epokę, a teraz można zwiedzać przestrzenie biurowe Huty im. Tadeusza Sendzimira, gdzie czas się zatrzymał. To osobliwe muzeum odwiedził z kamerą serwis Re:view.pl

https://thereview.pl/czar_starych_biuur/

„Robimy sobie kawę-siekierę, froterujemy podłogi, stukamy w klawisze maszyny do pisania. I zabieramy Was w podróż w czasie do biur z epoki PRL-u i żelaznego kombinatu w Nowej Hucie.

Praca w dawnych biurach to zupełnie inna galaktyka. Pod nogami skrzypiący parkiet lub poźółkłe, sztywniejące przez lata linoleum. Drewnopodobne lub ze sklejkę meble, które powinny raczej zagracać piwnice. Wazonik z (sztucznymi) kwiatami, paprotka w kącie, wyleniałe krzesło, biurko, co się kiwa...

(...) Fenomenalnie zachowała się spora sala konferencyjna z eleganckimi kasetonami na suficie, balustradą na galeriach, potężnymi żyrandolami i długimi stołami z drewna. Tu słuchano zakładowych przemówień, partyjnych referatów, odezwo kierownictwa.

W ścianach opustoszałych pokoi widać wciąż odbite cienie po stojących tu latami wieszakach, donicach z paprotkami, ściennych kalendarzach. Szafy bez kluczy nie kryją już teczek z dokumentacją, zaskorupałych okien nie otwierano od dawna”.



Rys. Marek Braun

*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Jeszcze nie zatrąbią

Kiedy wspominaliśmy w ostatnim A-B o konkursie na stanowisko hejnalisty na wieży mariackiej, mieliśmy nadzieję na zwycięstwo przynajmniej jednej z trzech startujących w nim pań. Kobieta hejnalistka, to by było coś! Na naszych oczach i w naszych uszach dokonałby się kolejny historyczny przełom; zniknęłaby bariera płci, a wraz z nią stereotyp mężczyzny-hejnalisty. Niestety, ku smutkowi feministek i utrapieniu krakowskiej straży pożarnej, nie tylko panie, ale żaden z pozostałych trzydziestu dwóch kandydatów nie sprostał konkursowym wymaganiom. Niedoszłym hejnalistkom poszło coś nie tak z grą na trąbce, więc zakończyły zawody na drugim etapie. Do finału za to dotarło sześciu szczęśliwców, którym pozostał do zaliczenia zaledwie test sprawnościowy: podciąganie na drążku, bieg po kopercie, rzut piłką lekarską. Lecz tu także klops. Panowie testy oblali. Trzeba więc rekrutować dalej. Organizatorzy liczą na to, że kandydaci, którzy odpadli, nieco potrenują i za drugim razem przebiegną po kopercie jak należy. A panie prosimy: trąbki w dłonie i nie poddawajcie się!

Nocny nalot na Kraków

- To było jak za okupacji. No, może nie dosłownie, ale w pierwszej chwili pomyślałam, że mam *déjà vu* z dzieciństwa. Całą noc nie zmrużyłam oka. Ten samolot był nie do zniesienia - pożaliła nam się pani Wiesława, rodowita warszawianka, od lat 60. ubiegłego wieku mieszkająca pod Wawelem. Sprawdziliśmy więc, co takiego spędziło sen z powiek damy. I okazało się, że i owszem, w nocy 7 marca latał na Krakowem, na niskiej wysokości, tajemniczy samolot. Nie był to jednak żaden złowrogi junkers, ale poczciwy piper PA-31-310 Navajo. Jego załoga wykonywała zdjęcia termowizyjne sieci eksploatowanej przez MPEC. Co ważne, takie badania muszą odbywać się przy odpowiedniej wilgotności powietrza, niskiej prędkości wiatru, bezgwiezdnym niebie, niskiej temperaturze i wysokim poziomie chmur. I takie warunki panowały owej nocy. Kiedy pośpieszyliśmy z tymi wyjaśnieniami do pani Wiesławy, przyjęła je ze zrozumieniem, ufając, że to wszystko po to, by ciepla pod Wawelem nigdy nie zabrakło.

Ministerstwo Starych Książek

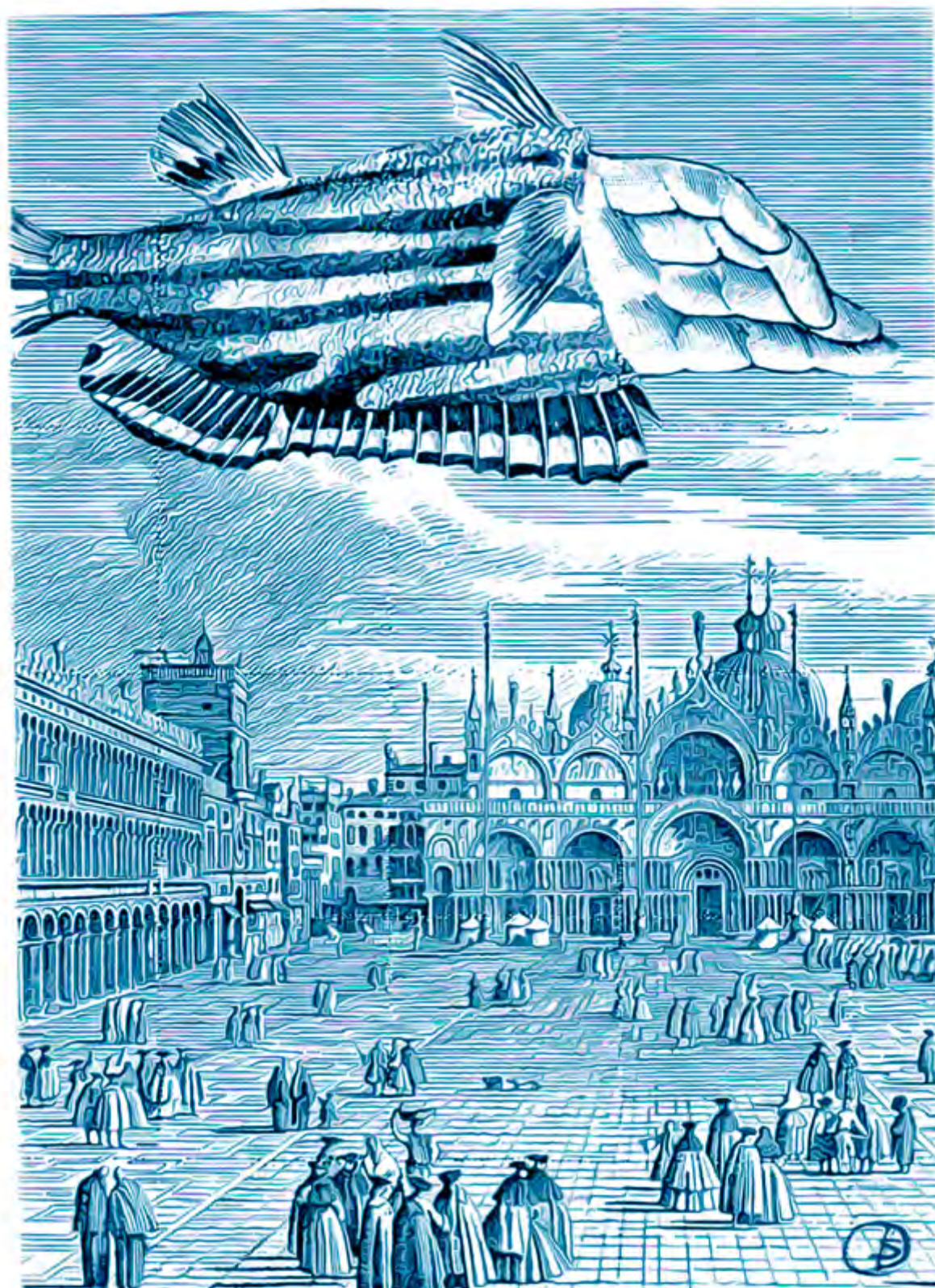
Nie, nie, proszę się nie niepokoić. Bo choć tytuł mógłby sugerować, że mamy do czynienia z jakimś kolejnym pomysłem „dobrej zmiany” na reformę administracji państwowej na odcinku kultury, to rzecz dotyczy sprawy, z perspektywy partii z siedzibą na stołecznej ulicy Nowogrodzkiej, mniejszej wagi. Tym bardziej że owo Ministerstwo nie ma na celu oddzielania literatury jedynie słusznej od wywrotowej. Nikt tu książek cenzurować nie będzie, gdyż chodzi jedynie o mały antykwariat przy ulicy Czystej 16 w Krakowie, działający od końca lutego, którego właścicielem jest pan Piotr Brzozowski. Nam spodobała się nie tylko pomysłowa nazwa na szyldzie antykwariatu, ale także odwaga pana Piotra. W czasach nie tylko dla książek i czytelnictwa dość kiepskich, porwać się na stworzenie antykwariatu, to naprawdę wyzwanie. Więc kiedy będziecie przechodzić ulicą Czystą, wpadnijcie do Ministerstwa i wybierzcie coś spośród oferowanych przez nie ponad trzech tysięcy tytułów.

I śmieszno, i straszno

Coraz częściej dzikie zwierzęta postanawiają odwiedzać tereny miejskie. Dobitym przykładem są dziki. Nie ma tygodnia bez jakiegoś ekscesu ze strony tych sympatycznych, acz nie zawsze bezpiecznych dla ludzi stworzeń. Wszak już Jan Brzechwa pisał, że „kto spotyka w lesie dzika, ten na drzewo szybko zmyka”. Ostatnio jednak jeden z nich wykazał się prawdziwą inwencją i postanowił wpaść do szkoły. Uczniowie Zespołu Szkół Łączności w Krakowie, przychodząc na próbną maturę, zastali taki oto komunikat: „Uwaga, dzik! Do czasu interwencji służb prosimy o wchodzenie do szkoły bramą warsztatową lub internatową oraz tylnymi wejściami”. I rze-

czywiście, przed szkołą przechadzał się zwierzak, który lekce sobie ważył egzaminacyjny stres młodzieży i pandemiczny reżim. Nie do końca wiadomo, co powodowało zwierzęciem. Nie podejrzewamy, że chęć zaczerpnięcia wiedzy. Sądzymy, że prędzej liczył na jakieś uczniowskie drugie śniadanie. Faktem jest, że jednym napędził sporo strachu, innych z kolei - rozbawił. Na pewno jednak taką próbną maturę uczniowie będą wspominać do końca życia: - No i wiesz, wnusiu, wtedy dziadek zobaczył tego dzika przed szkołą.

- Oj, dziadku, dziadku..., znowu o kieliszek wiśnióweczki za dużo...



Akwarium weneckie, rys. Janusz Stefaniak

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok

Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówkę
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków

Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Lorecki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Mariusz Landowski, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyna
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała
Marta Anna Ronne, Uppsala
Waldemar Smolski, Kraków
Andrzej Gawłowicz, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Malwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo
Katarina Hard, Staffanstorp
Alicja Danecka-Chwals, Boston
Zofia Maciąga, Łędziny

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Ciało i dusza

Tekst: Agnieszka Kosińska

„Dobrze jest poruszać się, mając w duszy wielki zapas ciszy – na przykład podróżować. Wówczas wszystko wydaje się wyraźne, sensowne, wszystko komponuje się w dobry rezultat. Ale i *siedzieć na miejscu* jest dobrze, tylko mając w duszy spory zapas ruchu. Kant przez całe życie siedział, lecz w jego duszy było tyle ruchu, że to jego *siedzenie* poruszyło światy”. [s. 80]

Wracaliśmy z moim aktualnym narzeczonym z jednej z pierwszych teatralnych premier w Krakowie. Wsiadliśmy do autobusu 105, środa popielcowa, czas zadumy, niepokojące improwizowane wokalizy Grażyny Sobocińskiej ze sztuki *Tonąca dziewczyna* niosły nas w tę krótką podróż, aż tu nagle męski głos odezwał się na cały autobus: (soczyste, znane przerywniki pominę nie ze względów cenzuralnych, ale objętościowych). „Nic o sobie nie dbasz. Życie jest najważniejsze. Dusza i ciało. Życie. Kiedy to do ciebie w końcu dotrze? Ja ci pomogę, ale musi to do ciebie dotrzeć”.

Co się dzieje z ciałem, które szuka duszy. I co się dzieje z duszą, która szuka swojego ciała. Czym one są?

Już dawno chciałam coś o duszy i ciele napisać. Już kiedy obejrzałam niesamowity węgierski film, historię pewnego romansu pod tytułem *Dusza i ciało*. Co się dzieje z ciałem, które szuka duszy. I co się dzieje z duszą, która szuka swojego ciała. Czym one są? Dusza – zasada życia. *Psyche* po grecku oznacza zarówno motyla (owada), jak i tę zasadę. Również przemiana z gąsienicy, grudki ziemi, w skrzydlatą, eteryczną istotę dążącą do światła ma znaczenie. Chrześcijaństwo ulepiło z tego motywu kluczowe dla siebie wydarzenie: zmartwychwstanie. Dodało do duszy – motyla, gołębia, perłę (pra-duszę), pszczołę. To wszystko nie jest jednak takie proste. Bóg miłości przez całą starożytność dręczył motyla-duszę na wiele sposobów (między innymi podpalał jej skrzydła) i chyba będzie ją dręczył do końca świata. Kto zobaczy ten film, znajdzie się w samym środku tajemnicy. Chodzi o to, że cała sprawa z duszą zaczyna się od... ciała. „Wszakże nie to, co duchowe, jest pierwsze, lecz to, co cielesne, potem dopiero duchowe” – pisze św. Paweł w pierwszym liście do Koryntian (1 Kor 15; 46). Jak spędzasz czas: od przebudzenia, do zaśnięcia? Jakie czynności wykonujesz? Jakie zdania i do kogo wypowiadasz? Jakie myśli produkuje twoje

ciało? Co z nimi robisz? Co one robią z tobą? TYM WSZYSTKIM JESTEŚ.

„Czy chcecie, narody, żebym oznajmił wam prawdę piorunującą, jakiej nie mówił nigdy żaden z proroków...?

– No? No? Pssst...

– Otóż: życie prywatne jest ponad wszystko.

– He, he, he, he! Ha, ha, ha, ha! He, he, he...!

– Tak, tak! Nikt jeszcze tego nie mówił, ja jestem pierwszy. Po prostu – siedzieć w domu i choćby dłużyć w nosie, gapiąc się na zachód słońca.

– Ha, ha, ha...!

– Tak, właśnie; to jest p o w s z e c h n i e j s z e od religii... Wszystkie religie miną, a to pozostanie. Po prostu – siedzieć na krześle i patrzeć w dal (23 lipca 1911)”. [s. 78]

„Jeszcze nie taki nikczemnik, żeby myśleć o moralności. Z milion lat już przeszło, nim moją duszę wypuszczono, aby pospacerowała sobie po jasnym świecie; i ni stąd, ni zowąd miałbym jej powiedzieć: duszyczko, pamiętaj tylko, żeby spacerować »stosownie do moralności«?

Nie, powiem jej tak: spaceruj sobie, duszyczko, spaceruj sobie, najmiłsza, spaceruj, moja ty śliczna, jak tylko potrafisz. A wieczorem pójdziesz do Boga.

Albowiem moje życie jest moim dniem – m o i m, nie zaś Sokratesa czy Spinozy (w wagonie)”. [s. 80]

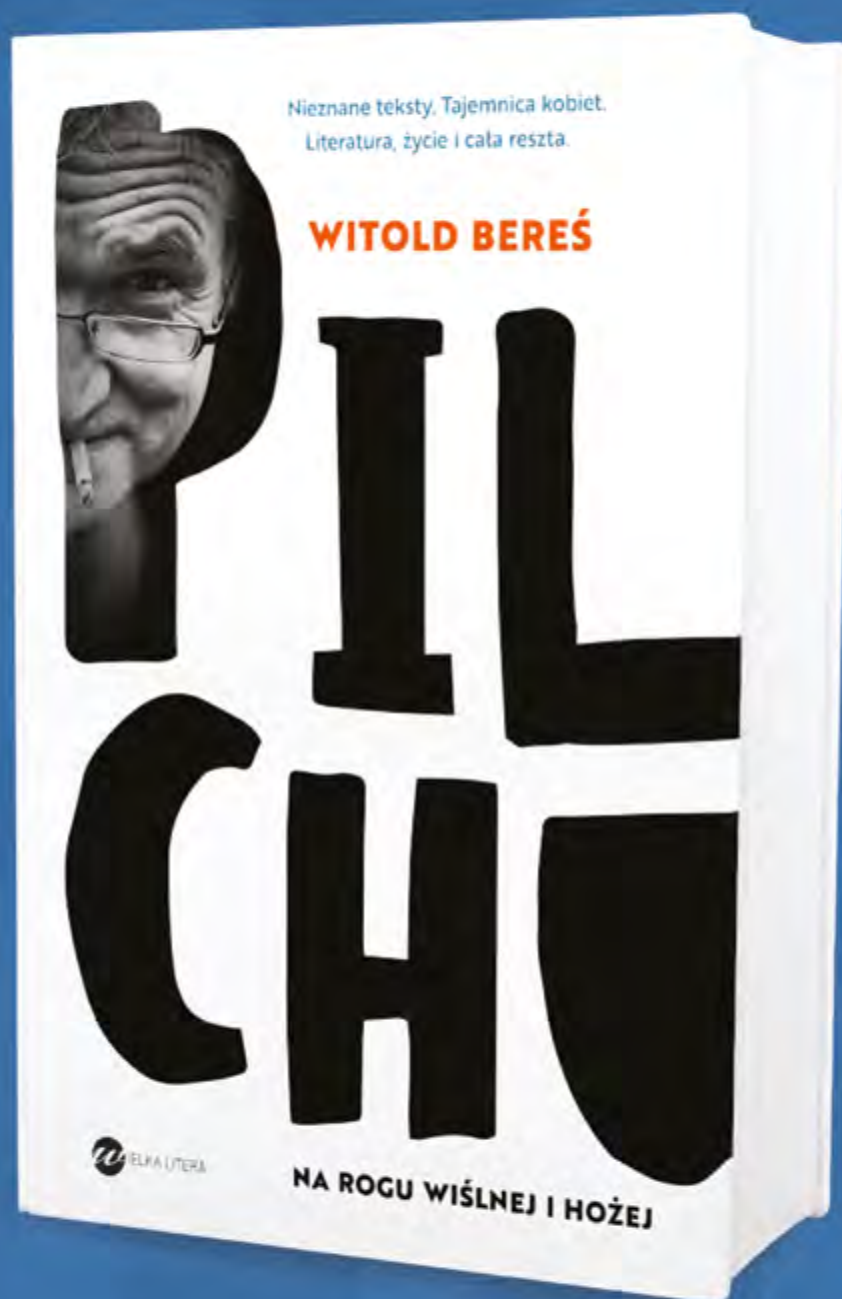
Wszystkie cytaty pochodzą z tomu namiętnego myśliciela Wasilija Rozanowa *Pół-myśli, pół-uczucia*, w tłumaczeniu z rosyjskiego Ireneusza Kani, Oficyna Literacka Kraków 1998. Fragment *O zmartwychwstaniu* z listu św. Pawła z Biblii wydanej przez Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1982.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwwkrakowie.com>

Dajcie spokój i nie miejcie złudzeń:
ja wiem o was wszystko, wy o mnie nic.
To mnie wybitnie uspokaja

JERZY PILCH



PRZEWODNIK PO ŻYCIU, LITERATURZE I RESZCIE ŚWIATA.
JERZY PILCH W ŚCIŚLE PISARSKIM SENSIE.



Michał Cygan, *Kolęda*, akryl na płótnie, 50 x 40 cm, 2021